

Ocalić pamięć

75 LAT OSADNICTWA W GMINIE CHOCEZO



**NIGDY NIE PRZYCHODZĄ WSZYSTKIE.
WSPOMNIENIA MIESZKAŃCÓW I MIESZKANEK
GMINY CHOCEZO**

Spis treści

3

◆
CZTERNAŚCIE ŚLADÓW NA PIASKU
Aleksandra Łasińska

78

◆
„BYŁAM NAJGRZECZNIEJSZA W DOMU”
Rozmowa z Teresą Wozdyk

5

◆
„I TAK MIELIŚMY DUŻO SZCZĘŚCIA...”
Rozmowa z Ireną Grzywacz

86

◆
„JAK PRZYJECHAŁAM DO CHOCZEWA,
BYŁO TU WSPANIALE”
Rozmowa z Teresą Rzeppą

19

◆
MOŻE LEPIEJ NIE OPISYWAĆ?
Rozmowa z Marianem Joachimiakiem

92

◆
„ZIMNO SIĘ ZROBIŁO... ZARAZ GRUDZIEŃ”
Rozmowa z Wandą Rulską

26

◆
BRAT WIEDZIAŁBY TO LEPIEJ...
Rozmowa z Ireną Romanik i Haliną Łazarską

99

◆
„A JA NIE CHCIAŁAM JUŻ DALEJ IŚĆ”
Rozmowa z Gizelą Hagemes

41

◆
„PYTAJCIE, O CO CHCECIE”
Rozmowa z Zygfriedem Pobłockim

108

◆
Z PAMIĘCI OSTATNIEJ ŚWIADKINI
Rozmowa z Urszulą Kreft

48

◆
NIECIEKAWE ŻYCIE
Rozmowa z Martą Łasińską

112

◆
„STRACH, PAMIĘTAM STRACH... I OBRAZY”
Rozmowa z Krystyną Milewską

60

◆
„NUDZĘ SIĘ CZASAMI”
Rozmowa z Henrykiem Mrulewiczem

120

◆
„TAKIE ŻYCIE BYŁO...”
Rozmowa z Teresą Wiśniewską

71

◆
HARCERZ, ŻOŁNIERZ, STOCZNIOWIEC
Rozmowa z Michałem Wozdykiem

Czternaście śladów na piasku

*Mogło mu najwyżej być żal wspomnień,
lecz tych w żadnym wypadku nikt go nie mógł pozbawić.
Tej majętności co ją człowiekowi pamięć zbiera,
nie strawi ogień i nie zabierze woda¹.*

Wspomnienie jest metaforą śladu stopy na piasku². Wszystkie zebrane w życiu doświadczenia odciskają swoje piętno w niepowtarzalnym materiale, należącym do każdego człowieka, jakim jest pamięć. Pamięć osobnicza, pamięć małej zbiorowości, pamięć komunikatywna, bo te rodzaje pamięci przenikają przez karty niniejszej książki. Książki będącej pewnego rodzaju zbiorem emocjonalno-faktograficznych historii mówionych, oscylujących wokół powojennych losów gminy Choczewo, a także wokół indywidualnych doświadczeń naszych bohaterów.

Z ich opowieści wyłania się kategoria pamięci osobniczej, charakteryzująca się subiektywnym, emocjonalnym zapisem własnych doświadczeń³, które nie zawsze pozostają w zgodzie z tzw. podręcznikową historią, co w żadnym stopniu nie umniejsza ich wartości. Wszyscy mamy bowiem świadomość, że to samo wspomnienie przez różne osoby zapamiętywane jest w odmienny sposób,

gdyż właśnie tak działa pamięć ludzka – utrwalamy to, co najistotniejsze dla nas samych.

Opowieści naszych bohaterów i bohaterek często wpisują się także w pamięć komunikatywną, gdyż pojawiają się w nich elementy przekazów rodzinnych, rozmów międzypokoleniowych, przekazywanych zwykle w sposób niesformalizowany⁴. Co najważniejsze, wspomnienia te jako całość tworzą pamięć małej zbiorowości⁵, gdyż z różnorodnych, zabarwionych emocjonalnie, pozornie odległych historii wyłania się pewien spójny obraz mieszkańców gminy Choczewo, utrwalający w jakiś sposób naszą lokalną tożsamość.

Jednak ślady na piasku z czasem zacierają się, a więc i nasze wspomnienia ulegają zapomnieniu. Pozostaje w nas tylko jakaś część osobniczego doświadczenia. Opowieści naszych rozmówców, co oczywiste, są więc fragmentaryczne. Ich historie zostały przefiltrowane przez czas i uległy jeszcze

1 Parafraza słów pochodzących z pierwszego tomu *Nocy i dni* M. Dąbrowskiej, M. Dąbrowska, *Noce i dni*, t.1, GREG, Kraków 2004, s. 48.

2 T. Maruszewski, *Pamięć autobiograficzna*, Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne, Gdańsk 2005, s. 12.

3 Por. Z. Włodarski, *Czym jest pamięć?*, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, Warszawa 1967, s. 31-41.

4 J. Assmann, *Pamięć kulturowa. Pismo, zapamiętywanie i polityczna tożsamość w cywilizacjach starożytnych*, tłum. A. Kryczyńska – Pham, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2008, s. 13-15.

5 Por. A. Assmann, *Między historią a pamięcią. Antologia*, Centrum Badań Historycznych Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2013.

większej subiektywizacji. Nie umniejsza to jednak ich rangi. Wywiady zawarte w tej książce są dla nas autorów, i mamy nadzieję, że także dla Państwa, bardzo cennym dokumentem historii mówionej, za który jesteśmy ogromnie wdzięczni naszym bohaterkom i bohaterom.

W tym miejscu pragniemy podziękować wszystkim, którzy zgodzili się podzielić z nami i z Państwem swoimi opowieściami: pani Irenie Grzywacz, panu Marianowi Joachimakowi, pani Irenie Romanik, pani Halinie Łazarskiej, panu Zygrfydowi Poblóckiemu, pani Marcie Łasińskiej, panu Henrykowi Mrulewiczowi, panu Michałowi Wozdykowi, pani Teresie Wozdyk, pani Teresie Rzeppie, pani Wandzie Rulskiej, pani Gizeli Hagemes, pani Urszuli Kreft, pani Krystynie Milewskiej oraz pani Teresie Wiśniewskiej. Dziękujemy za Wasze zaufanie i zaangażowanie. Od teraz Wasze historie, pozostające do tej pory w sferze mówionej, zostały utrwalone na piśmie i jeszcze mocniej inspirują innych do pielęgnowania śladów pozostawionych na piasku.

Aleksandra Łasińska

„I tak mieliśmy dużo szczęścia...”

Jesteśmy w Choczewie. W domu Pani Ireny Grzywacz. Rozmawiamy o trudnych szlakach, które wytyczyła jej wojna: od Syberii przez Afrykę aż do Choczewa. Na widok aparatu fotograficznego, który ze sobą zabrałam, Ala (córka Pani Ireny) mówi: o, kamera idzie! Pani Irena lekko zakłopotana odpowiada: ja nie chcę żadnej kamery, co ja tam powiem.

Urodziłam się 1 września 1936 roku w Starym Stawie, gmina Skobelka, powiat horochowski, województwo wołyńskie.

A Horochów położony jest bliżej jakiego znanego miasta?

No Horochów to też jest słynne miasto. Inne to nie wiem, może Łuck, Równe. Muszę okulary przynieść. Może w życiorysie, który pisała moja mama, coś będzie.

(Pani Irena przynosi życiorys spisany przez jej mamę, a także zdjęcia i cenne dokumenty.)

Urodziła się Pani w Starym Stawie, na Wołyniu. Może Pani coś opowiedzieć o rodzicach, dziadkach?

Adolf Sibiga i Maria z domu Kowalska – moi dziadkowie, żyli na kresach wschodnich, we wsi Rytków, poczta Beresteczko, powiat Dubno. Gdy wybuchła wojna, w 1914 roku, zostali wywiezieni do miejscowości Pozyrki Duże, koło Kijowa. Tam urodziła się moja mama.

16 października 1916 roku. W 1920 wrócili do oj-

czyzny, do wolnej Polski. Mama moja wyszła za mąż za wdowca, żołnierza służącego pod dowództwem Józefa Piłsudskiego. Pochodził z krakowskiego.



Zdjęcie 1 Sąsiedzi Urbanów ze Starego Stawu. Polska przed wojną 1939 r. Rodzice Ireny Grzywacz oznaczeni krzyżykami na środku fotografii

Czym zajmowali się Pani dziadkowie?

Dziadek nie miał gospodarstwa, był majstrem, umiał naprawiać różne maszyny. Oprócz mamy było pięcioro rodzeństwa. Ten mój wujek Sibiga, który w mleczarni w Choczewie pracował, dwaj bracia mamy i siostra, którzy mieszkali w bydgoskim, i jeszcze jedna siostra w Elblągu. To już po wojnie tam mieszkali.

A Pani rodzice co robili na Wołyniu?

Mój tata (urodzony w 1897) był w wojsku, jak wybuchła I wojna światowa. W 1921 roku dostał gospodarstwo Hołoniów (12,5 ha) nadane z majątku księcia Krasickiego, za to, że w wojnie uczestniczył. Był wdowcem. Z pierwszą żoną żył 10 lat. A w 1933 ożenił się z moją mamą Weroniką.

Pani mama miała tylko 17 lat wychodząc za mąż, tak?

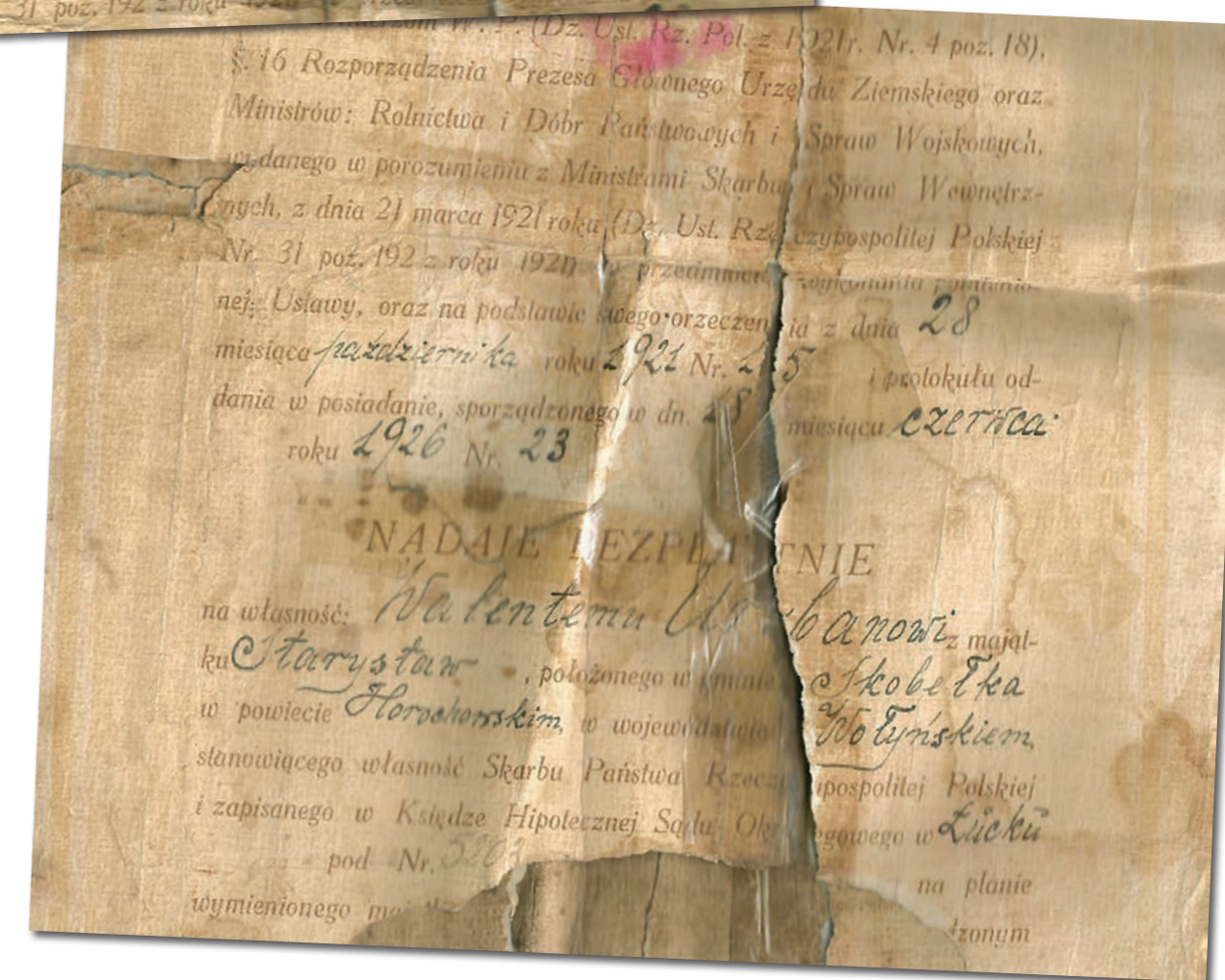
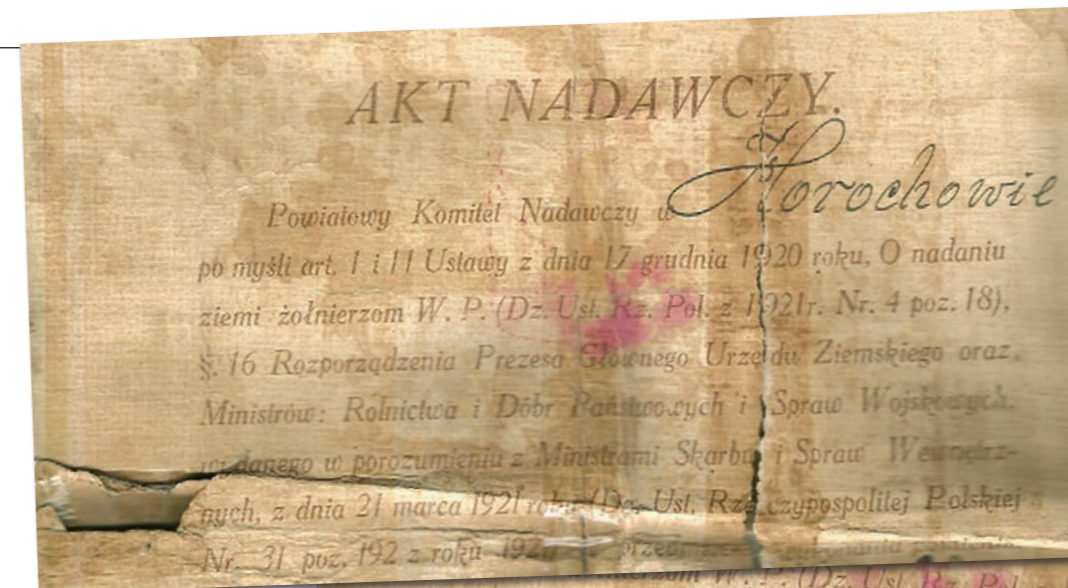
Tak, tylko 17. Do wybuchu wojny rodzice mojej mamy mieszkali we wsi Rytków, koło Beresteczka. Jak mama wyszła za mąż, to mieszkali z tatą w Starym Stawie. I tam się urodziłam.

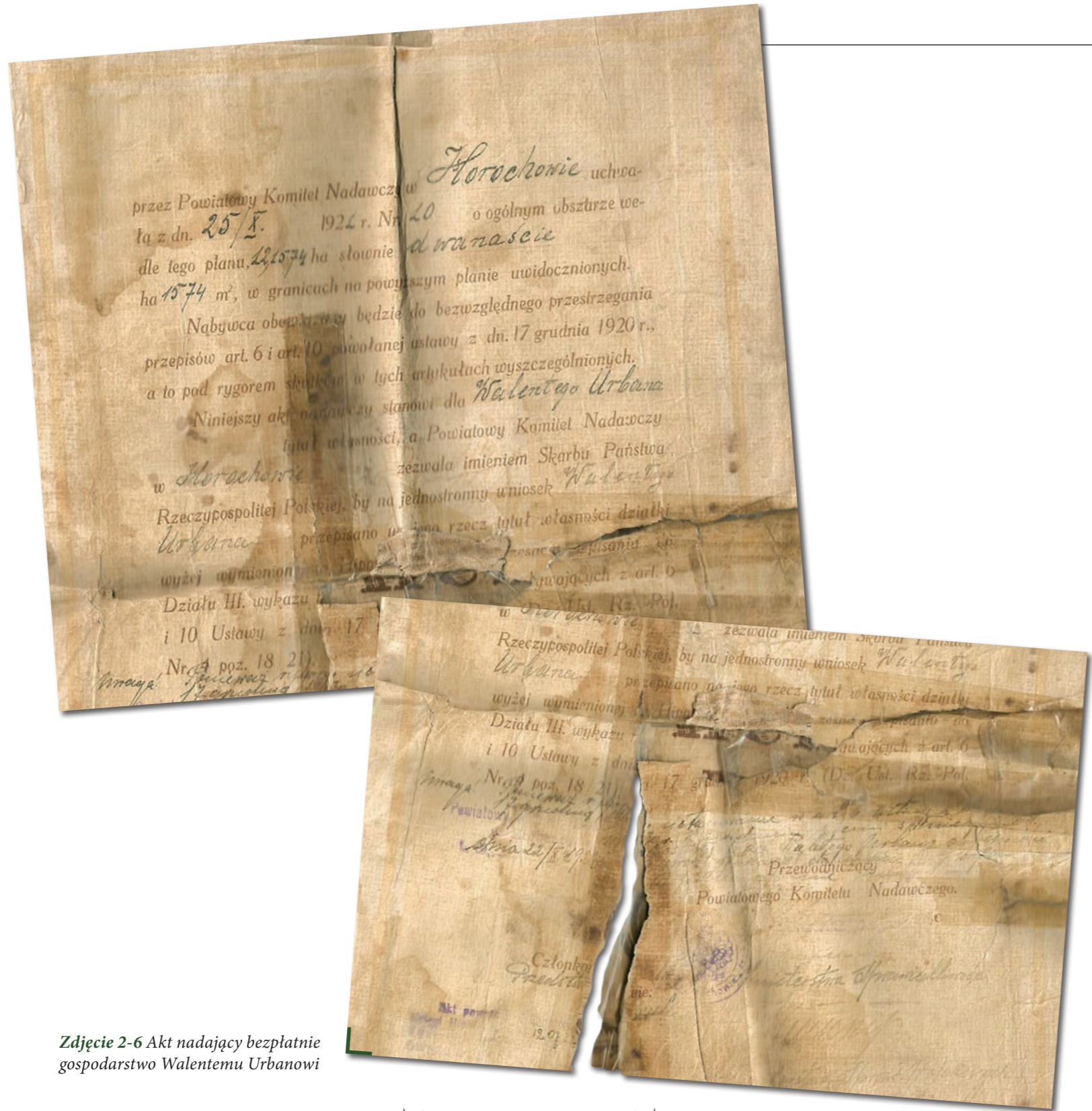
I aż do wybuchu II wojny, do 1939 Pani rodzice prowadzili gospodarstwo na Wołyniu?

Tak. Mam tu nawet papiery, że tata miał to gospodarstwo. Oryginalne dokumenty, mama moja przewiozła je przez Sybir, całą podróż. Pokazać te dokumenty? Zaraz przyniosę.

(Pani Irena przynosi dokumenty, które jej matka Weronika Urban przewiozła przez całą tułaczkę.)

Może przeczytam fragment dokumentu: 28 miesiąca października roku 1921, [...] nadaję bezpłatnie na własność Walentemu Urbanowi z majątku Starystaw, położonego w gminie Skobelka, w powiecie horochowskim, województwie wołyńskim [...] 12 h 1574 m. Jest jeszcze plan – rola, zarośla i cały akt nadawczy. Niedługo ten dokument będzie miał 100 lat.





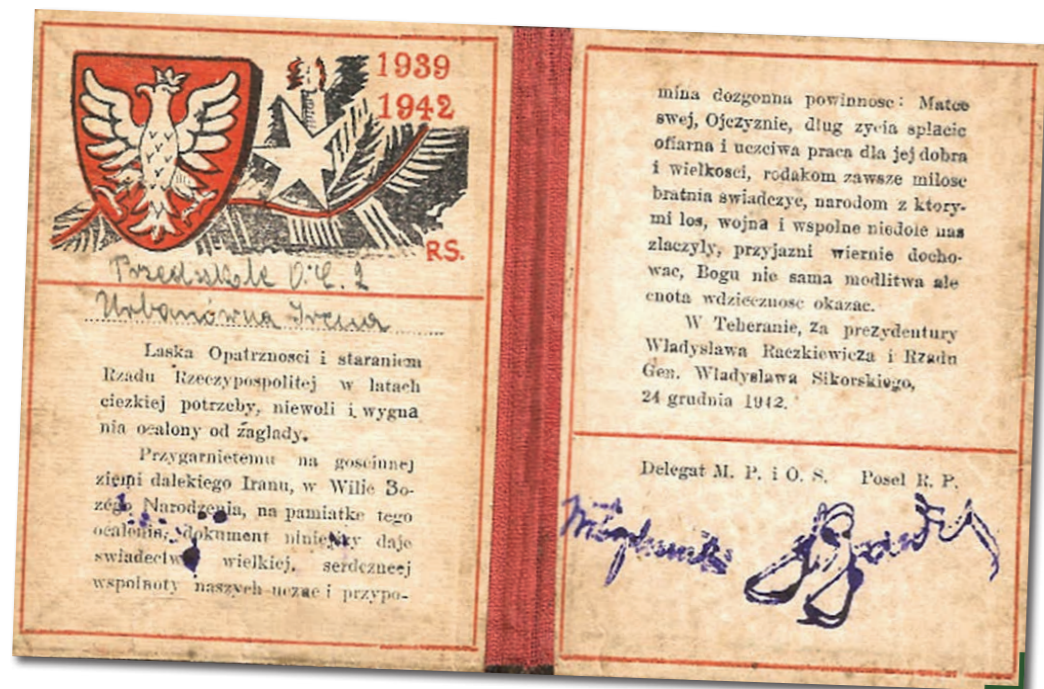
Zdjęcie 2-6 Akt nadający bezpłatnie gospodarstwo Walentemu Urbanowi



Zdjęcie 7 Plan zagospodarowania niniejszego gospodarstwa

Ale słuchajcie, jeszcze pokażę legitymację moją, to jest dokument.

Czego ona dotyczy? Przedszkole, Urbanówna Irena. Łaską Opatrzności i staraniem rządu Rzeczypospolitej w latach ciężkiej potrzeby niewoli i wygnania, ocalony od zagłady, przygarniętemu na gościnnej ziemi dalekiego Iranu, w Wilię Bożego Narodzenia, na pamiątkę tego ocalenia, dokument niniejszy daje świadectwo wielkiej serdecznej wspólnoty naszych uczuć i przypomina dozgonną powinność Matce swojej – Ojczyźnie – dług życia spłacić ofiarną i uczciwą pracą dla jej dobra i wielkości, rodakom zawsze miłość bratnią świadczyć, narodom, z którymi los, wojna i wspólne niedole nas złączyły, przyjaźni wiernie dochować. Bogu nie samą modlitwą, ale cnotą i wdzięczność okazać. W Teheranie za prezydentury Władysława Raczkiewicza i rządu generała Władysława Sikorskiego, 24 grudnia 1942 roku. Delegat i poseł RP.



Zdjęcie 8 Pamiątka ocalenia. Teheran, 24.12.1942 r.

Tu już się dokument urywa. To jest pamiątka z Teheranu?

Z Teheranu, tak. Ale jak pięknie napisane.

Czy Pani wie jak to się stało, że w 40. roku zostaliście deportowani?

No jak? Wojna wybuchła. Mój tata został powołany do wojska. Poszedł do tego wojska, ale zaraz wrócił, bo nie było mundurów. Zaczęli wtedy zabierać osadników wojskowych, chcieli się pozbyć Polaków, którzy dostali ziemie ukraińskie. 10 lutego 40 roku przyszedł Rusek, kazał się ubierać ciepło, tylko parę minut mama miała. Nas była trójka. Młodsza siostra miała roczek (dzisiaj mieszka koło Kruszowicy), ja miałam 3 latka, a starsza siostra – Jadzia – 5 lat. Mieszkała koło nas dużo młodsza siostra babci. Mama dla tego rocznego dziecka nie miała ani bucików, ani dużo ubrań. Zawinęła je w kocyk, nas w pierzyny pozawijała. Sama ubrała jakieś futro.

Babci siostra chciała jeszcze ubrać cieplej to dziecko. Wzięła ją, ale nie zdążyła. Nas zabrali na sanie, a moja młodsza siostra została. Tak mama o tym napisała: „Trzecia córka Ewa urodziła się w 38 roku i została w Polsce, ponieważ w czasie wysyłki została zabrana przez siostrę mojej babci, Kowalską, i nie zdążyła z nami wyjechać. Wychowała ją moja mama – Maria i ojciec – Adolf Sibiga. Opiekowali się nią aż do mojego powrotu z zagranicy w 47 roku”. Mama była w szoku, może nawet o tym na początku nie myślała.

Co to jest za rozpacz, ja teraz tak myślę, że gdyby moje dziecko zostało to nie wiem co bym zrobiła. Jeszcze ten Rusek powiedział do mamy: „weź sobie maszynę do szycia”. Mama wzięła, chociaż maszyna do szycia na sanie to jest problem. Ale można ją było potem sprzedać, żeby mieć parę groszy. Teraz tak sobie myślę, że i tak mieliśmy dużo szczęścia – nie uczestniczyłam w wojnie, wywieźli nas, ale nie zamordowali.

I co się stało z Pani siostrą?

Moja siostra wychowywała się u dziadka i babci, koło Beresteczka. Opowiadała mi, że tam Ukraińcy strasznie mordowali Polaków. Oni musieli uciekać, chować się po strychach, w słomie.

A Was wywieźli.

Tak. Jechaliśmy w takich wagonach, głodowaliśmy. Mama pisze: „Jechaliśmy w wagonach towarowych, po 40 osób. Jechałam z mężem Walentym, córkami: Jadwigą (5 lat) i Ireną (3 lata)”. Byłam w Symbarku i tam właśnie są takie wagony, w jakich nas wywozili. Stoi też pociąg, Dom Sybiraka i deski, na których więźniowie leżeli.

Czy Pani pamięta coś z zesłania na Syberię?

Bardziej pamiętam jak byliśmy w Afryce, Syberię raczej mało. Wiem, że wywieźli nas na Sybir, do Archangielska, rejon Selwiczogorski. Było tam okropnie zimno, mrozy. Mama z tatą w lesie robili przy drzewie, a my z siostrą w domu. Przeczytam wspomnienie mamy: „Wywieziono nas do Archangielska, na Sybir. Tam wraz z mężem Walentym pracowaliśmy przy wyrobie lasu, a dzieci były w dziedzi” (z ros. przedszkole – A.Ł.).



Zdjęcie 9 Weronika Urban z córką Jadwigą w mieście Horochów

Gdzie mieszkaliście? Jak wyglądał Wasz dom?

Mama opowiadała o domach z gliny. Bo jak było trzęsienie ziemi, a my wyszliśmy, to zostały potem takie gruzy, właśnie jakby glina. Ale nie wiem, czym

były pokryte. O szczegóły nie pytałam. Ale wiecie co pamiętam? Stał stół kwadratowy, a po podłodze biegały myszy. I my się tak tych myszy bałyśmy, że na tym stole siedziałyśmy. Tylko to wspomnienie mi utkwilo.

Jak długo byliście w Rosji?

Trzy lata. Wywieźli nas wtedy do Uzbekistanu. Tak mama o tym pisze: „Gdy wybuchła wojna z Niemcami, odzyskaliśmy wolność, także mogliśmy wyjechać do polskiego wojska do Uzbekistanu, gdzie za zgodą Stalina Władysław Sikorski tworzył wojsko polskie wygnańców, tych co przeżyli. Mój mąż też wstąpił do wojska, a ja z dziećmi byłam w kołchozie”. Mama mi opowiadała, że tam przywozili żołnierzy. Mama umiała dobrze gotować, więc pracowała w kuchni dla chorych wojskowych. Trochę też się nimi opiekowała, prała dla nich. Czytam dalej: „Będąc w wojsku mąż zachorował na tyfus, który panował i masowo atakował wojsko i mąż zmarł w 43 roku w szpitalu w Szachryzabie”. No, dobrze pamiętałam. I... co ja chciałam mówić? Dobrze, tata poszedł do wojska i zmarł na tyfus, w 43.

Gdzie został pochowany Pani tata?

Tata był pochowany w grobie zbiorowym, bo wtedy wrzucali wszystkich, po kolei. Ale na cmentarzu są takie płyty. Ten cmentarz jest w Szachryzabie. Mam nawet metrykę zgonu. Jak przyjechała moja wnuczka Dominika, bo ona teraz mieszka w Anglii, to ją poprosiłam, żeby sprawdziła w komputerze, czy jeszcze istnieje taki cmentarz. I znalazła go. Było normalnie napisane: Cmentarz Wojskowy i że leżą tam żołnierze, ale nie było nazwisk, tylko informacja, że dane są w opracowaniu.

Co się z Wami stało? Zostałyście w Uzbekistanie?

Nie. Znowu mama pisze: „Ja z córkami wyjechałam do Guzar, nad Morze Kaspijskie, gdzie było nasze polskie wojsko. Dzieci były w sierocińcu, a ja pracowałam w pralni. Następnie zmarła mi córka Jadwiga z wycieńczenia, w Guzarach”. Ja, jak mówiła mama, jadłam wszystko – płatki owsiane, ziarka mielone, zupy, wszystko co mama przygotowała. Ale siostra moja nie, była taka wątła. I zmarła w szpitalu na suchoty, tak się kiedyś gruźlica nazywała. Mama bardzo to przeżyła, w wolnym czasie chodziła do szpitala, siedziała przy niej, a siostra była taka zła, że ja byłam zdrowa, taka zazdrosna i mówiła do mamy: „idź, idź do tej Irki”. Takie małe dziecko i już nie mogła się pogodzić z tym, że była chora. Jak umarła, to mama w prześcieradełko ją zawiązała, bo trumien nie było, i tak ją pochowała.

Co pisze dalej Pani mama?

„Gdy wyjechało wojsko polskie do Iranu, to ja jako osoba z rodziny wojskowej dostałam się na statek płynący przez Morze Kaspijskie i dostałam się do Teheranu. Transportem wojskowym dowodził generał Anders. W Teheranie przebywałam kilka miesięcy”. Ja już to pamiętam, ten Teheran, Iran pamiętam. Tam były kamienie, taki teren, że niby drzewo rosło, ale jednak pełno skał.

Pani miała wtedy 7 lat?

Tak, dlatego trochę pamiętam z tego co mama dalej opisuje: „Potem transportowano nas do Persji, koło Karaczy i z Zatoki Perskiej zostaliśmy przewiezieni do Afryki, do Rodezji”. To też pamiętam, statek, to wszystko, jak płynęliśmy. A moja mama opowiadała, o tym tu nie pisze, ale opowiadała, że jak

byli w tym porcie to siedzieli z tobołkami tak, jak na plaży. I mama przysnęła i jej się śniło, że ktoś mówi: „Weronia, daj parę groszy, to nie pojedziesz tym pierwszym transportem” czy coś takiego, bo mama nie chciała jechać, bo ten transport nie jechał do Afryki, tylko gdzieś indziej. I pomyślała, że musi iść do księdza i dać na mszę. Bo ksiądz tam gdzieś był. Poszła do niego i dała, i nie pojechaliśmy. To był cud.

Jak długo mieszkaliście w Afryce?

Do 47 roku. Mama pisze: „W 47. otrzymałam list z Polski, od rodziców z wiadomością, że żyją i córka Ewa też żyje. Było już po wojnie i transporty szły do Polski, to ja z córką Ireną zapisałam się na transport i wracałam z portu Mombasa, nad Oceanem Indyjskim, przez Morze Śródziemne, Czerwone, do Genui, do Włoch”. Pamiętam wszystko.



Zdjęcie 10 Pracownice kuchni, w której Weronika Urban (w pierwszym rzędzie druga od prawej) gotowała dla polskich wygnańców podczas pobytu w Afryce. Afryka, Bwana Mkubwa, koło Konga Belgijskiego, 1943-1947

Kanał Sueski, te morza.
To Morze Czerwone takie spokojniutki jak jezioro.

(Pani Irena dalej czyta wspomnienia mamy.)

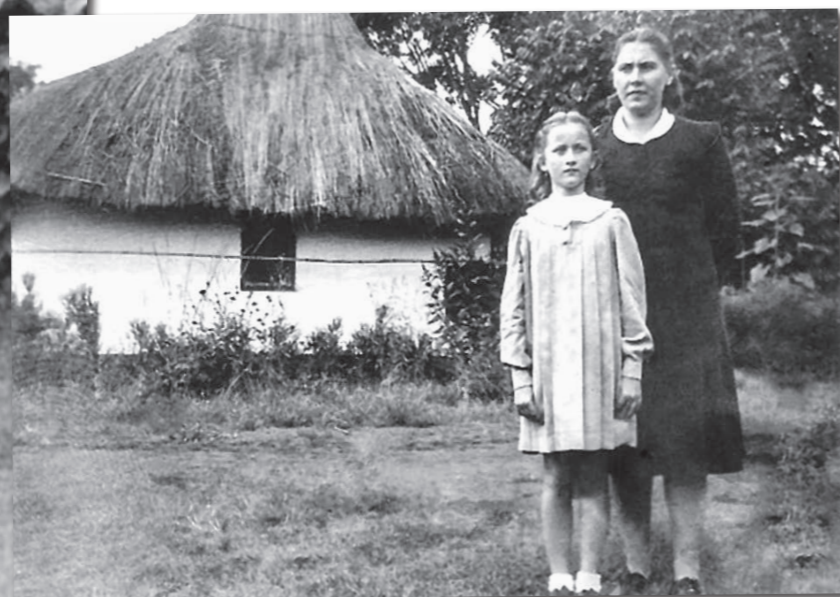
„Następnie jechaliśmy pociągiem, przez Czechy, Austrię, do Polski, do stacji Dziedzice. I tu czekał na mnie mój ojciec”. Dziadek przyjechał i wziął mnie, pamiętam, i poszliśmy do miasta i pierwsze to ja chciałam ogórka kiszzonego.

Takie w beczkach sprzedawali. Tego nie zapomnę, że tak chciałam ogórka kiszzonego zjeść. Mam jeszcze nawet część biletu do tych Dziedzic – *Rzeczpospolita Polska, Ministerstwo Administracji Państwowej, Urząd Repatriacyjny Dziedzice, przepustka do Mogilna, wydano 19 sierpnia 1947*. To nie bilet jednak, tylko przepustka. Jeszcze jest tu napisane: *Stowarzyszenie Rodzin Wojskowych, Teheran*, taka legitymacja. Ale jeszcze miałam pokazać zdjęcia.

(Pani Irena wstaje od stołu i przynosi zdjęcia. Wspólnie je oglądamy.)

Na tym zdjęciu jest Pani z mamą?

No, w Afryce. Zobaczcie jakie domki były w Afryce, gdzie my mieszkaliśmy. Tu jest mama z koleżanką



Zdjęcie 11 i 12 Na fotografiach Irena Grzywacz (zdj. po lewej) i Irena Grzywacz z mamą (zdj. powyżej). Dom, w którym mieszkali, Afryka, Bwana Mkubwa, 1943-1947

(wskazuje na inne zdjęcie). Ona mieszka w Australii i po wielu latach przyjechała tu do nas do Choczewa. Nawet ją odwoziłam potem na stację do Gdańska, dolary zostawiła.

Ja przychodzę do domu, sprzątam, a pod serwetką tu – pieniądze. Ale jak tu napisane: *Wygnańcy polscy lat 1939-1945 w przejściu ku wolnej ojczyźnie Bwana Mkubwa, Rodezja*. Mi się do dzisiaj nie chce wierzyć, że ja tam byłam. Ale patrzcie, jakie papierki, mama przez cały Sybir i Afrykę przewiozła to wszystko. Już się posklejały, nie wiem dlaczego. Nawet mapa jest.

(Pani Irena pokazuje dokumenty przewiezione przez jej mamę.)

Wie Pani, co w czasie wojny robili Pani dziadkowie?

Tak, bo mama o tym pisze. „Ojciec mój również był wysiedlony z Wołynia do Krakowa”. Pytałam później mamy brata, który mieszkał w bydgoskim, jak to było, że oni się do Krakowa dostali. Bo pojedynczo, nie wiem czy da radę, przecież była wojna. Mówił, że to zorganizowali ludzie. Zrobili zebranie, komitet powstał i ten komitet tak zorganizował, że oni stamtąd wyjechali, bo uciekali przed Ukraińcami. I wujek mówił, że nie do samego miasta Krakowa, tylko koło Krakowa. Opowiadał też, że pracowali w gospodarstwie należącym do Niemca, ale mieli jedzenie, mleko. Tam była jeszcze mojej mamy siostra, której mąż poszedł do wojska, później oni mieszkali koło Elbląga, w Markusach. A dziadkowie mieszkali po wojnie w bydgoskim.

Czyli po wojnie mieszkaliście w bydgoskim. To jak trafiła Pani do Choczewa?

Jak przyjechaliśmy do dziadków, miałam już 11 lat. Zaczęłam uczęszczać do szkoły podstawowej, a mama pracowała w gospodarstwie dziadka. Potem poszłam do szkoły średniej w Mogilnie. To był kiedyś klasztor, ale zaraz po wojnie to przekształcili w szkołę właśnie. Takie tam nawet były klitki, jak w klasztorze, mury grube, alejki. Skończyłam technikum ekonomiczno-rachunkowe. Na praktykach ze szkoły byłam w Pile, w Nakle, pozwiedzałam prawie całą Polskę. Zdałam maturę, papier mam do dziś, i dostałam wtedy nakaz pracy – do Kielc, do Państwowych Zakładów Zbożowych. Wtedy się nie martwiło, gdzie pracować. Wujek mój, Wawrzyniec Sibiga, mieszkał koło Malborka, w Zwierznie i pracował w mleczarniach. Tam właśnie kierownikiem był Jarczewski, który przyjechał do Choczewa i ściągnął też mojego wujka. Mama płakała i mówiła do mnie: „nie pojedziesz do tych Kielc”. I napisała do Ministerstwa Skupu, bo tak się to kiedyś nazywało. Wtedy wujek powiedział, że mam pojechać z nim do Choczewa, będę pracować w biurze. W 1954 wyjechałam do Choczewa. Pracowałam dwa lata w mleczarni, wyszłam za mąż za Jana Grzywacza, a potem pracowałam w Banku Spółdzielczym. I tak tu cały czas jestem.

A Pani mama została jeszcze w bydgoskim? Nie przyjechała od razu z Panią?

Mama, jak tylko ja się hajtnełam, od razu przyjechała do mnie i dzieci wszyscyutkie mi wychowała. Ja tylko pracowałam, w domu ani nie gotowałam, nic nie robiłam. Jak mama zmarła, to myślałam, co ja zrobię, jak będę gotować, ja nawet ziemniaków na obiad nie obierałam. Cały czas w biurze siedziałam, bo nie było takich maszyn jeszcze. Ewa Suska na liczydło liczyła, wyobrażacie sobie? W banku na liczydło?

Jak Pani pamięta Choczewo? To pierwsze spotkanie. Co tutaj było? Jakie wrażenia?

Brudno tu było. Te domy stojące na miejscu dzisiejszego Urzędu Gminy były okropne. Z jednej strony koń, z drugiej strony pokój. Jak weszło się, to od razu było czuć. Oborniki przy drodze. Tam mieszkał Hejda, Wawrzak, a po drugiej stronie ulicy, tam gdzie jest teraz sklep „Melan” mieszkał Wujec chwilę. Przed starą gminą wydaje mi się, że mieszkała Pani Baran. Wcześniej jeszcze były tu domy folwarczne, dla służby, ale potem wszystko poburzyli. To takie były jak Olekszyka. Tylko one były bardzo zaniedbane. No nie było raczej ładnych domów, same folwarczne, jak to na wsi. Żadnych ulic ani chodników, ani asfaltu, tylko bruk. Dużo stodół. A tam, gdzie są dzisiaj bloki to tylko pole. Były te domki, w jednym dzisiaj mieszka pani Szmyd, wszystkie prawie tak samo wyglądały. One do dzisiaj są równe, to są jeszcze niemieckie domki. Reszta tego osiedla na dole jest dobudowana. Wtedy to na Bobkowskim się wieś kończyła. Nie było nazw ulic, dopiero w 90 roku je nadano. Zupełnie inaczej wszystko wyglądało. Właściwie każdy dom przy głównej ulicy to było kiedyś gospodarstwo – Arent, Krzeszowiec, Murawski, Pobłocki, Mielewczyk, Styr. Ja pamiętam jak Styrkowa brukiew sadziła. Szłam na swoje pole, bo my mieliśmy trochę ziemniaczków, a Styrkowa sama, biedna, chustką miała zawiniętą głowę i sadziła tę brukiew.

Pamięta Pani jeszcze kto tu był, co robił? Jakies ważniejsze osoby może?

Walczakowie pracowali w mleczarni i Tenentka, Pletorak, Jurek Tatarczuk, który później pracował ze mną w Banku Spółdzielczym. Taka mleczarnia,

a ludzie przyjeżdżali, mleko zwozili, ruch tu był, tak wesoło, czyściutkie mleko można było kupić w butelce. Ja żałuję, że Walczak nie poprowadził dalej mleczarni w Choczewie. Ale to podobno zarząd nie dopuścił.

A jakby się zgodzili, to mleczarnia byłaby do dzisiaj, ludzie mieliby pracę, a teraz czy to jest możliwe, żeby tam takie zielsko rosło w tym miejscu? No już zesłam z tematu. Brzydko to wygląda teraz.

Gdzie Pani poznała męża?

Pracowałam w mleczarni i miałam koleżankę, laborantkę. I ona mnie wyciągnęła na zabawę do Łętowa. I na tej zabawie też mój mąż był i tak się poznaliśmy. Tańczył ze mną i jakoś tak wyszło.

Czym się wtedy zajmował?

Pracował w Urzędzie Gminy w Choczewie. Jeszcze pracował tam wtedy Nagrodzki. Mąż pochodził z lubelskiego. Jak przyjechał do Choczewa, to się kumplował z Miączem i Filochowskim.

Ale nie mieszkaliście od razu w tym miejscu, w którym teraz Pani mieszka?

Mieszkaliśmy tam, gdzie Hamerla mieszkał, naprzeciwko starej gminy. My na górze, a Hamerla na dole, a później tam jeszcze mieszkała jedna pani, a obok Styrce. Styrkowa to była kobieta trochę śmieszna, ale co ona miała, to ona się wszystkim podzieliła, taka szczerą była.

I jej mąż – Antoś – też fajny. A Hamerla to mały, na rowerku jeździł, pamiętam go, jego ojciec trochę był nerwowy. I tak to było. Potem przenieśliśmy się do domu naprzeciw mleczarni.

Tu, gdzie teraz ten Amerykaniec, całą górę mieliśmy, a na dole mieszkał stolarz – Stenka, dom był zresztą ich własnością, my wynajmowaliśmy. A tutaj na początku nędznie było, rudera, bałagan. Ściany to musieliśmy skrobać, chyba dziesięć warstw farby było i brud. Proszę się częstować chociaż ciasteczkami. A może kawkę jeszcze zrobić?

A Pani siostra gdzie mieszka?

Dalej tu mama pisze: „Córka Ewa wyszła za mąż za Mariana Derendę, przeprowadziła się do Tarnówka, koło Kruszwicy, bydgoskie. Mąż Ewy był nauczycielem w Rysinowie”. Na początku mieszkali w takiej szkole. Ale wyobraźcie sobie, że później, jak on już był na emeryturze to pojechali w góry latem, na zorganizowaną wycieczkę, ze Związku Nauczycielstwa Polskiego. Dzięki temu związkowi prawie całą Polskę zwiedzili, siostra do dzisiejszego dnia jeździ, była w Białymstoku w tym roku. Ale co innego miałam mówić. Pojechali sobie w te góry, no to dziesięć dni chyba było, albo tydzień, jakoś tak. I po tygodniu do mnie przyjechali. Szwagier mówił: „ty zostaw te gary, nic nie gotuj, tylko jedziemy do Białogóry, pójdziemy sobie tą drogą do morza, a jak się zmęczę...”, bo on tak się męczył już wtedy, na płuca chorował, na zapalenie, ciężko mu oddychać było, męczył się. Ale ja też się męczę, do kościoła pójde i z powrotem, to wiecie co, no zależy jaki dzień, teraz to jeszcze, ale wiosną to normalnie się duszę. A szwagier mój też tak, on nie miał nic z sercem, tylko właśnie te płuca. I dobra. Mówię mu – Marian nie jadę, bo to było gorąco. Oni pojechali, wrócili, ja obiad zrobiłam, wszystko zjadł. 11 gdzieś tak godzina, on się położył, lubił gazetki sobie czytać, w moim pokoiku spali, gazetkę wziął i czyta. Za chwilę zaczął kaszleć. Ale jak zaczął kaszleć. Jezu! Bez przerwy. I nic nie mó-

wił. Z siostrą pytamy: „co Ci Marian?”, a on dalej kaszlał. No i Wojtek (syn Pani Ireny – A.Ł.) był też i zadzwonił na pogotowie. Przyjechali, wzięli go, a potem dzwonili po drugie pogotowie, może z tlenem. I facet zmarł. A było pogotowie przecież. No i w Choczewie? Namęczył się, szedł, posiedzieli nad morzem, może to zmiana klimatu, bo najpierw góry, potem morze. Taki fajny, kulturalny facet, siostrę szanował, inteligentny. I przyjechał do Choczewa umrzeć. Z tydzień to się bałam do tego pokoju wejść. Ale o czym to ja mówiłam?

O siostrze Pani opowiadała. Na tym zdjęciu jest mama, siostra i Pani?

Zdjęcie 13 Weronika Urban z córkami – Ireną (po lewej) i Ewą (po prawej) w Stodólnie

Tak, mama, ja i siostra Ewa, ta młodsza. Jeszcze młode, chodziłyśmy do podstawówki. To jest pamiętka. Do szkoły do Mogilna chodziłam. Obejrze-liście zdjęcia? Po dwóch latach pracy w mleczarni zrobili w szkole zebranie i nie pojechałam. Teraz było 50 lat w 2004 roku i też nie pojechałam, bo mama była chora i tylko zdjęcia wysyłałam, te które miałam ze szkoły, bo prosili o zdjęcia. I oni mnie znaleźli. A przecież ja się nazywałam Urban, teraz Grzywacz, gdzie indziej mieszkam, a mnie odzyskali. Później dostałam list od kolegi, który się ze mną uczył, siedział za mną w ławce i się podkochiwał we mnie, to się dopiero wydało teraz, i przyjechał do mnie. Był w Łebie na wczasach, a w Toruniu mieszka, i przyjechał do Choczewa. W szkole nie zwracałam na niego uwagi, chłopcy mnie nie interesowali, nauka była ważniejsza. Ale chłopaki za mną latały. W szkole mieliśmy dyżury różne, czasem się po mleko latało. I on to właśnie wspominał, jak przyjechał. Mówił, że obejździł wszystkich uczniów z naszej klasy, miał nawet nazwiska powypisywane. Jeden kolega, nie z mojej klasy, stworzył taką książkę, w której opisał dzieje szkoły, od początku. I to wszystko, co było w internacie też. Teraz jest nowy gmach, przy dworcu i są różne działy: szewce, krawce, fryzjerzy i handlowa – główna, symbol tej szkoły. Kiedyś była właśnie handlowa, bo potrzebowali wtedy do takiej pracy w działach handlowych i księgowościach. Mojej siostry wnuk się tam uczy. Ale jeszcze zapomniałam powiedzieć! Jak przyjechał ten Rusek po nas.

Jak Was wywozili, tak?

Tak, mama moja coś tam wzięła i później uklękła na środku pokoju i zaczęła się modlić. A ten Rusek

zjął czapkę i zaczął mamie mówić: „weź maszynę do szycia i wszystko co Ci potrzeba”. Mama mi opowiadała to właśnie. Ja zawsze Andrzeja (syn Pani Ireny – A.Ł.) mojego wspominam, jak mama odprowadzała go do przedszkola i na schodach pytała: „a mówiłeś pacierz?”, a on: „babcia ja teraz powiem”, to mama mu tłumaczyła, że trzeba się skupić, on na to: „a Ty mówiłaś, że Bozia jest wszędzie”. Nie zapomnę tego. Mama mówiła, że wtedy wzięła jeszcze obrazek ze ściany, Matkę Boską, szkiełka były na nim, ale bez ramki, i też przewiozła ten obrazek z domu rodzinnego przez całą tułaczkę. On był już popękany w niektórych miejscach. Ala wzięła go potem na pamiętkę.

„(...) córka Ewa wyszła za mąż za Mariana Derendę. Mają 5 dzieci: Ewę, Waldka, Piotra, Jadzię i Katarzynę. Irena ma czworo dzieci: Alicję, Andrzeja, Jolantę, Grzegorza. (...) Irena w 80. roku została wdową. Wnuczka Alicja wyszła za mąż za Janusza Zujko i dopiero po 16 latach małżeństwa urodziło im się dziecko – córka Dominika. Wnuczka Jolanta wyszła za mąż za Andrzeja Formelę i mają trójkę dzieci: Aleksandrę, Magdalenę i Dorotę”.

Dużo się nie dowiedzieliście, mówiłam nie na temat.

*Rozmowę przeprowadzili i zredagowali
Aleksandra i Krzysztof Łasińscy.*

Może lepiej nie opisywać?

Marian Joachimiak, ur. 15.02.1927. Mieszkaniec gminy Choczewo od 1945 roku. Rozmawiamy w domu Pana Mariana o historii jego rodziny i czasach wojennych.

Mógłby Pan wyłączyć radio, żeby nie zakłócało nagrania?

A coś tam gra? A, tak gra. Już wyłączone.

Zacznijmy od początku. Skąd pochodzą Pana rodzice?

Skąd pochodzą rodzice? Dobrze. Pochodzimy z Nakła, a urodziłem się w Karnówku. Tata mieszkał tam już przed wojną.

Czym się zajmowała Pana rodzina?

Ojciec w majątku pracował. U dziedzica. Był fornalem. Krótco przed wojną my ześmy się przeprowadzili do Słupowej, miejscowość taka, też w bydgoskim. I tam mieszkaliśmy w czasie wojny. Po wojnie, 16 maja w 45 roku wyjechałem z Bydgoszczy do Łęborka. W tamtym czasie jeszcze samochód na drzewo się palił, jak to nazywali po niemiecku holzgas.

Może wróćmy jeszcze do czasów przedwojennych. Czy Pana mama też pracowała zawodowo?

Nie, mama zajmowała się domem, wychowywała dzieci. A ile było rodzeństwa razem? Sam nie wiem. Chyba siedmioro. Dwoje umarło przed wojną.

A ja żem tutaj przyjechał do Łęborka w 45 roku 16 maja. Byłem tam jeden dzień, nocowałem i stamtąd do Kurowa (wieś w gminie Choczewo – A.Ł.) ześmy szli pieszo, nie było przecież pojazdów tak jak dzisiaj. Tyle mogę powiedzieć.

Dlaczego przyjechał Pan akurat do Łęborka?

No to przecież nie ja wybierałem. Urząd Ziemski nas wysłał. Z Bydgoszczy jechał samochód, to nie tylko ja, było więcej ludzi, cały transport.

Pana bracia też przyjechali tym transportem?

Nie, nie, ja sam. Oni dopiero później. Jak jechaliśmy do Łęborka, ześmy się zatrzymali przed Kartuzami, to Kaszuby były. Wtenczas dotarliśmy do Łęborka i tam nocowałem. Przyjechałem z takim porucznikiem przedwojennym, a na drugi dzień ruszyliśmy do Kurowa.

A dlaczego do Kurowa? Też Was skierowali tutaj?

No kierowali, to przyjechaliśmy. Nie, pieszo ześmy szli. Trójka nas szła z Łęborka przez Łebień: ja, Szmyd i Wendrowski. Ten porucznik przedwojenny objął majątek w Kurowie, ale nie na długo, bo pojechał do domu i go zabili.

Skąd pochodził?

Z Nakła. Jego ojciec miał własną spółdzielnię. W 45 roku wezwali nas do Bydgoszczy, ja jeszcze w polu pracowałem, ale przyszedł Pawlak i mówi: „zjeżdżaj, jedziemy na Zachód po konie”. Jak po konie, to po konie.

Ten porucznik się nazywał Pawlak?

Słucham? Tak, Pawlak. No i wtedy do Lęborka przyjechaliśmy. Stamtąd pieszo – ja do Kurowa, Szmyd do Przebendowa, Wendrowski chyba do Żelazna czy do Łętowa, już teraz nie pamiętam. Pawlak wcześniej przyjechał do Kurowa i myślał czy oni przypadli, czy co. A myśmy szli, szli. Co wioskę przeszliśmy, to pytamy ile kilometrów do Gotendorf, bo Choczewo się tak po niemiecku nazywało. Ja niemiecki umiałem, to zawsze żem się rozmówił. Niemcy mówią, że już niedużo. My idziem, idziem, a tu cholera nic nie ubywa. Przecież to jest prawie 30 kilometrów. Z Lęborka jak wyszliśmy to dziewiąta chyba była, w Kurowie byliśmy około drugiej. Wtedy ja zostałem, Szmyd poszedł do Przebendowa, a Wendrowski to nie przypominam sobie, czy Żelazno...?

Co Pan robił w Kurowie?

Ja tam byłem jako... o! I teraz powiem. W Kurowie wtedy byli Niemcy i przyszło wojsko polskie na placówkę, ale Niemców nie karcili, nic im nie robili. Ja tam z nimi byłem aż do jesieni. Wtedy sprowadziłem rodziców do Kierzkowa. Zostawiłem ich na gospodarce, a sam jeszcze pracowałem w Kurowie. Nie pamiętam czy do września, czy do października. To już tyle czasu. W Kurowie z porucz-

nikiem objęliśmy cały majątek. Byłem jego pomocnikiem, żeby Ruski krzywdy Niemcom nie robili. Jeszcze, teraz już nie powiem czy w lipcu, czy w czerwcu, nasze wojsko było poobsadzane tam po majątkach.

Rosjanie cały czas tam byli?

Ruski? Kiedy weszło nasze wojsko, to musieli uciekać. Jak my przyszedliśmy do Kurowa, to jeszcze byli, ale jak było w pokojach, to już nie będę opowiadał, bo szkoda gadać, jaka kultura. Gorsze jak świnię. Niemców myśmy najęli i musieli sprzątać. Wszystkie pokoje pomyli jak się należy. I byłem w Kurowie do jesieni. Rodzice na gospodarkę przyszli i do nich się przeprowadziłem.

Rodzice byli sami czy z Pana rodzeństwem?

Cała rodzina. Przyjechał najpierw tata objąć to, a później mama i rodzeństwo. Siostra i brat umarli w Koronowie na tyfus, który wtenczas panował. Ja do nich przyszedłem po wyborach, jesienią. Bo w Kurowie kiedyś się odbywały wybory, były tam jakieś komory wyborcze, czy jak to się nazywa... o! lokale, tylko wtedy inaczej mówili na to. My ochranialiśmy, żeby Niemcy ani Ruscy nie przeszkadzali.

Był Pan wojskowym?

Nie, cywilem. Ja nie mogłem być w wojsku, za mało lat miałem.

Pamięta Pan dziedzica pałacu w Kurowie, Carla Georga Fließbacha?

Właścicieli już nie było, tylko Polacy.

Podobno właściciela zastrzelili, tak piszą w książkach.

Tego nie wiem. To się nie zgadza, bo jak myśmy przyszli do Kurowa, dziedzica nie było.

Być może już nie żył, bo został zastrzelony właśnie pod pałacem.

Tak? To coś mi się nie chce wierzyć. Ja 16 maja byłem tu. Kiedy go mogli zabić?

Możliwe, że wcześniej, bo tutaj już w marcu były tereny wyzwolone.

Ale jak my ześmy do Kurowa przyszli, to po wszystkich majątkach już byli Polacy, nie Ruscy. No tyle mogę powiedzieć.

Z Kurowa odszedł Pan do Kierzkowa.

Najpierw pojechałem do Bydgoszczy, do rodziców, zapytać, czy by chcieli tu przyjść. Naszą gospodarce tam rozparcelowali i mówię do taty, że szybko jej nie odbudujemy. Weźmiemy pożyczkę, to jesteśmy zarżnięci, a w Kierzkowie były gotowe domy, lepiej zabrać rodzinę na Zachód. Jak przyjechali do Kierzkowa, nie było prądu. Ale jakoś znaleźliśmy dom, załatwiliśmy formalności przez Urząd Ziemski w Lęborku i tata objął gospodarce. Ja jeszcze zostałem w Kurowie, na jesień przyszedłem do Kierzkowa. Wiecie, pamiętam takiego Wiklińskiego – komendanta. W Kurowie była placówka i odbywały się wybory. Opowiadali, że on wziął wszystkie papiery wyborcze i z nimi uciekał, ale gdzie, to nie wiem. Postrzelili go. Ale był tak tłusty, że kula tylko go trochę zraniła.

On był wojskowym?

Nie, nie, cywil. Był, jakby to wytłumaczyć, kurde felek, tak jakby wójt. Jak jedzie się z Przebendowa i jest zakręt na Kurowo i tam gdzieś jego postrzelili – milicja, bo przedtem nie było policji, tylko milicja. Ale że był taki tłusty, to tylko przeszła kula i nic mu się nie stało. On papiery wiozł, bo niedługo miały być wybory. Ale dlaczego uciekał, tego nie wiem, bo człowiek się nie interesował. Nie było lekko tu.

Jesienią zamieszkał Pan w Kierzkowie. Pomagał Pan ojcu w gospodarstwie?

Ojciec gospodarzył. Ja pracowałem w Kierzkowie w młynie.

Czyj był ten młyn?

Czy czasem Wikliński go nie miał? Już teraz dokładnie nie pamiętam, ale mi się wydaje, że Wikliński. Ten wiatrak był czynny, mąkę mielił, kaszkę mannę. Były walce, kamień co śrut robił. Potem taki Erich też w wiatraku pracował – Niemiec. Oficer, pochodził z Prus Wschodnich, powiedział mi to, ale nie kazał nikomu mówić, bo od razu by go zwinęli. Ale wszystko po polsku umiał.

Wiatrak się potem spalił, prawda?

Ale już dużo później. Prawdopodobnie ktoś go podpalił. On był drewniany. Jak wiał silny wiatr czy wichura, to wiązaliśmy skrzydła, bo by się rozpadły. I tak u Grobickiego w młynie pracowałem.

Miał Pan wtedy 18 lat, a gdzie Pan poznał żonę?

Obok zaraz, po sąsiedzku mieszkała. Córka Rachwalskiego. Zapoznałem ją i żeśmy się pobrali.

Kiedy przeprowadziliście się do Choczewa?

Jak się do Choczewa dostałem? Do tego domu? Ten dom repatrianci mieli. I przyszło im płacić, bo trzy lata czy ileś mieli bezpłatne. To zaczęli szukać kogoś, kto dom weźmie, ale mieli pożyczkę, teraz już nie wiem ile, ale dosyć. Ja przyjąłem tę pożyczkę i dostałem dom. Ale nie pamiętam, kiedy to dokładnie było. Już na pewno żonaty byłem i dzieciaty.

Czym się zajmowali repatrianci jak jeszcze tu mieszkali?

Oni mieli dostać ziemię, ale trzeba było za to zapłacić, więc zrezygnowali i pojechali do Białegostoku. Ja do nich, do Białegostoku pojechałem formalności załatwiać. Luksusowe domy tam mieli.

Pamięta Pan swoich sąsiadów z tamtego czasu?

Sokołowski na pewno. Tam, gdzie teraz pani Sten cel mieszkał Dziemianik.

Opowiadał Pan kiedyś, że po wojnie w Łętówku była baza wojska rosyjskiego.

Choczewko i Kurowo – tam było polskie wojsko, a Lublewo było ruskie. Polacy się bili z Ruskami.

Bili się?

No a jak! Myślicie, że Polacy Rusków głaskali? CKMy były w robocie. W Lublewie później też było polskie wojsko. A znowu Ruski nad jeziorem. Wszystkie stodoły poobierali, mieli swoje baraki. Ja byłem w milicji. Komenda była tam, gdzie teraz jest, tylko że ruska i polska razem.

W Kierzkowie koło krzyża stoi pomnik, poświęcony Mielewczykowi i Bemce. Zna Pan tę historię? Piszą, że zginęli jako milicjanci, a z kolei drugi napis mówi, że Rosjanie ich zabili.

Bemka i Mielewczyk? Czekajcie, teraz ja nie chcę cyganić, bo ja tam nie mieszkałem jeszcze, tylko w Kurowie. Bemka został zabity w Dużym Kierzkowie, a Mielewczyk chyba w Małym. A koło krzyża Niemcy prawdopodobnie zginęli. Ale kto zabił, nie wiem.

Czy pamięta Pan, kto był wtedy wójtem albo naczelnikiem?

Wójtem był Polesa Władysław, zaraz po wojnie. Ale jak długo? Do wyborów. Później wybory i wtedy został cholera jakiś, jak on się nazywał? Nie pamiętam. Tutaj z Ruskami był meksyk.

Były jakieś szkoły w tym czasie?

Nie, od razu nie było szkoły. Dopiero po jakimś czasie, tam, gdzie jest teraz przedszkole, a później w pałacu.

A ośrodek zdrowia?

Słucham? Ośrodek zdrowia? Nie, ale porodówka była tam, gdzie jest dzisiaj ośrodek zdrowia, a później chyba tam, gdzie teraz mieszka Liszniański.

Nie chcę cyganić, bo człowiek ma tyle lat, to już się nie interesuje.

Kolej już działała?

Jeszcze nie, skąd!

A mleczarnia?

Działała, ale trochę później. Czy poczta była, to nie mogę powiedzieć, nie było chyba. Zaraz, ta poczta, no długo zaczynam powstała. Ale ile nie będę mówił. Z Lęborka żeśmy tu szli pieszo, co uszliśmy kawałek, to pytaliśmy, ile kilometrów. Ja po niemiecku umiałem, a teraz, żebyście mnie zabili, to nic nie wiem. Bo się nie rozmawia.

Był jakiś kościół po wojnie?

W Choczewie nie było, tylko kapliczka. Przyjeżdżał ze Zwartowa ksiądz i co drugą czy co trzecią niedzielę odprawiał mszę. W Osiekach był kościół, ten sam, co dzisiaj stoi. Jak kto chciał, szedł do Osiek, a kto chciał, to szedł tu. Ale do Osiek już przyjeżdżał ksiądz z Wierzchucina odprawiać mszę. Pieszko czasami szedł! A czasami jeździli po księdza, przeważnie Feta, bo miał i powózkę, i konie.

Mógłby Pan opowiedzieć o pierwszych osadnikach?

Z Polaków? Tego dokładnie nie wiem. W Kierzkowie był tak: Feta, Bemka, a w Choczewie Baran. Tutaj po lewej stronie, już tego domu nie ma. Tam, gdzie jest teraz Urząd Gminy stał stary dom, w którym mieszkał Hejda i jeszcze ktoś. Wawrzak.

Mielewcykowie mieszkali w tym samym miejscu co teraz. Hamerla tam, gdzie teraz Stróżyński, obok Stryc. Pobłoccy też byli i Gózdź wcześniej. I tu zaraz, w tym pierwszym domu Pac.

Pamięta Pan spółdzielnie produkcyjne?

No pewnie, że pamiętam.

Był Pan w takiej spółdzielni?

Nie, a z jakiej racji?

Podobno przymuszali do członkostwa.

Tak, a jak. Mnie by i tak nie przymusili, nie poszedłbym. Przecież wiem, jaka ta spółdzielnia była. Rozleciała się szybko, bo nikt nie chciał przystępować. Każdy wiedział, jak tam jest.

O, mieszkał tu jeszcze Olekszyk, Krzeptowski, Krzeszowiec, Romanik. I był warsztat stolarski – Stenke miał. Po lewej stronie mieszkał Baran i Grabowski tam, gdzie teraz. A na miejscu obecnego sklepu „Melan” Woch, Wujec i Milewski. Fajnie było w Choczewie, zabaw tyle, co dzień prawie, nie tak jak dzisiaj. Zabawy odbywały się tam, gdzie teraz biura Gminnej Spółdzielni, bo kiedyś była to duża sala i kino. Choczewo dobrze stało. I ludzie się szanowali, nie tak jak dzisiaj – ty taki, ja taki. Powiem Wam czemu się szanowali. Bo było po wojnie i już przeszli swoje piekło. I bieda była. Ale bawili się ludzie, młodzież, babki takie stare przychodziły. Z Kierzkowa nawet.

Wie Pan skąd przyjeżdżali ludzie do Choczewa?

Z całej Polski. Z Białegostoku, z lubelskiego, z sieradzkiego, z bydgoskiego.

Pamięta Pan pałac w Osiekach?

No pewno, że pamiętam, czemu nie? Później rozebrali go, żeby zrobić drogę. To był pałac! Głupie ludzie, przecież ta droga mogła iść za murem, ale zrobili prostą. A on był w dobrym stanie, nasi tam zrobili biura. Ale Polacy nie umieli gospodarzyć. Nauczyli się szabrować tylko. Przyjechali i szabrowali, a Niemcy się bali.

Kojarzy Pan nazwisko Rymsza? Podobno pracował po wojnie w Osiekach, w Lublewie, bardzo krótko też w Żelaźnie.

Rymsza... Rymsza... Pamiętam go. Tak, taki chłop (*Pan Marian wykonuje ręką gest*). Dobry był.

Aresztowali go w Osiekach, bo był żołnierzem Armii Krajowej. Zna Pan tę historię?

Powiem jakim sposobem. Jego poznał jeden. Do Osiek przyjechał i poznał, że on prawdopodobnie z Niemcami pracował.

Ale on walczył w szeregach Łupaszki.

No może i tak. Żeśmy się spotykali w Osiekach. On tylko mówił, że był w partyzantce.

(*Do Pana Mariana dzwoni telefon. Odbiera.*

– Tak, słucham. No cześć. Aha. Aha. No ja wiem, wiem. Aha. No dobrze, dobrze. No, no. A tutaj Łasińscy są, rozmawiamy. No, tak. Dobrze, nie, nie, taki wywiad. No na razie, pa, pa.

– Masz pozdrowienia od Wojtka – mówi do mojego taty.)

Wracając do Rymszy. Aresztowano go w lipcu w 47. Wcześniej mieszkał na Wileńszczyźnie i się ukrywał, bo był z AK. Ujawnił się, kiedy ogłosili amnestię, ale został oszukany i aresztowany. Tak piszą.

No może i tak było, nie chcę mówić, bo nie wiem.

Pełnił Pan w Choczewie różne funkcje. Działał Pan w Spółdzielni Kółek, w radach, w mleczarni.

Tak, młodzież wysyłaliśmy do Warszawy do pracy i jeszcze gdzieś na miesiąc czy na dwa. Byłem komendantem, to żeśmy organizowali. Dobra organizacja, każdy się szanował, nie było, żeby jeden na innego źle patrzył. Fajnie było. A dzisiaj? Ten jest taki, ten taki, ten bogaty, ten biedny. A bogaty biednego nie uważa, a przedtem każdy jeden się szanował. Nie ma co równać teraz do tamtych czasów. Tam, gdzie są teraz te biura, były zabawy bez przerwy, a knajpa była tak, jak jest, tylko się schodziło prosto na salę. Bawili się ludzie, orkiestra grała. Ale kto to organizował nie wiem, nie powiem. Bo jak mam cyganić, to lepiej wcale nie mówić. Jak przyszedłem do Kurowa, to byłem z trzema wojskowymi. Jeden Niemkę zapoznał i uciekli do Niemiec, szukali go później, ale nie znaleźli.

Sklep był w tym czasie?

W Osiekach nie było zaraz, później dopiero brat mój Aloch prowadził sklep. Przedtem ktoś jeszcze, ale nie pamiętam.

A piekarnia?

Od razu nie było.

To skąd mieliście chleb?

Przeważnie każdy sobie piekł. Gdzieś może była piekarnia, ale w Choczewie dopiero później. Wtedy to i piwo było, rozlewnia. W Ciekocinie też był chleb, jeszcze za Niemca, po prawej stronie. Ale ludzie piekli po domach, moja żona też. Piec był kaflowy i się piekło 4-5 bochenków na raz, na cały tydzień. I żyło się. Dzisiaj jak komu powiesz, to by wyśmiali, że tak było. Było inaczej, szanowali się ludzie, nie kłócili się, żyli wszyscy w zgodzie. Przecież każdy wojnę przeżył. Ja byłem dwa razy pod murem.

W czasie wojny?

W czasie wojny, przez SS-manów. Już dużo nie brakowało, już mnie prowadził. Ale jeden oficer wyskoczył i mówi: „co jest tutaj?”, ja po niemiecku umiałem, to tłumaczę, że taka i taka sprawa. A pytał się ten drugi o konie, to mu odpowiadam, ale on nie wierzy w to, co ja mu mówię. Jak wyjaśniłem oficerowi, to on mówi do tego drugiego: „co ty chcesz od tego chłopaka?”, bo przecież 18 lat to ja byłem chłopakiem, „jak Ci tłumaczy, że tak i tak, to co ty chcesz?”. No i uszedłem z życiem.

A drugi raz?

Drugi raz to od Rusków, tutaj już. W Kurowie. Z Mielewczykiem mieliśmy wtedy służbę. W starej szkole Niemki były i Ruski do tych Niemek przyszli, taki krzyk. Mówię do Mielewczyka tak: „załadujemy broń i wystrzelimy”. Jak my wystrzelili, to Ruski uciekli. Ja zaraz do nich: „ręce do góry, co wy tu chcecie? Tu jest naród pracujący”. A oni byli z Choczewa

te Ruski, nad jeziorem mieli baraki i łazili jak takie łajzy. Ale Niemcy nie byli złe ludzie. Nie byli nieuprzejmi, porozmawiali zawsze. A może lepiej, żeby tego nie opisywać?

*Rozmowę przeprowadzili i zredagowali
Aleksandra i Krzysztof Łasińscy.*

Brat wiedziałby to lepiej...

Pani Irena Romanik i Halina Łazarska są siostrami. Jako kilkuletnie dziewczynki przybyły wraz z rodzicami i rodzeństwem do Choczewa. Zgodziły się opowiedzieć nam historię swojej rodziny i przypomnieć Choczewo sprzed kilkudziesięciu lat.

p. Halina: Dziadek ze strony ojca był w wojsku rosyjskim czternaście czy szesnaście lat? (zwraca się do siostry) Znalazłaś te dokumenty?

p. Irena: Nie wiem, gdzie są. Zwykle tak bywa, że gdy od czasu do czasu się czegoś szuka, to nie można znaleźć. Staram się robić porządki i wyrzucać zbędne rzeczy, bo naprawdę bez umiaru się je zbiera, nie wiadomo po co. O! No przecież! Jest więcej szuflad. I jest akt nadania!



Zdjęcie 14 i 15 Akt nadania ziemi Józefowi Romanikowi

Naklik. Pochodźcie Panie z tego samego miejsca, z którego państwo Olekszykowie.

p. Irena: Tak, dlatego nasze rodziny się przyjaźniły. Zresztą więcej rodzin przyjechało z lubelskiego: Krzeszowiec, Styrca...

p. Halina: ...Dymowicz!

p. Irena: Tak, Dymowicz. Krzeptowscy chyba niezupełnie...

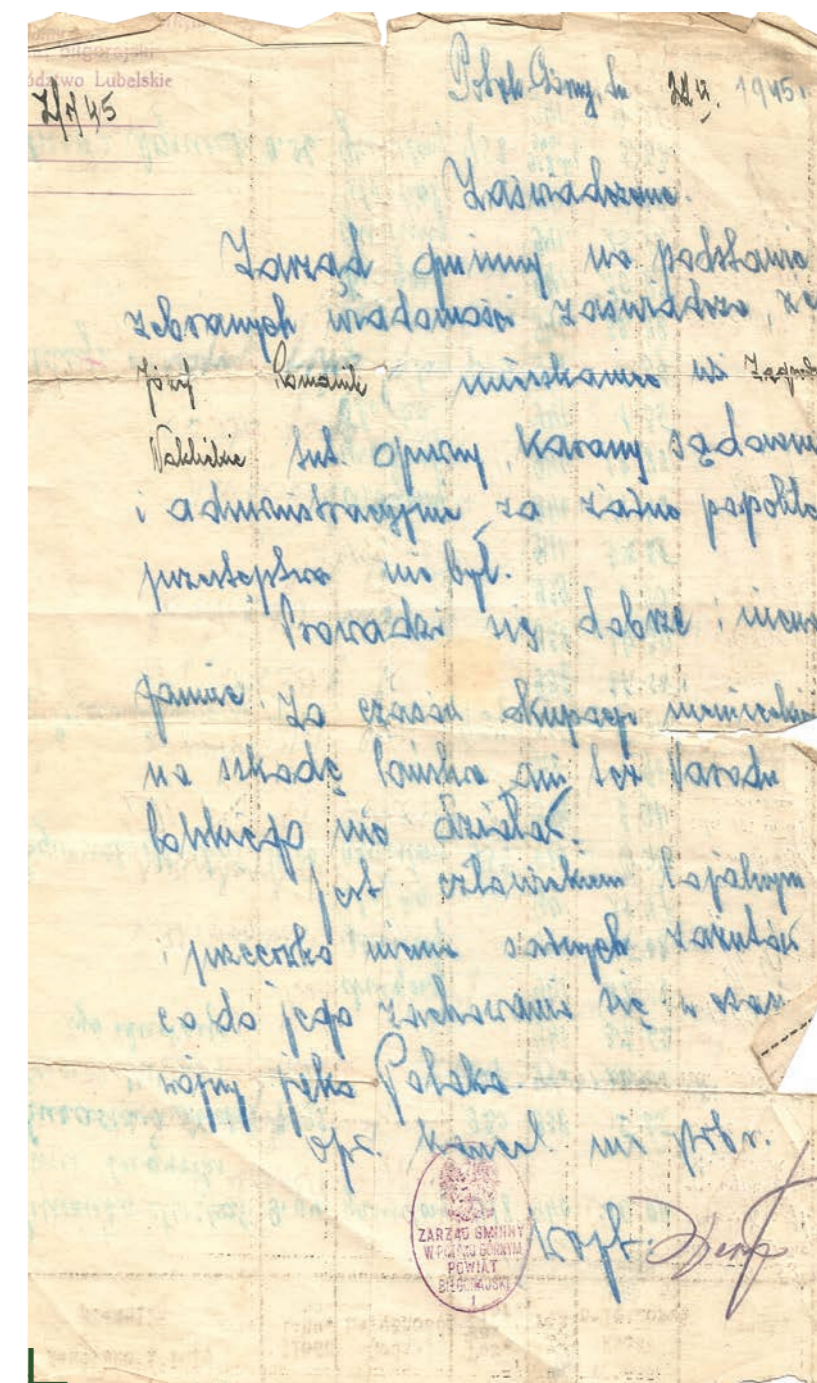
p. Halina: Nie! Oni nie.

p. Irena: Racja, Krzeptowski był Góralem. Budował wyciąg na Gubałówce. Opowiadał kiedyś, że w plecaku przynosił kamienie potrzebne do tej budowy. Pani Krzeptowska przyjechała zdaje się z rzeszowskiego. (zwraca się do siostry) Tobie herbaty nie robiłam, bo Ty oczywiście nie pijesz. W 45 roku nasi rodzice zaczęli się starać o przeprowadzkę tutaj. Ojciec dostał taką jakby opinię, że nie jest karany i może wyjechać.

To ten dokument? Potok górny, 21 grudnia 45 rok, województwo lubelskie, pieczętka, powiat biłgorajski, zaświadczenie. Zarząd gminny na podstawie zebranych wiadomości zaświadcza, że Józef Romanik mieszkaniec wsi Naklik (Zagajniki naklińskie)...

p. Halina: To była bardzo długa wieś, po jednej stronie domy, po drugiej las.

Nie był karany administracyjnie i sędownie, prowadził się dobrze i nienagannie. Za czasów okupacji niemieckiej na szkodę państwa polskiego ani



Zdjęcie 16 Zaświadczenie zarządu gminnego

Wzór Nr 4 do poz. 31 Instr. H. 1a.

Ministerstwo Administracji Publicznej
Państwowy Urząd Repatriacyjny

Zaświadczenie Nr Lb. S. III

dla uzyskania ulgi na przejazd przesiedleńca wraz z rodziną i na przewóz mienia z kredytowaniem opłat na rachunek P. U. R.

Ob. Komaniański Józef + rodzina
(imię i nazwisko przesiedleńcy)
ul. m. portu
(adres w jego miejscu osiedlenia)

legitymujący się dowodem Nr 2675 z dnia 11 października 1943
wydanym przez Urząd Pow. Biłgoraj udaje się ze swoją
rodziną w ilości osób dwie
(słownie)
od stacji Łęczna w sk.
(stacja miejsca pobytu rodziny)
do stacji Choczewo
(stacja obranego miejsca osiedlenia)

ma prawo:

1) nabycie ulgowego biletu klasy 3 według tabeli T 75 przy przejeździe pociągiem, w którym dopuszczalny jest przewóz osób;

2) nadania do przewozu mienia jako przesyłkę zwyczajną wagonową z obliczeniem przewoznego za wagon według stawki 50 groszy z 1 osiokm.

3) nadania do przewozu mienia jako zwyczajną przesyłkę drobną z obliczeniem przewoznego według stawek klasy I i II, obniżonej o 50%.

4) nadania mienia jako bagaż lub przesyłkę ekspresową według tabeli BE ze zniżką 50%.

Niniejsze zaświadczenie ważne jest tylko za jednoczesnym okazaniem:

a) zaświadczenia Starostwa lub zarządu gminnego, stwierdzającego, że przesiedleńca osiedlił się na stałe w miejscowości położonej na terenach, objętych akcją osiedleńczą, oraz

b) zaświadczenia Starostwa lub zarządu gminnego, w którego okręgu zamieszkuje rodzina przesiedleńca, stwierdzające, że osoby te udają się wraz z przesiedleńcą na tereny objęte akcją osiedleńczą i są członkami jego rodziny.

Ważne do dnia 30 kwietnia 194 r.
(najwyżej 14 dni od daty wystawienia)

Biłgoraj dnia 16 kwietnia 194 r.

(podpis przesiedleńcy) Józef Komaniański Pieczęć PUR. (podpis wystawcy)

Do każdego listu przewozowego, kwitu bagażowego lub listu ekspresowego należy dołączyć oddzielne zaświadczenie.
Datę wypisać słownie.

Zdjęcie 17 Zaświadczenie dla uzyskania ulgi na przejazd przesiedleńca wraz z rodziną i na przewóz mienia z kredytowaniem opłat

też narodu nie działał, jest człowiekiem lojalnym, przeciwko niemu żadnych zarzutów co do jego zachowania się w czasie wojny jako Polaka nie ma.

p. Irena: O! Tu jest bilet na przejazd. A to Panią będzie interesować. Świadectwa szkolne siostry naszego ojca. Bardzo podobne do tych wydawanych obecnie, prawda? Tutaj jeszcze pokwitowanie odbioru ruchomości.

Jednoklasowa Publiczna Szkoła Powszechna

im. Nahleku (powiat: Biłgoraj)
w Nahleku (powiat: Biłgoraj)
Nr. I Rok szkolny 1942-43

ŚWIADECTWO UKOŃCZENIA SZKOŁY

Romanikówna Józefa
urodzona dnia 15 marca 1914 w Nahleku
(powiat: Biłgoraj), religii (wyznania) ryzykat
ukończyła w roku szkolnym 1942-43 oddział czwarty szkoły jednoklasowej, czterooddziałowej, otrzymując stopnie następujące:

ze sprawowania się	<u>bardzo dobra</u>
z nauki religii	<u>bardzo dobra</u>
języka polskiego	<u>bardzo dobra</u>
języka	<u>dobra</u>
rachunków z geometrią	<u>dobra</u>
przyrody	<u>dobra</u>
geografii	<u>dobra</u>
historji	<u>dobra</u>
rysunków	<u>dobra</u>
robót ręcznych	<u>dobra</u>
śpiewu	<u>dobra</u>
ćwiczeń cielesnych	<u>dobra</u>
robót kobiecych	<u>dobra</u>

Wynik ogólny bardzo dobry

w Nahleku dnia 23 marca 1943 r.

Jęmiotłko
Opiekun oddziału

Zdjęcie 18 Świadectwo ukończenia szkoły przez Józefę Romanikównę

OKRĘGOWY URZĄD LIKWIDACYJNY
w Szczecinie

Nr. 32/8

Pokwitowanie odbioru ruchomości
(dla dotychczasowego użytkownika)

Kwituje się odbiór niżej wyszczególnionych ruchomości, zabranych na podstawie decyzji Komisji Opiniodawczej Choczewa przy ul. Katowicka Józefa Nr. 17
w Szczecinie zajmowanego przez Ob. Stolik nocny, 1 leżanka

Wyszczególnienie ruchomości:

Łódka 7. 5 50
Szczecin, dnia 17. 5 194 r.

Uwaga: bez okrągłej pieczęci Okręgowego Urzędu Likwidacyjnego z godłem Państwa pokwitowanie jest nieważne

Druk. Państw. Nr 1 w Szczecinie 150 000 Nr. 1730/XII/47

Zdjęcie 19 Pokwitowanie odbioru ruchomości

Poświadczam odbiór ruchomości zabranych przez obywatela Romanika Józefa: jeden stolik nocny, jedna leżanka.

p. Irena: Odkryłam to dopiero niedawno, bo wszystko było w dokumentach ojca, którymi się wcześniej nie interesowaliśmy. Na odwrocie są jakieś nazwiska wypisane. Pewnie tyle papieru nie było, więc wykorzystywano co się dało i pisano na innych

dokumentach. Ten pochodzi jeszcze z czasów wojny, 42 rok.

p. Halina: A to chyba kwit gotówkowy z zakładu leczniczego dla zwierząt w Choczewie, rok 56, 120 złotych za jakieś zabiegi, weterynarz Grzebyk.

p. Irena: Pamiętam pana Grzebyka, przychodził do nas po mleko.

Państwowy Zakład Leczniczy dla Zwierząt
 w Choczewo
 L.p. księgi leczenia Kwit gotówkowy SERIA AK Nr 341270
Nota kredytowa
 Dla Ob. Romanika Józef zam. w Choczewo
 ul. debrak Nr chocewo gromada chocewo
 pow. debrak za świadczenia zakładu (w godz. urzęd. poza godz. urzęd. — w godz. nocnych, w niedziele i święta) w dniu 6.11.1956 r.
 w godz. od 8:00 do 10:00 obliczono wg taryfy opłat.

Lp.	Rodzaj świadczeń	Pozytywność inwentary opłat	Ilość punktów	Ogółem		Uwagi
				zł	gr	
1	Wizyta poza zakładem	1	6	9	00	
2	Zabiegi	8x	137	80	120	10/9.
3		3x	15	45	67	50
4						
5						
6	Złeczone akcje masowe					
7						
8	Leczenie stacji. dni					
9	Pasza i ściółka					
10	Strata czasu 1/2 g/					
11	Lekt. mocja km. a					
12	Leki i środki opatrunk.					
13	Splata kredytu kw. Nr					
Razem				131	19650	

Słownie złotych 131 zł 19 650
 dnia 6.11.1956 r.
 (podpis wpłacającego) _____ pieczęć _____ (podpis inkasenta) _____
 37 - CWD - Zam. 258/Ww
 - 77a - 20.000 bl. à 50x3 k. Druk: 7 kl. 60 g, przeb. 30 g - 25. 2. 56

Zdjęcie 20 Kwit gotówkowy od miejscowego weterynarza, rok 1956

p. Halina: Wicie co się wtedy działo? Często zdarzało się, że krowy zjadły mokrą koniczynę i trzeba było wołać weterynarza.

(Pani Irena przegląda kolejne dokumenty.)

p. Irena: Tu jeszcze są jakieś nazwiska wypisane. Baran, a tak. On też przyjechał mniej więcej w tym czasie co nasi rodzice. Adamczewski Czesław. Jedliński – to niekoniecznie z Choczewa, ale kojarzę nazwisko. Mazurek Józef, pewnie ze Słajszewa (wieś w gminie Choczewo – A.Ł.). Stefanowski Franciszek, nic mi to nie mówi. Nie minął przecież wiek ani dwa, a człowiek niektórych rzeczy nie pamięta.

BRUNON GRZENKOWICZ
 Wejherowo
 ul. Sobieskiego 280/2

30-0006 Data _____

Ilość	Przedmiot	Cena	zł	gr
	Labortary Choczewo			
	1 ptug Piom	2480-		
	dwakrotność wstępny stróżem drzewami			
	11/11 48			
	Rejestrki			

Lp.	Nazwisko i imię płatnika	Ilość ha.	Rodzaj należności	Poz. ks. bier.	Za rok	Kwota należności	Uwagi.
1	Pietraszka Michal	9.00	gruzelowy	918	940	10.00	Kwit Nr. 53 adu. 22. XI. 40
	Wici Lagotki		O.K.				
2	Kurasiawan Michal	7.92	"	920	938	5.85	220 44 2
3	Baran Michal	11.90	"	907	940	22.50	adu. 15. XI. 40
	Wici Ludwika			941	941	34.62	
			drugony	941	941	12.54	130486
			guzowy	941	941	15.08	27/4 42
			slajka	941	941	1.47	
4	Szymon Michal	4.52	gruzelowy	935	936	6.54	Kwit Nr. 698
			O.K.	934	934	6.91	adu. 15. XI. 40
				932	932	6.90	Konieczka
5	Pietraszka Michal	7.92	"	927	936	6.51	
				937	937	11.05	6137101
				938	938	14.30	643742
				939	939	6.90	613743
				941	941	34.25	
			drugony	941	941	11.42	180507
			guzowy	941	941	13.81	25.6.42
			slajka	941	941	1.35	
6	Wici Michal			943	938	6.54	800
				941	941	32.42	180502
			drugony	941	941	10.83	27/4 42
			guzowy	941	941	13.12	
			slajka	941	941	1.20	
7	Chuda Agnieszka	0.56	gruzelowy	958	940	3.23	
				941	941	4.25	

Zdjęcie 21 i 22 Zapiski znalezione w dokumentach Józefa Romanika

Może udałoby się Paniom opowiedzieć coś jeszcze o historii rodziny.

p. Irena: Naklik, skąd pochodzimy, leży na granicy z Ukrainą.

p. Halina: Rodzice taty mieli małe gospodarstwo. Dziadek służył w rosyjskim wojsku chyba szesnaście lat. Babcia pracowała u Stoboja, który miał w Nakliku ogromny majątek.

p. Irena: To był dziedzic!

p. Halina: O! Dziedzic.

Naklik był dużą wsią?

p. Irena i p. Halina: Dużą!

p. Halina: Byłam tam raz, jako dziecko. Jak jeszcze babcia żyła, to mama dosyć często jeździła do Naklika i raz mnie zabrała.

p. Irena: Wtedy to była wyprawa na koniec świata.

p. Halina: Podobno jak dziadek wrócił z wojska i dostał pieniądze za tę służbę, to kupili hektar ziemi i mały dom. A z kolei dziadek Rogowski, ojciec mamy, miał dosyć duże gospodarstwo, porządne. Oprócz tego był zdaje się gajowym. Też w Nakliku. Azorek (*pani Halina zwraca się do psa*), już idź, bądź grzeczny.

p. Irena: Ojciec miał jeszcze siostrę i brata.

p. Halina: Wujek umarł pod koniec wojny. Ciocia Józefa przed wojną wyjechała do Francji i wyszła

za mąż za Francuza, który zginął na początku wojny. Mieli syna Andrzeja. Drugi mąż ciotki pochodził z Kresów. Po zakończeniu wojny chciał wrócić do rodzinnej miejscowości, ale niestety Rosjanie wysłali go do Doniecka do kopalni. Jak pojechałam do Doniecka, to spotkałam już tylko kuzynów. Bo oni wyjechali tam całą rodziną i byli przekonani, że jadą do Polski. Okazało się, że po wojnie ta miejscowość, z której pochodził już nie była polska, tylko rosyjska. Wujek Michał do końca życia przeżywał, że nie zobaczył już rodziny, bardzo tęsknił, był najmłodszy z rodzeństwa. W czasie wojny ukrywał się w lesie, ale nie wiem czy był w partyzantce, czy po prostu uciekał. Ojciec urodził się w 1910 roku, a jego siostra w 1914.

Skąd dowiedzieliście się, że wujek z rodziną mieszka w Doniecku?

p. Halina: Przez Czerwony Krzyż. Chyba w latach 50, krótko przed śmiercią naszego ojca. Andrzej i Grisza, kuzyni, pracowali w kopalni. Odwiedziłam ich w 76 roku. Teraz nie wiemy, co się u nich dzieje. Przyszedł czas Solidarności i kontakt się urwał. Po mojej wizycie pisaliśmy do siebie, żona Andrzeja nawet do nas przyjechała na dwa tygodnie, a potem nie mieliśmy od siebie wiadomości. Każdy się zajął swoim życiem.

Kiedy rodzice Pań zdecydowali się na przyjazd do Choczewa?

p. Halina: No jak wszyscy jechali na Ziemię Odzyskane. Tam, gdzie stał rodzinny dom ojca, był chyba tylko hektar ziemi, więc niewiele. Rodzina mamy miała trochę większe gospodarstwo. Pannał tam zwyczaj wydawania córki za mąż wraz



Zdjęcie 23 Obecny dom Ireny Romanik i Haliny Łazarskiej. Na zdjęciu mama Aniela

z niedużym kawałkiem ziemi. Rodzice nie mieli więc w Nakliku przyszłości, a ojciec był ryzykantem, chciał mieć więcej.

p. Irena: Więcej osób wyjeżdżało. Z tych okolic byli też Pac i Wawrzak. Ojca w Choczewie nazywano Piłsudski, a Ambrożego Pipkę – Mościcki. Tata był szalonym człowiekiem, a mama z kolei domatorka.

p. Halina: Przyjechaliśmy tu w kwietniu roku 1947. Ja urodziłam się w październiku 44 roku, miałam tyle lat co Polska Ludowa, tylko, że manifest był w lipcu.

p. Irena: A ja się urodziłam tutaj 31 maja 1947 roku. Na początku krótko mieszkaliśmy tam, gdzie w tej chwili państwo Zabłotni, ale tego absolutnie nie pamiętam. W drugiej części mieszkali Dymowicze. Jednak nie było tam żadnych zabudowań, a dla rodziców najważniejsze było posiadanie gospodarstwa.

p. Halina: Tutaj (*pani Halina mówi o miejscu, w którym mieszkają do dzisiaj*) na początku stał w ogrodzie domek. Schodziło się z górki, a obok leżały duże kamienie.



Zdjęcie 24 Obecny dom p. Ireny i p. Haliny

p. Irena: One są do dzisiaj. Ja tam w tej chwili składuję trawę, robię kompost. Niedaleko była też rozwalona obora...

p. Halina: ...i cegły prosto z tej obory zabrali do Warszawy, na odbudowę!

p. Irena: Z całej Polski zabierali materiały, żeby Warszawę odbudować.

p. Halina: Bo tu kiedyś były jakby dwa gospodarstwa. Dom i obórka. Było ciasno i ci ludzie...

p. Irena: Ale nie! Ci ludzie wyjechali z powodu pochodzenia. Po jakimś czasie nas przecież odwieźdźli, w siedemdziesiątym którymś roku. Mnie wtedy nie było w domu. Mówili tylko po niemiecku. Ten chłopak opowiadał, że w dzieciństwie wchodził na gruszkę, która do dzisiaj tu rośnie.

To oznacza, że zanim rodzice Pań objęli to gospodarstwo, mieszkali tu Niemcy?

p. Irena: Tak. Tylko który to mógł być rok? 50?

p. Halina: Nie wiem. W poprzednim domu trochę mieszkaliśmy. Byłaś mała, (zwraca się do siostry) nie pamiętasz. Mi z tamtego domu przewijają się tylko migawki. Ale zapamiętałam, jak dostałam lanie za kałużę. Tam, gdzie teraz pan Zabłotni ma wiatę, była fajna kałuża, więc poszłam się w niej wytaplać. Ile mogłam mieć lat? Cztery może. Pamiętam to dobrze, bo właśnie wtedy dostałam jedyny raz lanie od ojca. Tata zjechał z lasu, miał brzozowe gałęzie i mnie nimi zbił. Wytaplałam się po samą kokardę, tak fajnie było. Niewiele rozmawiałam o tamtym czasie z mamą, bo rzadko przyjeżdżałam,

a mama była bardzo zajęta. Ojciec wcześniej zmarł, miałam niecałe osiemnaście lat w tym czasie, więc mama cały dom trzymała. Zdzisiek (brat – A.Ł.) jej pomagał, od trzynastego roku życia już pracował w gospodarstwie.

p. Irena: (Zwraca się do siostry) Może nie byliśmy tym zainteresowane też, teraz trudno powiedzieć.

p. Halina: Była taka historia, że wszyscy obowiązkowo należeli do spółdzielni produkcyjnej. Oprócz Olekszyków, Wochów i jeszcze jakiejś rodziny. A cała reszta musiała.

p. Irena: Chyba wszędzie zakładano te spółdzielnie, czasy jakie były, każdy wie. Tylko czy można tak łatwo oceniać tamte lata? Ludzie teraz krytykują, ale nie wiedzą do końca jak było. Nic nie jest czarne, nic nie jest białe. Niektórych decyzji nie da się uzasadnić. Można mówić: ja bym inaczej zrobił, lecz czy to jest pewne?

p. Halina: Właśnie. Nas mama miała siedmioro i musiała wszystkich wykarmić. Syna i sześć córek. Najmłodsza, Bożena, w 85 roku zginęła w wypadku samochodowym. Ja mieszkam na stałe w Pruszczu Gdańskim, jedna siostra mieszkała we Władysławowie, a pół roku temu przeprowadziła się do Wejherowa – Lucyna...

p. Irena: Łucja! Uważaj co mówisz! Ona zawsze powtarza, że dowiedziała się jak ma na imię, kiedy poszła do pierwszej klasy. Bo wszyscy w domu mówili na nią Zosia.

p. Halina: Tak, ona jest trojga imion. Najpierw była Zosia. Mama tak chciała i mówiła twardo Zosia.



Zdjęcie 25 Na zdjęciu między innymi Irena, Halina i Stanisława Romanik

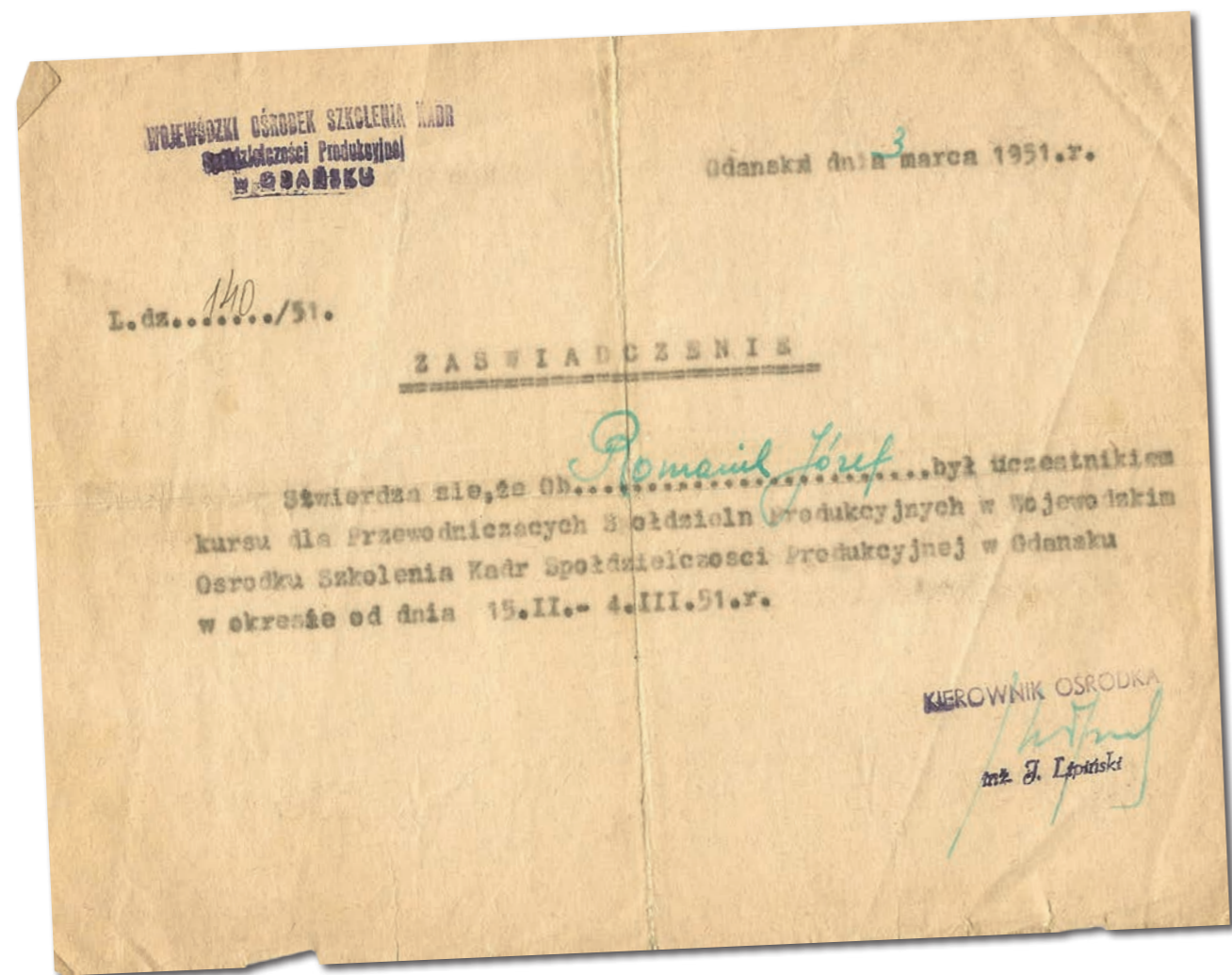
Później okazało się, że ojciec poszedł do urzędu gminy i zapisał jej imię Łucja. Mamie nie pasowało i mówiła Lucyna. Dopiero jak zaczęła szkołę, w dokumentach wyszło, że jest Łucja. Jasia, czyli Janina mieszka koło Lęborka w Maszewie. Stasia w Starachowicach.

A Zdzisiek nam się zawinął... gdyby częściej chodził do lekarza zamiast kupować leki przeciwbólowe, może byłoby inaczej.

p. Irena: Tak, bo to Zdzisiek przejął gospodarstwo po tacie i pracował, pracował...

p. Halina: On był ode mnie cztery lata młodszy, nie?

p. Irena: No tak! Urodził się w grudniu 48 roku. O! (Pani Irena wskazuje leżący na stole dokument.) Proszę, ojciec kończył kurs dla przewodniczących spółdzielni, ale nigdy nie objął tego stanowiska. Przewodniczącym był Bołociuch. On mieszkał w miejscu, gdzie w tej chwili jest sklep „Melan”. Ale dosyć wcześnie wyprowadził się do Gdyni.



Zdjęcie 26 Zaświadczenie o uczestnictwie Józefa Romanika w kursie dla przewodniczących Spółdzielni Produkcyjnych

Wtedy wprowadził się tam pan Wujec?

p. Halina: Najpierw Woch i Baran, później Wujec. A przed nimi wszystkimi właśnie Bołociuch.

p. Irena: Jak tu się przeprowadziliśmy, na dole było osiedle przedwojennych domków.

p. Halina: Z kolei, tutaj, gdzie mieszkają Kozłowscy, był jakiś rzeźnik. Zdzisiek by wiedział najlepiej... A na dole stały chyba pracownicze domki, nie z Urzędu Celnego?

p. Irena: Może i z Urzędu Celnego.

p. Halina: Urząd Celny był tam, gdzie budynek nauczycielski.

p. Irena: Choczewo składało się głównie z ulicy Pierwszych Osadników.

p. Halina: Była jeszcze boczna ulica, dziś Kowalewskiego. Tam mieszkał zawiadowca stacji i chyba pracownik Urzędu Celnego, ale to wiemy tylko z opowiadań. Chyba stał tam jeszcze dom pana, który produkował beczki. Dziś mieszka tam jego wnuk.

p. Irena: Tak, tak! Maschke.

p. Halina: A słuchaj (zwraca się do siostry), ten blok gdzie mieszkają państwo Domarosowie, to był wtedy?

p. Irena: Tak, mieszkała w nim pani Radziejewska, pracowała w gospodzie...

p. Halina: ...gdzie nasz tata bardzo często zaglądał, za często. Dlatego nie lubiłam pani Radziejewskiej, chociaż nie ona była winna, ale dziecko przenosiło. Od wczesnego dzieciństwa ją pamiętam, więc ten blok musiał być. Dom państwa Frąszczaków chyba dobudowano później. Zdzisiek to by wiedział na pewno.

p. Irena: Zdzisiek miał świetną pamięć.

p. Halina: On wszystko wiedział! Dużo rozmawiał z panem Szatajem, który był tutaj na robotach w czasie wojny i opowiadał wiele naszemu bratu.

p. Irena: Tak, lubił ze Zdziśkiem rozmawiać. Bo z ojcem za bardzo się nie dało.

p. Halina: Zdzisiek od Szataja wiedział wszystko – jak się wojna skończyła, kiedy i jacy ludzie tu przy-

jeżdżali. Znał wiele detali! Ale niestety... Nieraz jak przyjeżdżałam, nam też opowiadał. Wiem, że była gdzieś rzeźnia.

p. Irena: W miejscu, gdzie teraz jest przystanek, był ogród, a rzeźnia tam, gdzie sklep pana Czerwionki. Z kolei Kozłowscy nie wiem, kiedy mogli się tu przeprowadzić. Chyba około 50 roku. Cała ta ulica składała się z osadników. Właściwie ze starych mieszkańców to tylko...

p. Halina: Na pewno Hirth!

p. Irena: Tak, mieszkali w domkach koło parku.

p. Halina: Ojca Uli Hirthowej nazywali Upa, on mówił tylko po niemiecku.

p. Irena: Ah! Przypomniała mi się pani, która mieszkała tam, gdzie Pac. Była ewangeliczką, pamiętam jej pogrzeb.

p. Halina: Pochowano ją na cmentarzu zlikwidowanym później podczas budowy kościoła. Ale jak się nazywała...

p. Irena: Boczke!

p. Halina: Tak, Boczkowa się przecież mówiło! W miejscu dzisiejszego skwerku przed Urzędem Gminy stał dom Wawrzaka i Hejdy. A zamiast sklepu pana Majtacza, była obora Olekszyków.

p. Irena: Ale słuchaj! Wydaje mi się, że był wtedy inny sklep – masarniczy. A obora na skwerku.

p. Halina: Ah, no tak!

p. Irena: Na dole było tylko nadleśnictwo, osiedle wybudowano później. A Arendtowie, pamiętasz? Na pewno pochodzą z Kaszub, ale nie wiem czy mieszkali tu zanim my się wprowadziliśmy?

p. Halina: To jest rodzina Mielewczyków i Poblóckich. Arendt był bratem pani Mielewczykowej, tej co zmarła niedawno. Więcej nie pamiętam. Jak wyjechałam do szkoły, to się wymiksowałam stąd i przyjeżdżałam rzadko. Niektórzy myśleli, że w ogóle tu nie bywałam. O! Jeszcze mi się coś przypomniało. Na miejscu Naczka, mieszkał kiedyś Golik z rodziną. Ale wcześniej się wyprowadzili. Mieli syna Bolka, poszedł do szkoły i zamieszkał na Śląsku.

A sąsiedzi Pań? Państwo Steinkowie?

p. Irena: Już tutaj mieszkali, jak przyjechaliśmy. Odkąd pamiętam, to zawsze byli nasi sąsiedzi. On wcześniej zmarł, chyba około 60 roku.

p. Halina: Wiecie co pamiętam? W domu, gdzie mieszkają Klateccy, Domarus otworzył biuro no jakby to powiedzieć...

p. Irena: Partyjne biuro. On był bardzo zaangażowany politycznie. Potem tam mieszkali Szataj, Borysewicz, Derylak i właśnie Krysia Klatecka, córka Derylaków. W międzyczasie w pomieszczeniu od ulicy mieścił się gabinet stomatologiczny.

p. Halina: Gabinet był przed Derylakami. Później jeszcze mieszkał tam sanitariusz.

p. Irena: Tak, Kociewiak, zza Tczewa, bardzo specyficznie mówił.

p. Halina: Ale jak on się nazywał? Potrafił pomóc w każdej sytuacji. Nawet jak Zdzisiek wsadził palec w maszynę, tak opatrzył, że nie było śladu. Orzechowski? Chyba tak. Bardzo fajny facet, znał się na swoim fachu. Idę do pieca podłożyć. *(Wychodzi.)*

p. Irena: Z dzieciństwa nie pamiętam złych lekarzy. Wiadomo, opieka medyczna nie była na tak wysokim poziomie jak dzisiaj, ale potrafili leczyć. Ludzie mieli też swoje sposoby na niektóre dolegliwości. Śmiałyśmy się niedawno, że w Ameryce jeden lekarz jest od prawego ucha, a drugi od lewego. To samo jest już u nas. Pani *(Pani Irena zwraca się do mnie)* to już w ogóle tych czasów nie pamięta. Naszych opowieści można słuchać jak Szeherazady, bardzo odległa historia. Kiedyś każdy gwóźdź się liczył, każda rurka. Jak Zdzisiek zmarł, zaczęłam porządkować jego rzeczy i znalazłam tyle złomu, nawet nie wiedziałam do czego niektóre narzędzia miały służyć. Ale jak ktoś się znał, to pewnie wszystko było potrzebne.

Jak z książkami. Wywiozłam wczoraj ogromną torbę książek do biblioteki, bo nie mam sumienia wyrzucać. Tyle wszystkiego teraz jest. A nasi rodzice jak się przeprowadzili, dostali niewiele. Przywieźli sobie w wagonie na pewno krowę. Tak mi się wydaje, że jeden wagon był dla dwóch rodzin. Mebli żadnych, tutaj dostali jakieś łóżko kulawe, szafę.

(Wraca pani Halina.)

p. Halina: No chyba się będzie palić.

p. Irena: To palenie to jest udręka.

p. Halina: Niewielki metraż i za mocno nie można podłożyć, bo wtedy helikopter ląduje na dachu.

Pamiętaj Panie od kiedy była mleczarnia w Choczewie?

p. Irena: Od zawsze. Budowla w dobrym stanie, solidna. A teraz została zniszczona i już się nie da odbudować tego, co było. Wielka szkoda. Choczewo było pięknie wybrukowane. Milicja kazała zamiatać ulice i sprzątać odchody po koniach. A teraz by się przydały do ogrodu!

Uprawiacie Panie ogród?

p. Irena: Tak! Wszystkie warzywa mamy swoje.

p. Halina: Nie gadaj, bo wiadomo czy będziemy mieć na wiosnę? Zawsze mieliśmy w domu konie. Nasz ojciec był koniarz. Różne konie miał, narowiste, co kopały, nie chciały ciągnąć. Ale to już historia.

p. Irena: Mnie ciekawi, że wszyscy na wsi, nawet ci, którzy pracowali w biurze, hodowali kury, kaczki albo przynajmniej świnię, a jak poszło się do sklepu, nie można było kupić nic!

p. Halina: A teraz co to za wieś! Krowy nie uraczysz, konia też. Nikt nic nie hoduje, ogródka nie uprawia i wszyscy mają wszystkiego pod dostatkiem.



Zdjęcie 27 Dzieci Haliny Łazarskiej, z domu Romanik

Wtedy na wsi każdy sobie uhadował. Azorek! (*Pies pani Haliny i pani Ireny łasi się do mnie podczas całej rozmowy.*) No patrzcie jaki kolega, zakolegował się zupełnie! Może go Państwo zabierzecie?

Mamy swojego.

p. Halina: A my mamy jeszcze jednego.

p. Irena: I kotkę, która ma 15 lat i ciągle musimy po niej sprzątać. Czasem ją zamykamy w jednym pomieszczeniu, ale ona chce do ludzi.

p. Halina: I tak patrzy na człowieka. A zje wszystko, co jej się da. Lubi kotleciki mielone, wątróbkę. Azorek, no co ty! Podrzesz pani sweter!

p. Irena: Wiecie co? Wszystkim kobietom, pierwszym osadniczkom, należałoby postawić pomnik. Bardzo ciężko pracowały. Miały dużo dzieci i jeszcze zajmowały się gospodarstwem. Bywało, że musiały nawet wodę nosić. Pompa była pod górką, koło Kozłowskiego, niedaleko przedszkola.

p. Halina: Albo chodziło się do mleczarni po wodę.

p. Irena: Dla zwierząt ojciec beczką przywoził.

p. Halina: Z jeziora.

p. Irena: Nie! Z mleczarni, mleczarnia dawała. W ogóle ludzie sobie pomagali. Jak były żniwa albo wykopki, to wszyscy pracowali.

p. Halina: Kobiety też kopały. Po żniwach zwoziło się snopki zboża i całą zimę się je młóciło.

p. Irena: Myślę, że w innych miejscowościach było podobnie, bo przeważnie pierwszymi osadnikami byli ludzie pochodzący z tych samych stron, więc trzymali się razem. Jak nasz ojciec zmarł i Zdzisiek musiał się zająć gospodarstwem, to pomagali mu bardzo pan Joachimiak, Stryc, Krzeptowski, bo mama się na wszystkim nie znała. Bardzo dobrze ich wspominam, w ciężkich czasach mogliśmy liczyć na ich pomoc.

Na początku naszej rozmowy mówiliście Panie, że niewiele pamiętacie.

p. Halina: Zdzisiek na pewno wiedziałby więcej.

*Rozmowę przeprowadzili i zredagowali
Aleksandra i Krzysztof Łasińscy.*

„Pytajcie, o co chcecie”

W chłodny listopadowy wieczór odwiedziliśmy Pana Zygryda Pobłockiego – mieszkańca Choczewa. Pan Zygryd już od progu wita nas serdecznie. Zaprasza do środka i gotuje wodę na herbatę. Częstuje także ciastkami i rozkłada małe talerzyki.

Ach, łyżeczek nie macie!

(Pan Zygryd podchodzi do kredensu. Oprócz wspomnianych łyżeczek wyjmuje z niego także papierową torebkę.)

Takie mam jabłka suszone, sam robiłem.

Dobre?

Bardzo się cieszę, że przyszliście mnie odwiedzić.

Pytajcie, o co chcecie. O wszystko. Będę wiedział, to powiem.

(Pan Zygryd zalewa herbatę, siada obok nas i rozpoczyna swoją opowieść.)

Jesteśmy z Kartuz, rodzeni Kaszubi. Tata mieszkał w Kujatach, a mama pochodziła z Tuchlinka. Mama była siostrą Władysława Mielewczyka i Rozalii Domarus, którzy też mieszkali w Choczewie. Dziadka Mielewczyka nazywano silnym gospodarzem. Sam zbudował wiatrak w Tuchlinku. Taka złota rączka, wszystko samodzielnie zrobił. Miał też bryczkę i do kościoła do Sierakowic jeździli końmi. Dzieci nie wchodziły do środka, bo musiały pilnować koni. Gospodarza poznawało się wtedy po koniach. Jak koń ładnie wyglądał, to właściciel choć biedny, uważany był za dobrego gospodarza. Mielewczyk był zamożny i szanowany. Sam nauczył się też trochę weterynarii i leczył zwierzęta, które do niego

przyprawdzali ludzie ze wsi. Jeden syn dziadka został w Tuchlinku kowalem, a drugi, Leon przejął gospodarstwo. Reszta rodzeństwa mamy się rozjechała. Było ich chyba dwanaścioro, chociaż dobrze nie pamiętam, bo prędko żeśmy się stamtąd wyprowadzili. Ja miałem wtedy pięć lat.

A rodzice Pana taty?

Oni mieszkali w Kujatach – to też na Kaszubach – i zajmowali się gospodarstwem. Tata miał tylko siostry, żadnych braci. Pobłockich było bardzo dużo, więc kto mógł, to uciekał, bo nie chcieli na kupie siedzieć. Kiedyś kilka rodzin mieszkało w jednym domu. Moi rodzice pobrali się w Tuchlinku i jakiś czas mieszkali w Kujatach. W czasie wojny przeprowadzili się do Kartuz, gdzie ojciec pracował jako milicjant. Wujek Mielewczyk był w Choczewie już prędej i ściągnął rodziców pod pretekstem wolnych mieszkań oraz gospodarki do objęcia. Inni ludzie też się dowiadywali, że są tu Ziemie Odzyskane i przyjeżdżali. Ojciec był raczej średnim gospodarzem, wołał organizować. Spółdzielnię Produkcyjną zakładał. Lubił być w towarzystwie. Do Choczewa przyjechaliśmy w 47 roku w piątkę: rodzice, ja, siostra Małgosia i brat Edek. Na rowerach. Nic właściwie nie mieliśmy. Mnie akurat rodzice wieźli, bo nie było jeszcze takich małych rowerów. Małgosia była najstarsza, wtedy ja,



Zdjęcie 28 Rodzina Pobłockich, Choczewo

Edek i Bożena. Ona urodziła się już w Choczewie. Mielewczyk, brat mamy, późno się ożenił. Bo przedtem to chłopaki patrzyli czy rodzina dziewczyny jest gospodarna. Wujek mieszkał tam, gdzie Murawski ma pawilon, niedaleko nas. Kiedyś w tym miejscu znajdował się dom. Tak stał, patrzcie. (*Pan Zygfryd demonstruje nam ustawienie domu*). Przy wjeździe na nasze podwórko było pięć chlewików. W jednym mieściła się mała, podręczna kuchnia, w której można było coś upiec czy ugotować. Pewnej jesieni zapaliła się nasza stodoła. My dzieci byliśmy w domu, a rodzice kopali kartofle pod Choczewkiem [wieś w gminie Choczewo – A.Ł.]. O godzinie piątej szedł pociąg. Przed semaforem, znajdującym się blisko naszego gospodarstwa, maszynista zaczął czyścić palenisko i poszły iskry. Ta stodoła miała słomiany dach i on się zajął. Drugi wujek Mielewczyk, który mieszkał obok nas, miał dom z belek i ze słomianym dachem. Nasza stodoła też była z belek oraz gliny. To wszystko się zahajcowało. Konie, stajnie. Konie udało nam się wyprowadzić, ale najpierw trzeba było zarzucić im coś na głowę, na przykład marynarkę, bo konie nie chcą wyjść w pożarze.

W którym to było roku?

Nie wiem. Miałem dziesięć lat, a może lepiej? Po tym pożarze Mielewczycy przeprowadzili się w miejsce, gdzie mieszkają do dziś. Wcześniej ten dom należał do Stefana Gliszczyńskiego, który przeprowadził się do budynku starego Urzędu Gminy. Jego wujek uczył w szkole w Lęborku i był sekretarzem w urzędzie w Choczewie. A z kolei jego praktykantem został Zenek Bieleninik – nasz późniejszy wójt. To był czas, kiedy zawiązywały się spółdzielnie, początek lat 50. Nie wszyscy chcieli

iść do kołchozu. Wielu mówiło, że nie pójdzie, ale zaczęli przykręcać śrubę i tak gniatli, że nie dało rady odmówić. Olekszyk nie był, on wytrzymał. Spółdzielnia przetrwała tylko parę lat, może nawet nie dziesięć, rozpadła się. Może by się dłużej utrzymała, tylko ludzie się kłócili. W Choczewie jest naród spędzony. Tu żyje Kaszub, Polak, Niemiec, Ukrainiec. Nie ma jednej narodowości. Nie mogli się zgodzić. Niektórzy mówili, że im wystarczy, jak pójdą sami do żniw czy do kopania ziemniaków. Nie potrzebują nikogo. Chyba jakoś w tym czasie Mielewczyk wziął po Gliszczyńskim tę gospodarzę. Stefan Gliszczyński był kawaler, jego siostra panna. I Zygmunt, jej syn za panieństwa. Gliszczyński dlatego się właśnie nie ożenił, żeby jej i dziecku pomóc. A później Zygmunt Gliszczyński był kierownikiem masarni.

Kto zarządzał spółdzielnią?

Na pewno Mielewczyk, Krzeptowski i Bołociuch, który mieszkał na miejscu dzisiejszego sklepu „Melan”. Ten sam dom zajmował Józek Woch, ale po jakimś czasie wyprowadził się w lubelskie. Proszę, częstujcie się. Po co ja otworzyłem te ciastka, proszę. Mnie się zdaje, że za Bołociucha to spaliła się stodoła na górcie, koło budynku Gminnej Spółdzielni. Tam była właśnie stodoła i tartak, który rozebrali i długo stał tylko szkielet. Niby chcieli potem na nowo otworzyć, ale nie mogli się dogadać. Przyszedł w końcu jakiś cwaniak i wszystko wziął.

Czy do spółdzielni trzeba było oddać całą ziemię?

Tak, ziemię, konie. A jak się kołchoz rozwiązał, to zrobili komasację gruntów. Ta sama ziemia

po rozwiązaniu spółdzielni nie wróciła już do pierwotnych gospodarzy. Część tak, ale nie wszystko. My na przykład mieliśmy pole pod Choczewkiem i już go nie odzyskaliśmy. Dla koni w spółdzielni stała wspólna stajnia. Był stajenny, który się nimi zajmował. Naprzeciwko budynku Gminnej Spółdzielni, gdzie dzisiaj stoją domy, założono też sad. Gdy rozwiązywano kolchoz, ten, kto był mądrzejszy i cwańszy, potrafił się wzbogacić. Po wojnie zbierano na przykład od bambrów niemieckie maszyny i sprzedawano do lubelskiego. Ale zabierano, jak to się mówi na chama – bo niemieckie, to wam niepotrzebne. Szabrowano tak naprawdę.

W Choczewie przymusowo mieszkało dużo Ukraińców, którzy nie chcieli tu za bardzo zostać. Nic nie remontowali, tylko starali się zarobić jak najwięcej pieniędzy i stawiali domy w swoich rodzinnych stronach. Stąd wywozili pociągami materiały. Mieszkania w Choczewie albo sprzedawali, albo zostawiali i szli. Pamiętam takiego Tymoczkę, mieszkał w Kierzkowie. Pani Ula Tymoczko, gospodyni księdza Duszyka, to jego rodzina.

Opowiadał Pan, że przyjechaliście na rowerach, bez żadnego dobytku.

Tak, to prawda. Większość dostaliśmy na miejscu. UNRRA przywiozła na przykład konie oraz krowy i je rozdzielano. Rodzina nam też pomagała, bo byliśmy najbiedniejsi.

Gdy przyjechaliśmy, Kaszubi mieli plecione kosze do kartofli. Niektórzy osadnicy im je zabierali, tłumacząc, że to niby zostawili Niemcy i im się one bardziej należą, bo zamieszkali tu wcześniej. Jednym z pierwszych osadników w Choczewie był Szataj, jeszcze w czasie wojny pracował w kuźni. Bardzo dobry fachowiec. Jak konie podkuł, to jakby maszyną.

Rozrywkowy facet, ale w pracy dokładny. Pochodził gdzieś z Ukrainy i później ściągnął swoich szwagrów. Byli rozczarowani, bo Szataj naopisywał im różne cuda, że dostaną mieszkania, jak przyjadą, wszystko. Te biedaki sprzedali swoje domy, przyjechali tutaj i nie mieli gdzie mieszkać. Fedyniak to się nie mógł przyzwyczaić. Niby był kowalem. Ja też się kiedyś uczyłem na kowala. Prawie dwa lata pracowałem w kuźni w Gminnej Spółdzielni. Majstrem był tam Grzegorz Ladach. Po dwóch latach rodzice kazali mi pomagać przy żniwach. Mówili, że jak skończę, to wrócę do pracy. Do dzisiaj mam te żniwa. Żałuję, że tak się stało, bo teraz jest mi trudniej. W pegeerze pracowałbym od 7 do 16. A tak, dom postaw, świniańnię postaw, maszyny kup. I za to mam dzisiaj 900 złotych. Muszę jeszcze latać po lekarzach, udowodniać choroby i łaskę robią, że mi dadzą parę groszy. A dom, majątek, to co? Do grobu wezmę?

Pamięta Pan mieszkańców ulicy Pierwszych Osadników?

Woch, Krzeszowiec – mieszkał tam, gdzie jest dzisiaj basen strażacki. Miał piękny dom z cegły. Ale nie wiem czy mieszkał w nim z Baranem, czy z kimś innym? Na pewno był to dom dla dwóch rodzin. Spalił się w tym czasie, gdy u nas paliła się stodoła. Wodę ciągnęli wtedy z jeziora, a część nawet przywieźli pociągami z Lęborka. Ale zanim dotarła, to już nie zostało dużo do gaszenia. Po drugiej stronie mieszkał Krzeptowski, który wziął gospodarkę po Milanowskim.

Kto był Pana sąsiadem?

Leśniczy Komasa. Wprowadził się od razu po wojnie czy już nawet w czasie wojny.

Z Wierzchucina przyjeżdżali do niego ludzie po wyplatę. Opowiadał mi, jak ich raz ugościł. Miał psa. Obciągnął go, wyczyścił, żona usmażyła. Przyszli robotnicy do stołu, trochę popijali. Jeden nawet wziął na drogę nogę tego psa. Tak ich nakarmili. A jakby powiedzieli, że to pies, nikt by nie jadł. Komasa był bardzo chytry. Gdy przestał być leśniczym, pasł owce w spółdzielni. Do innej roboty się za bardzo się nadawał. Później zachorował. W naszym starym domu były trzy kuchnie dla najemników. A u góry dwie kuchnie i dwa pokoje. On został sam, na nogi nie mógł, z łóżka nie mógł się ruszać. Ja miałem karę – gdy przyszedłem ze szkoły, miałem mu zrobić herbatę albo szklankę wody podać. I tak sobie myślałem później, widzisz jak to się stało człowieku, że ty teraz szklankę wody prosisz. Jego córka mieszkała w Nowym Dworze za Gdańskiem. Jej mąż grał w orkiestrze. Przyjechali tu i myśleli, że ojciec ma pieniądze, złota, wszystkiego. A on miał tylko kałesony, spodnie i koszulę. Więcej nic. Pochowali go i ziemi zabrakło podczas zasypywania grobu, musieli dowieźć. A jak byłem na pogrzebie u Hamerli, to z kolei nic ziemi nie zostało, a powinno, bo trumna przecież wchodzi. Zaraz po mnie przeprowadził się do Choczewa też chyba Pac. On mieszkał tam, gdzie Olekszyk ma dom. Z jednej strony była stajnia, a z drugiej mieszkanie Paców. W obecnym domu Romaników mieszkali wtedy Sondajowie, czterech braci. Opowiadali, że jak był głód, to łapali wróble i jedli. Nie wiem czy oni nie poszli do pegeeru do Żelazna jako mechanicy? I wtedy po nich wprowadzili się Romanikowie. Styrz i Olekszyk mieszkali tam, gdzie jest sklep „Magis”. To była potężna chałupa. Z drugiej strony była piekarnia, jeszcze długo po wojnie. Nosiliśmy mąkę do piekarza i on liczył, ile chleba może nam z niej upiec. Zapisywał i codziennie mogliśmy chodzić po chleb.

Jest Pan już zmęczony rozmową?

O! Ja zmęczony! Pytajcie, mogę mówić!

Jak mieli na imię Pana rodzice?

Wiktor i Marta. Ojciec zmarł w 71 roku. Po moim weselu pojechał do szpitala do Prabut, na oddział gruźliczy. Wcześniej w Lęborku zrobiono mu prześwietlenie i okazało się, że jest jakiś problem w płucach. Podczas tego prześwietlenia zauważyli niby tylko kropkę na płucach, a za pół roku nie mógł już prawie oddychać. Gdy wyjeżdżał do Prabut, to się z nim chłodno pożegnałem, bo byłem na niego zły. Siedział w autobusie, patrzył na mnie, ja na niego. Szedłem akurat do mleczarni z mlekiem i sobie pomyślałem: „jedź już”. Zrobili mu badania, wzięli próbkę. Raz się przewrócił, więc posadzili go na wózku, niby pokręcił tylko głową i po chłopie. Ale jeszcze zdążyłem wysłać do niego list.



Zdjęcie 29 Zygfryd Pobłocki z mamą Martą i żoną Genowefą



Zdjęcie 30 Korowód dożynkowy

Pisałem mu, że kupiłem czerwony ciągnik i się śmiałem, że partyjny. Tata już sam nie mógł przeczytać, ludzie mu przeczytali. Chciał jeszcze, żeby napisali w jego imieniu list do domu, ale nikt nie zdążył. No pytajcie jeszcze, śmiało! Co będę wiedział, to opowiem.

Chodził pan do szkoły do Choczewa?

Tak. Miałem blisko, bo najpierw mieszkaliśmy tam, gdzie dzisiaj posesja Klateckich, ale tego domu już nie ma. Stamtąd przeprowadziliśmy się dopiero tutaj (mowa o miejscu, w którym rozmawiamy). Ojciec wziął gospodarstwo. A szkoła znajdowała się tam, gdzie dziś przedszkole. Uczył wtedy Top, grał bardzo ładnie na skrzypcach i prowadził śpiew. Ja mam taki elegancki głos, że on mi nie kazał śpiewać. W szkole palono drzewem i torfem. Palił Romanik. Jak się lekcji nie odrobiło, to nauczyciel zbił. Ale w domu się nic nie mówiło, bo jeszcze by się drugi raz dostało. Nie jak dzisiaj. A jak otrzymaliśmy kartkę, że nieodrobione, kombinowaliśmy, jak to podpisać. W szkole były cztery klasy, po dwie w jednej: pierwsza razem z drugą, trzecia z czwartą. Uczyli Łapaj i Łapajowa. Potem wykorzystywano już więcej sal: dwie u góry i dwie z boku. O! Czerwionka jeszcze uczył. Raz pana Łapaja myśmy przewrócili. Dzwonek zadzwonił, my do jednej sali wskoczyliśmy. Popchnęliśmy go przypadkiem. A on nie miał jednej nogi, tylko protezę. W dodatku tęgi chłop, wysoki. Nie było jak go podnieść, taki ciężki. Ze mną do klasy chodził na pewno Zbyszek Derylak. Potem w Choczewie było siedem klas.

Później szkołę przeniesiono do pałacu. Co znajdowało się tam wcześniej?

Najpierw robili dach, bo ciepło i wtedy utworzono szkołę rolniczą. Chodził do niej Zbyszek Tatarczuk i siostra Józka Tenentki. Tam była też taka pani, która zajmowała się między innymi poborami do wojska. Ile ja u niej pieniędzy zarobiłem! Co jakiś czas mnie wołała i dawała torbę butelek. Ja do sklepu. Potem mnie oskarżyli, że niby kradnę te butelki. Wtedy ona poszła do sklepu i wytłumaczyła im, że to od niej, bo przychodzi i pija. Nie przyznała się, że to ona pije. Uratowała mnie. Wójttem był wtedy chyba Nagrodzki. Mieszkał tam, gdzie dzisiaj Świecowie.

Zna Pan historię Mielewczyków, których pomniki stoją w gminie Choczewo?

To byli bracia mamy i wujka Mielewczyka. Jeden w czasie wojny służył na granicy za Wierzchucinem. Na górcie po prawej stronie stoi duży drewniany dom. Tam była strażnica, on tam mieszkał i pilnował. Po wojnie przyszedł do braci, do Choczewa. A ten, co mieszkał w Kierzkowie i był tam zabity, to on się ukrywał. Już była swoboda, wolność i poszedł do Osiek do Durskiego. Tam przyszli Ruskie i jego wyswobodzili. Drugiego wujka też Ruskie, tylko chyba w Wierzchucinie. Rozstrzelili. To, co na pomniku napisane, że zginęli na służbie, to nie jest prawda. Nie wiem też dlaczego kamień upamiętniający jest w innym miejscu. To był rok 45, wtedy tak mordowali. Obok jednego kamienia jest jeszcze pomnik Józefa Bemki z Kierzkowa. On też został zabity i osierocił żonę i dzieci. Z jego żoną ożenił się potem Leszak. Bemkę też Ruskie zastrzelili po pijanemu. Nie było silnych na nich. Na co ja te ciastka otworzyłem, jak Wy nie jedliście?

Rozmowę przeprowadzili i zredagowali
Aleksandra i Krzysztof Łasińscy.

Nieciekawe życie

Siadam na krześle. Naprzeciwko mnie siedzi babcia z taką miną, jakby codziennie udzielała wywiadów. A ja jestem zdenerwowana. Zupełnie nie wiem, jak zacząć. Babcia mnie jednak wyręcza.

No, to o czym mam właściwie mówić?

Jak wyglądał wybuch wojny w Lubocinie? Co robiliście w tym czasie?

Przed wojną mieliśmy gospodarstwo w Lubocinie. Jak się wojna zaczęła, to ojciec zostawił nas, wziął kable, bo miał być łącznikiem, i poszedł. To był



Zdjęcie 31 Marta Łasińska, z domu Żelek (w pierwszym rzędzie druga od prawej) z rodzeństwem, mamą Weroniką i rodzeństwem mamy, rok 1930

wrzesień, a on w kozuch się ubrał, żeby się zabezpieczyć na zimę. „A Ty – mówił do matki – weź dzieciaki i jedź do Trąbczyna, w rodzinne strony”.

Ilu Was było w tym czasie w domu?

Mama i ośmioro dzieci. Ojciec zostawił nas wszystkich, a sam właściwie uciekł.

Nie poszedł na front?

Gdzie tam na front, był za stary, zresztą inwalida. Do wojska się nie zgłosił. Poszedł na Oksywie i został łącznikiem. Już stamtąd nie wrócił, Niemcy na nich napadli i zabrali go do więzienia do Gdańska, potem do Stutthofu, a wreszcie do Oranienburga. I tak siedział 5 lat. A my zostaliśmy na gospodarstwie. Do 40 roku.

Co się później stało z Waszym gospodarstwem?

Niemiec je zabrał. Wszystko. Dziewięć sztuk bydła, dwa konie były, kur mnogo. My jeszcze jajka czasem po kryjomu zbieraliśmy. Ojciec dobrze gospodarzył. Ziemia dobra. Pszenicy tam nie było, ale to, co wszyscy siali to i u nas rosło. Ojciec był niby najbogatszy gospodarz, tak mówili, bo dostawał sto złotych renty od Piłsudskiego, jako legionista.

A Boguś (siostrzeniec babci) opowiadał, że Twój tata służył u Hallera, nie u Piłsudskiego.

Nie, gdzie u Hallera, co on gada. Pewnie, że u Piłsudskiego. Legionistą był.

Gdzie mieszkaliście, jak Wam zabrali gospodarstwo?

Na początku w takiej budzie, potem już tam ciekło, bo przecież to była stara chata. I wtedy u Bielawy zamieszkaliśmy, w pokoiku jak ten, w 8 osób. To nam sołtys wyznaczył. Tylko kilka miesięcy tam byliśmy. Wtedy czasem mama złapała kurę, zabiła, a my jajka zbieraliśmy. I jakoś żyliśmy.

I co było dalej?

Andzia była u sąsiadów, u Ramczyków, na służbę poszła. Janka też. A ja u cioci. Ciocia miała dwoje dzieci: Irkę i Henia, to musiałam Irki pilnować, bo ciocia do roboty chodziła.

Ile miałaś lat w tym czasie?

11 lat jak wybuchła wojna, a 12 jak nas w 40 roku wysiedlili.

A Twoje rodzeństwo? Było młodsze czy starsze?

Poza Zygmuntem, Andzią i Janką, to młodsze. Czesiek miał miesiąc, jak nas wysiedlili. Mama Czeška kołysała i mu śpiewała: „lulaj syneczku mój, w niewoli siedzi ojciec Twój, a na wygnaniu matka Twa, lulaj dziecino ma”. Sama ułożyła tę piosenkę. Jeszcze coś mu śpiewała. O, już pamiętam: „ja jestem biedna wygnanka, płacząc wciąż od po-

ranka”. Czesiek urodził się 16 kwietnia, już w tej starej budzie, a miesiąc później nas wysiedlili, 15 maja – zielone świętki. To pamiętam.

Innych gospodarzy nie wyrzucali?

Nie.

To dlaczego Was wyrzucili?

Bo inni to byli Kaszubi, a my byliśmy Kongresspolen, to dlatego.

Tylko Wy byliście Kongresspolen czy jeszcze jakaś rodzina?

Jeszcze Glapa i Pendowski. Ich też wysiedlili. Glapów wzięli do Niemiec na roboty, bo mieli tylko dwoje dzieci. Andzię też chcieli wziąć, ale nie chciała mamusia jej dać, to w końcu poszła do sąsiada służyć.

I później Was wysiedlili, w 40. roku w maju.

Tak. Z Lubocina nas wywieźli do Wejherowa, do więzienia. Na początku myśleliśmy, że jedziemy do Piaśnicy, bo nie kazali nic brać. Bo właśnie wtedy tam mordowali. Ale jak minęliśmy Piaśnicę, to dziękowaliśmy Bogu. Okazało się potem, że chcieli nas wywieźć, ale wstawił się za nami sąsiad, chrzestny Wojtka, mojego brata. Powiedział: „dajcie spokój tej kobiecie, co ona winna, sama z dziećmi jest”. No i nas nie zamordowali. W więzieniu nie byliśmy długo. Tylko w święto przez noc, a na drugi dzień już był podstawiony wagon. Najpierw zrobili rewizję. Wszędzie szukali. Czesiek był mały, to pieluszki nawet przeszukiwali, czy nie

ma jakiegoś złota, wszystko zabierali – pierścionki czy kolczyki, czy jak ktoś miał ozdoby we włosach. Andzia miała taki wałeczek z włosów, to go rozkręcili i tam też szukali. Po rewizji szliśmy prosto do wagonu. Nakładli nas jak śledzi. Ciasno, dzieciaki na półkach spały, ja gdzieś pod ławką. Niemiec stał i pilnował cały czas. Okna zakratowane, nic nie było widać. Było bardzo dużo ludzi w tym wagonie.

Wiadomo skąd pochodzili?

Z Pomorza wszyscy, z różnych wiosek. Była z nami żona nauczyciela ze Świecina.

Jak długo jechaliście?

Całą noc. Aż dojechaliśmy do Lublina. Czekały na nas siostry zakonne i dawały nam chyba kawę czy coś, już nie wiem. Z Lublina pojechaliśmy dalej. Przyjechały furmanki i nas zabrały. Dzieci miały nogi bose. Tylko ja miałam coś na nogach, a dzieciaki się wcześniej rozbuły, chciały boso latać, bo to był maj. Nosili też takie porteczki i pończochy, ale to wszystko zdjęli, przecież ciepło było. Maj. Miałam sukienkę, jeszcze od przyjęcia, taką jak do spowiedzi się kupowało. Z domu wzięłam też inną, batystową w groszki i zwinęłam ją jako chusteczkę do nosa. Pamiętam, że Andzia ubrała też ładny kostiumik i w nim pojechała, bo to przecież święto było jak nas zabrali. Całą drogę deszcz padał.

I dokąd dojechaliście?

My do Parczewa, ale wszyscy tam nie przyjechali, wieźli też w inne strony. Nas tam pociąg przywiózł.

Nie! Co pociąg, głupia jestem. Furmanki, nie pociąg. W Parczewie nam też dali jakąś kawę i chleb. Potem ruszyliśmy na Żmiarki, bo skąd furmanka była, tam nas zawieźli. Jak przyjechaliśmy, to chłop zabrał nas drabiniastym wozem, bo nas było ośmiu. I usiedliśmy na deskach, tak jak się siano wozi. Nogi mieliśmy zmarznięte. Deszcz padał całą noc, tylko w Parczewie nas trochę słońce ogrzało. Jak nas wysypał z tego wozu, to potraktowali nas jak niewolników. Zleźli się ludzie i zaraz było: „ja tą biorę!”. Ale chcieli tylko większe dzieci, małych nie. Do mnie zaraz jakaś kobieta powiedziała: „ja biorę tę dziewczynkę!”.

I wzięła?

Wzięła, bo byłam duża, krowy już doić umiałam. Ale dobrze tam miałam. Krowy pasłam, nawet na ławce spałam.

Co się stało z pozostałymi?

Mamusia z czwórką dzieci została u jednej rodziny. Spali na podłodze.

Jak długo zostaliście w Żmiarkach?

Całe lato. Na zimę wywieźli nas na kolonię, do Uh-nina, bo nie było już miejsca w domach, każdy miał tylko jedną izbę, no to jak nas jeszcze pomieszczą? Później z tej kolonii zrobiła się wioska. Było aż siedmiu gospodarzy.

Wszyscy byliście wtedy razem?

Nie, ja znowu trafiłam do takiej baby. Śpiewać umiałam, a jej synek cały czas mówił: „Maryla, ulwa

mać, śpiewaj mi!”. I ja go kołysałam i mu śpiewałam. Jeść zawsze dostałam. Dopiero potem dali nam kurną chatę, żebyśmy byli razem. Była gliniana z jednym okienkiem, do którego zrobiłam z bandaża firankę, i z taką przegrodą, za którą chyba świnię trzymano i przez to u nas był rój much. I szczyry. Spałam na podłodze, bo nie było miejsca. Brat zbił takie coś z olszowych patyków, które im Niemcy kazali wycinać, bo się bali, że w krzakach mogą być partyzanci. Z tych patyków robiło się wiązki, ogaciło nimi chatę z liści, a te grubsze paliło. Podłoga była gliniana, przysypywaliśmy piachem pchły i pluskwy. Ale one i tak wychodziły i gryzły. Zwłaszcza jak mówiliśmy pacierz, to wtedy klękaliśmy i te pluskwy tak mocno gryzły. Ręce złożone, wszystko sine, mój Ty Panie. Ale musieliśmy się modlić. O powrót taty.

Mieliście jakiś kontakt z tatą?

Tak, pisał listy. Mam tu jeszcze jeden, już podarty. Pisał: „dbaj o Zygmunta, żeby się uczył”. Ale jak tata był w domu, to Zygmunt nie mógł się uczyć, tylko kazał mu jeździć wozem. Trochę tyran ojciec był. Podczas wojny miał lepiej jak my. Bo jemu brat przysyłał całe bochenki chleba do lagrów i miał tak dużo, że dzielił się z innymi. Do kuchni się gdzieś tam dostał, po niemiecku umiał mówić, to baby mu dawały jeść albo łupin się najadł. Ciesiołkę też robił, baraki, był posłuszny. A Niemcy, jak ktoś pracował, też jeszcze jeść dali. On głodu nie miał.

Był z kimś znajomym w lagrze?

Ze Stefanem, który był potem mężem Janki. Stefan przebierał zawsze lumpy, bo jak Niemcy kogoś

mordowali to rozbierali. A byli ludzie bogaci, mieli dobre ubrania. On te lepsze brał i rozdawał swoim. Złoto tam też nieraz było, nawet w spodniach, w rozporkach zaszyte. Także się obładował złotem.

Czyli Stefana poznał dopiero w obozie, tak?

Tak, potem nam pisał: „dla Janki już męża mam”. Się jakoś tak zmówili, bo przecież Stefan miał kamienicę. I jak przyjechał, to ta biedna Janka musiała za niego wyjść. Ja bym tam kichała na takie rzeczy. W sumie źle nie miała, bo ona rządziła, ale co to za życie. Przed ślubem, jak była u spowiedzi, to pytał się ksiądz, gdzie się zapoznała ze swoim przyszłym mężem, a ona powiedziała: „ja go nie znałam, tatuś go znał”. Jak ja się śmiałam z niej.

A Wy w czasie wysiedlenia z czego żyliście?

No z czego! Brat robił kosze, chodziliśmy do lasu po jakieś korzenie. Za duży kosz z korzeni dawali nam kosz kartofli. I mleko, pół litra na osobę. Ale nalewali wody do mleka, prawie sama woda, takie sine to mleko było. Ale zupę się z niego gotowało czy coś. Zbierałam też szczaw, chodziłam liście buraczane wyrwać, na grzyby się chodziło. Już umiałam gotować, to czasem coś do jedzenia przygotowywałam. Różne betki nazbierałam i zupy gotowałam, a mama się wtedy denerwowała i mówiła: „nie gotuj tego, bo mi dziecioków potrujesz!”. Bo tam nie było żadnych prawdziwków, chyba partyzanci wyzbierali, dla mnie zostawały te resztki: gołąbki, surojadki. Nie patrzałam czy tam był robak, czy nie, to nie miało znaczenia. Mama chodziła w tym czasie do roboty, to ja małych pilnowałam. Zygmunt też robił treпки za kartofle, czasem za mąkę, za kaszę. Pieniądzy nie znaleźliśmy. Mama czasem z roboty

kawałek chleba przyniosła dla Cześka. Sama się tam najadła, chociaż za dużo też jej nie dali. Przeważnie brudny chleb z serem, w którym były muchy. I kobieta, która go dawała mówiła: „jeszcie, jeszcie”, czyli jedzcie, po ukraińsku. A mama mówiła: „przecież tam są muchy” i ona odpowiadała: „muchy wykintę, a syr zjeszcie”. Już później nikt tam nie patrzył, z muchami wszyscy jedli. Jak gotowali to pająk pływał, robaki. Jezu, jak ludzie wtedy świńsko żyli!

Czym się zajmowały Twoje siostry?

Andzia była na służbie, przecież taką dziewczynę, każdy weźmie nie. Janka u dziedziczki, która póź-

niej ją wzięła do Lublina. Miała dobrze, dużo pieniędzy, bo jak goście przychodzili, to koło talerza pieniądze kładli dla niej. Ona pisała, żeby mamusia przyjechała po pieniądze, bo ona nie wie, co z nimi robić. A na co miała wydawać? Wszystko miała. Jedzenie, ubranie. Jeszcze jak na wsi z dziedziczką mieszkała, to mi duże pomidory czasem dawała. Ta dziedziczka miała olej, żółty jak cytryna. Mama tam raz poszła, tak patrzy, wzięła nalala herbaty lipowej i głabnęła ten jeden olej, nie bała się grzechu. Mogliśmy go do zupy wlać, trochę okrasić.



Zdjęcie 32 Dębowa Kłoda, 30.05.1942 r. Marta Łasińska – pierwsza od lewej

Jak Was traktowali inni mieszkańcy?

To była ukraińska wieś i oni nas mieli za wrogów ci Ukraińcy. Tylko trzy rodziny polskie tam były.

Te pozostałe rodziny polskie mieszkały tam już wcześniej czy też byli wysiedleńcami?

Tylko my i jeszcze jedna rodzina wysiedleńców. Ale oni mieli lepiej od nas, bo bracia im paczki przysyłali. Nazywali się Żuk. Dwie dziewczyny: Jadzia i Tereska, i Zbyszek, który był kumplem naszego Zygmunta. Tereska była moją koleżanką. Mieszkali sobie w ładnym domku, z którego wcześniej Niemcy zabrali dwóch braci. To nie był taki dom jak nasza kurna chata. Ale u nas też było coraz lepiej, bo chłopaki już podrosli i poszli krowy paść. Ci, u których paśli, dawali im zawsze torbę z jedzeniem. Chleb był, ogórki, jabłko. Oni te torby oddawali mamie, ja wtedy gotowałam jakiś krupnik i im zanosiałam, bo było blisko.

A ciocia Aniela co robiła w tym czasie, kiedy Wy byliście na wysiedleniu?

Ona miała dobrze. Została w Lubocinie i chodziła do roboty, bo Heniek (jej syn) był w Hitlerjugend i miał niemieckie nazwisko. Jak nasze chłopaki przyjeżdżały, to wyzywały go od hitlerowca, jak się pokłócili. A on na nich Ruski mówił. Jej drugi mąż, Pliński, był w lagrze w Oranienburgu, bo zabił Niemców w Domatowie. Chyba w czasie wojny. No to Niemcy się zemścili. Nie zabili go tylko dlatego, że był z niemieckiej rodziny, miał matkę Niemkę. Gdyby nie to wszystko, to ciocię też by wysiedlili.

Ale Twoja mama miała też panięskie nazwisko pochodzenia niemieckiego, Hetner. Nie proponowali Wam podpisania volkslisty?

Nie, nie proponowali. Nie wiem dlaczego. Już wiem, bo dopiero dowiedzieli się o tym w więzieniu, jak sprawdzali. Ale właściwie, co my byśmy mieli w tym Lubocinie, gdybyśmy zostali? Dzieciaki małe, chłopaka nie było do wojska żadnego, bo jak był chłop, to do wojska poszedł. A poza tym ojciec był w Związku Zachodnim, który działał przeciw Niemcom. To był przecież ich wrogiem. Kaszubi i tak nas nie nawidzili, bo byliśmy Kongresspolen. Nawet nam sąsiad w Lubocinie mówił: „kiedy te Niemcy przyjdą, to my ci tu pokażą”. Wszyscy sąsiedzi po niemiecku mówili, byli zniemczonymi Kaszubami, jeszcze z tamtej wojny i służyli w wojsku niemieckim.

Jak byliście w Uhninie, to partyzanci często przychodzili?

Tak, ale nam nic nie robili, przecież byli przeciwnikami Niemców. Tylko wrogów wyłapywali. Jednego takiego zabili. On w gminie pracował, sekretarzem był i jeździł co wieczór do nauczycielki. Dowiedzieli się, że z Niemcami pracował.

Pamiętasz jak wyglądało wyzwolenie?

O! To był raj. 22 lipca, pamiętny dzień. Upał, ładnie, ciepło. Niemcy tego dnia gnali najpierw niewolników, a potem sami uciekali. I jeszcze wieś podpalali. My w krzakach wszyscy siedzieliśmy, popuszczaliśmy krowy i inne zwierzęta, żeby się nie spaliły. Mama widziała, że dzieci głodne, więc poszła gdzieś po mięso, które schowali pewnie

partyzanci, a ona już wcześniej znalazła, otrzepała z robaków, upiekła w piecu i zostawiła. Poszła wtedy dla nas to przynieść, patrzy, a tam pusto. I my tak na głodno czekaliśmy. A tu jadą czołgi i nam ludzie kiwają. Najprzód myśleliśmy, że to Niemcy i mama mówiła: „a jeżdżta Wy w diabły!”. A oni: „zdrastwuj chazjajka!”. Już po rosyjsku gadali. Ktoś wtedy powiedział, że to są nasi. Jak my wylecieliśmy! Płacz, radość. Nie, ja nie umiem opowiadać.

Kiedy wróciliście do Lubocina?

W 44. było wyzwolenie w Uhninie, a my za rok wyjechaliśmy, jak był już Gdańsk wolny, w 45 roku, w marcu, na moje urodziny. Jak wracaliśmy, to jak najszybciej, ale niepotrzebnie, bo wojna dalej trwała, tylko tereny na Pomorzu zostały wyzwolone. Dziesięć dni jechaliśmy z Lublina pociągiem bydlęcym. Przepelnienie, ruch na drodze i znowu głód. Nie było co jeść. Po drodze ludzie wysiadali, każdy tam, gdzie mieszkał, a my do samego Wejherowa jechaliśmy. Zanim ktoś po nas przyjechał do Wejherowa, to jeszcze nas wzięli do więzienia, bo gdzie mieliśmy być? Potem przyjechał Heniek, wozem, kastą taką, załadował nas wszystkich, siedzeń tam nie było.

A ojciec kiedy wrócił z wojny?

Jesienią, 45 roku.

W jakim stanie zastaliście gospodarstwo?

Ciocia tam była i wiedziała, że przyjeżdżamy, to już wcześniej zorgała kartofle i żyto dla nas. Ale to miejsce, gdzie wcześniej mieszkaliśmy było puste. Ciocia nam przywiozła taką postrzeloną krowę, koń

był też. Nie wiem, jak się dowiedzieliśmy, że mamy wracać, bo ciocia pisać nie umiała. Jak przyjechaliśmy, to już było w piecu napalone, woda nagrzana do kąpieli, bo wszy chodziły po nas, i chleb ze smalcem dla wszystkich i pierzyny. Te pierzyny ciocia wzięła po Besarabach, oni też uciekali i zostawili wszystkie rzeczy.

Też byli niewolnikami? Czy żołnierzami?

Osiedleńcami. W czasie wojny u nas mieszkali, ale jak się wojna skończyła musieli uciekać, nie mieli prawa zostać. I my znowu zaczęliśmy gospodarzyć.

Wszyscy pracowali? Całe rodzeństwo?

No tak różnie. Chłopaki to jeszcze były małe dzieci, Janka zaraz poszła do Krukowskiej (siostra ojca), wzięła ją do Rzgowa, mnie później też. Chyba rok tam byłam. Ciotka szyła, to trochę się ubrałyśmy. Z koca sukienkę miałam, granatową, ładną. Na zabawę nawet w niej poszłam. Ciotka chciała Jankę już sobie zatrzymać, bo miała tylko jednego syna, Józia, ale mama powiedziała: „nie, dzieci do mnie należą!”, i zabrała Jankę. Mogłyśmy mieć dobrze, ale każdy ciągnie do matki. No i do biedy.

A u Was, w Lubocinie jakie były warunki życia?

Ta stara buda się rozleciała całkiem, mieszkaliśmy w szkole, ciocia nam tam zajęła. Andzia wyszła za męża w 46. Ciocia znalazła jej w czasie wojny chłopaka, Michałka. On pilnował jakichś niewolników i się dogadali, ciocia mówiła, że ma dziewczynę dla niego. Ślub był w Boże Narodzenie, ale w Żarnowcu, bo księdza z Tyłowa, gdzie mieliśmy najbliżej, wywieźli do Piaśnicy i zabili. Zabrali też strażników i organistę, a nauczyciele szybko uciekli.



Zdjęcie 33 Weronika (w pierwszym rzędzie druga od lewej) i Czesław (w pierwszym rzędzie trzeci od lewej) Żelkowie z dziećmi i wnukami w Lubocinie, lata 50. Marta Żelek – w drugim rzędzie trzecia od prawej

Czyli ojciec wrócił z wojny, Andzia wyszła za męża, Janka była u Krukowskich, potem też wyszła za męża, a chłopcy dorastali i pomagali przy gospodarstwie. Ojciec po powrocie dalej zajmował się gospodarstwem?

A gdzie tam! Nie będzie krów pasł na starość. Do Gdyni poszedł. Dyrektor stoczni gdyńskiej sie-

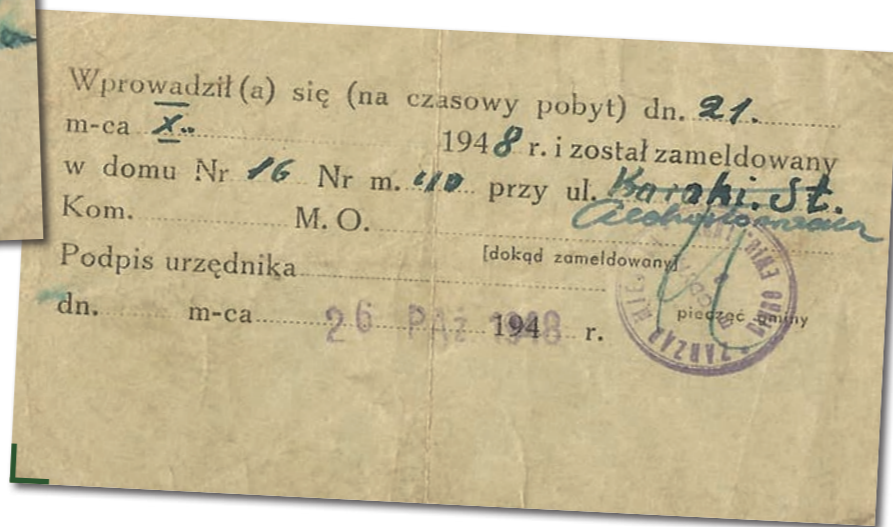
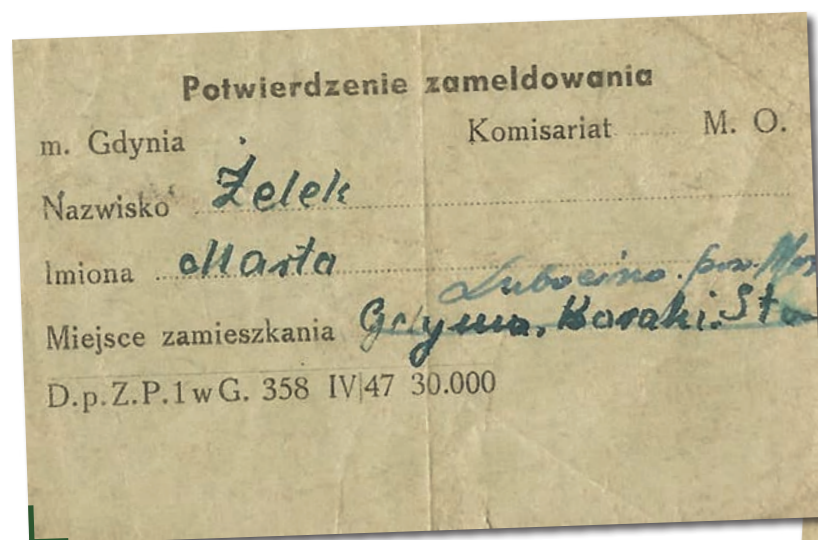
dział z nim w lagrze i go tam zaangażował. Potem bracia: Józek i Wojtek poszli do stoczni. Sylwester został na gospodarce. Zygmunt się ożenił i wyjechał. Właściwie to tylko mama już się zajmowała gospodarstwem. Potem oddała wszystko w dzierżawę Szymańskiemu i Wierzbie, a sama się wyprawa z Henią do Gdyni. Ja do nich czasem jeździłam. Zawsze zawiozłam kurczaka. I ćwiartkę.

Ale Henia urodziła się po wojnie, to ojciec już wtedy był w Gdyni?

Tak, ale przyjechał czasem. A długo tam zrobić? To nie pierwsze przecież, to już było trzynaste. On sobie mieszkał w Gdyni, a mama prowadziła gospodarstwo. Przyjeżdżał po jedzenie. Nabral słoniny, szynki, najadł się, taką michę jajek, chyba z piętnaście zjadał. Przywoził też pieniądze, na podatki, wtedy rządził Bierut. Pamiętam jak się zebrał jakiś wiec i krzyczeli: Bierut, Bierut! Kaszubom chodziło o to, że Bierut ma iść rut, czyli precz. A on myślał, że oni jemu klaszczą i go popierają. No, a w 48. tata mnie też zabrał do Gdyni.

Co robiłaś przed wyjazdem do Gdyni?

W gminie pracowałam w Krokowej. Czerwone mury były, to wyglądało jak więzienie. Co dzień specjalnie rower psułam, że niby nie mam czym dojechać. I w końcu pyta się tata: „jak Ci idzie w tej gminie?“, a ja mu mówię: „ja tam nie robię już”. „O Ty psio-krew, guło”. I zabrał mnie do Gdyni. Najprzód miałam tam dobrą robotę, od sprzątaczkki zaczęłam. Później awansowałam na magazyniera. Dali mi magazyn farb pod opiekę. Raz go prawie spaliłam, bo na takiej maszynie podpaliłam sobie mleko do gotowania, w małym kantorku, a obok były farby. Miałam mleko, bo magazynierzy dostawali pół litra przydziału. Jakaś tektura się nagle zajęła.



Zdjęcie 34 i 35 Potwierdzenie zameldowania Marty Żelek w Gdyni



Zdjęcie 36 Legitymacja Związku Zawodowego Metalowców w Polsce należąca do Marty Łasińskiej

Ile ja strachu użyłam! Przecież jakby to się dostało do tych farb, to koniec, cała stocznia by poszła. Ale jakoś wygasiałam. Matka Boska czuwała nade mną. Nad stocznia też. Chociaż nie, nade mną, bo co ją tam stocznia obchodzi.

Jak długo pracowałaś w stoczni?

Do 52 roku. Potem się Romciu zakręcił i wyszłam za męża. Janka mi co roku mówiła: „idź na urlop i jedź do Lubocina pomagać”. Ale sama tam nigdy nie poszła. No to chodziłam na żniwa pomagać. Nieraz tak sobie myślałam, że żal mi, że ludzie tak ciężko pracują, a ja miałam lekko w tym magazynie. Tata pracował w magazynie złomu. I tyle rzeczy do Janki na-

zwoził, klucze tam były i inne. U mnie wszystko było zapisane w kartotekach, remanent musiał się zgadzać. Kierownik był zadowolony ze mnie, że ja tak dobrze prowadzę... się, no i magazyn też. Jak raz poszłam na urlop, na Wielkanoc, to już nie wróciłam.

Dlaczego?

Bo Romcia poznałam. Zaraz, kto to mi go naraił.. O! Tataraty! Mówili: „dobry chłopak, a ile on zarabia, 80 tysięcy”. W walizce nosił pieniądze. Ja zarabiałam 16, a on 80, to różnica. Teściowa moja, Lojzka, była akuszerką. I często wyjeżdżała na jakieś pępkowe, a teść, Leoś, jeździł z nią. Gospodarki wtedy pilnował Roman.

Gdzie się spotkaliście pierwszy raz?

U Plińskich, u ciotki Anieli w Czymanowie. Zapro-sili mnie i zaraz posłali po niego do Kolkowa, że jest panna na wydaniu. Przyjechał, litra przy-wiózł, wódka w litrowych butelkach wtedy była.

I co było dalej? Od razu zrezygnowałaś z pracy?

Nie tak to było. Ja stamtąd poszłam i nikt się nie kierował za mną. Chociaż kierownik czekał i cią-gle się pytał, kiedy ja wrócę. A ja już nie wróciłam. Ale Roman poszedł mnie wymeldować z pracy, dopiero jak już nam się Leszek urodził.

Gdzie mieszkaliście po ślubie?

W Czymanowie, w pałacu. Ciocia nam tam zała-twiła. Mówiła: „chodź dziecko. Wprowadźcie się do tego pałacu”. Była kuchnia i pokój. Przecież mama by mi nie pomogła, byłam wyklęta w domu, bo nie zrobiłam tak, jak tamte dwie cnotki. One słuchały mamusi i tatusia, a ja nie. Już po jakimś czasie, przyszedł do pałacu dyrektor i pyta: „a kto Was tu wprowadził?”. A ciocia mówi: „a jo! A gdzie mieli iść?”.

Jak długo mieszkaliście w Czymanowie?

Pięć lat. Roman pracował w Grupie Budowlanej w pegeer, a ja dziećmi się zajmowałam. Nie mieliśmy za dużo, mi mama nic nie dała, ciocia tylko jakieś łóżko załatwiła, a on od Alojzki dwie łyżki dostał.

Ale zarabiał przecież 80 tysięcy, był bogaty.

Przehulał wszystko. On nic nie miał. Do ślubu miał

nawet za małą marynarkę, pożyczoną. Nic nie osz-czędzał. A ile kolegów miał.

To Twoi rodzice nie byli na Waszym ślubie?

Byli chwilę, potem poszli. Mama nawet błogosła-wieństwa mi nie dała. Zawzięta Weronka.

Ale później przyjeżdżała?

Później już tak, bo już Romuś się podlizywał do ma-musi.

I po pięciu latach przeprowadziliście się do Perli-na.

Tak. Przeprowadziliśmy się tam, gdzie mieszkał Domecki – kuzyn mojej mamy. Miał tam gospo-darkę i chciał się jej pozbyć, żeby mieszkać bliżej wsi. Tatarata namówił Romka, żebyśmy tam po-szli. Mówił: „chłopie, ona Ci będzie robić, a jaka oszczędna. Szła, buty zdjęła i boso szła, żeby buty oszczędzać”. Bo miałam takie korki zamszowe, które kupiłam jak pracowałam w stoczni. Nikt ta-kich nie miał. No to co będę w nich szła po błocie. Na zabawę nawet było szkoda wziąć, żeby ktoś nie nadepnął, plama by była. A jeszcze była jedna przygoda. Szliśmy raz z zabawy z Gniewina, ale nie jako małżeństwo. Pojechaliśmy na rowerach. Cio-cia z wujkiem też. Usiedliśmy przy dużym stole, dużo ludzi było i Roman stawiał wszystkim, nosił wódkę, zakąski. A ja tańczyłam, się nie kierowałam za nim. Później do domu mnie odprowadził Tata-ratki brat. Roman wściekły, wziął ciotkę na rower i przewrócił się. Ona też wściekła, bo pończochy podarła. Przyjeżdżają, a ja sobie siedzę ze Stasiem Tataratą, młodszym ode mnie, ale ładny chłopak



Zdjęcie 37 Łasińscy: Marta, Roman, Grażyna, Leszek, 1956 rok

był. I Roman był wtedy bardzo obrażony. Zostali-śmy na noc u ciotki i dopiero rano szliśmy do do-mu. Deszcz padał. Miałam żółtą spódniczkę pli-sowaną, elegancko byłam ubrana, nikt tak nie był. Do tego ubrałam bolerko brązowe, bo pasowało do spódniczki. Musiałam się przecież pod kolor ubrać. Było mi szkoda spódniczki, że zmoknie. To wleźliśmy do sadu, ja ją zwinęłam i byłam w sa-mym płaszczu, który dał mi Tatarata. I zauważy-łam, że nie mam bolerka. Roman poszedł szukać, wstydu się najadł, wszyscy pytają: „co Ty tu szu-kasz?”. „A bolerko” – on mówi. I oni pytają: „a co to jest?”, a on: „a ja wiem co to jest?”. Ale znalazł je i przyniósł, leżało gdzieś, spadło. Tyle z tym bolerkiem śmiechu było. On myślał, że to ja-kaś cenna rzecz, a to tylko kawałek szmaty. I takie były przygody.

Ciekawe jak to wyjdzie, jak to nagrane... Ty tam coś wykreślisz?

Nieciekawe było to moje życie nie?

*Rozmowę przeprowadzili i zredagowali
Aleksandra i Krzysztof Łasińscy.*

„Nudzę się czasami..”

Dom Seniora Bryza – odwiedzamy dzisiaj miejsce, w którym przebywa pan Henryk Mrulewicz. Drzwi otwiera sympatyczna opiekunka i prowadzi do rozmówcy, oczekującego nas z niecierpliwością. Wizyta ta jest dla pana Henryka ważna tym bardziej, że uprzedził on o niej już pozostałych pensjonariuszy i personel. Wszyscy więc wiedzą, że przychodzimy, aby przeprowadzić z nim wywiad. W rozmowie uczestniczy także jego syn – Janusz.

Jak długo mieszka Pan w gminie Choczewo?

Myśmy przybyli tu na Zachód w sierpniu 1945 roku. Dlaczego akurat na Ziemię Odzyskaną? Bo w Brześciu nad Bugiem, gdzie mieszkaliśmy, wszystko straciliśmy. Przed wojną, ojciec był tam wojskowym. W 1939 roku Rosjanie wysłali go do obozu pod Smoleńskiem, z którego uciekł w roku 1940. Rosyjska komisarz zwolniła ojca. Zauważyła go, gdy wypuszczali więźniów na przewietrzenie. Ojciec miał trochę urodę żydowską, a to była Żydówka, dlatego zlitowała się nad nim i zapytała, czy chce iść na wolność. No kto by nie chciał! Załatwiła mu więc przepustkę, która umożliwiała powrót na tereny, które wcześniej zamieszkiwał. Zaproponowała jeszcze żeby wziął jakiegoś kolegę. I tak ojciec, i jeszcze jeden zostali zwolnieni. Spod Smoleńska do Brześcia wędrowali dwa tygodnie. To była trudna podróż. Silna zima, 40 stopni mrozu. Trochę korzystali z podjazdów Rosjan na furmankach, ale większość trasy pokonali pieszo. Po drodze przyłączyła się do nich jeszcze jedna kobieta, która też chciała wracać do swoich. Kiedy przybyli na granicę na Bugu między Niemcami a Rosją, mieli kłopoty z jej przekroczeniem. O północy udało im się wejść na lód, bo przy takim mrozie Bug był porządnie zamrznięty. Gdy tylko się znaleźli na lodzie, Rosjanie

zaczęli strzelać. Ale oni nie zawrócili. Po drugiej stronie czekali na nich Niemcy. Ojciec musiał oczywiście zniszczyć tę przepustkę od Rosjanki. Gdyby Niemcy dostali ją w ręce, miałby kłopot, jako Żyda by go skasowali. Niemcy przyjęli ich na wachtę, dali gorącą grochówkę i zatrudnili do rąbania drzewa. Przez cały dzień kazali im rąbać drzewo, a na wieczór przesłuchali i wypuścili. Tę kobietę od razu wypuścili, a ich po krótkim przetrzymaniu. I ojciec nas odnalazł u rodziny mojej matki przy Terespolu.

Czy Pana ojciec miał jakiś stopień w wojsku?

Miał 20 lat służby wojskowej. Był zawodowym żołnierzem, szefem łączności. Przed wojną wysłano go najpierw do Lidy. Stamtąd do Zegrza. W 1939 roku został w Zegrzu, do domu nie wrócił. Ze swoją jednostką przedostawali się przez granicę niemiecką, gdzie rozbroili ich Rosjanie. Po rękach poznawali czy oficer, czy szeregowy. Segregowali i wysyłali do obozów. Ojciec trafił właśnie do tego pod Smoleńskiem, niedaleko Katynia. Opowiadał, że trzymali ich pod ziemią w dużych prochowaniach. Kilka tysięcy oficerów. To był tak zwany obóz przejściowy. Czasami wypędzali ich na zewnątrz, ustawiali w szeregu i pytali, kto chce na ochotnika jechać za granicę. Niektórzy się zgłaszali, bo liczyli,



Zdjęcie 38 Ojciec Henryka Mrulewicza w Lidzie

że naprawdę wyjadą. Wywozili ich bardzo starymi autobusami. Okna zabite deskami, zaklejone gazetami. I jechali do Katynia. Później już nie było chętnych do wyjazdów, więc sami wyznaczali. Na szczęście ojca uratowała żydowska uroda i litość tej Rosjanki.

p. Janusz: Ale przed wojną dziadek pełnił funkcję dowódcy kompani szkolnej, prawda?

Tak, był szefem kompani łączności w Brześciu. W tej szkole było ponad 100 wojskowych. Niedaleko, w sztabie pracował starszy sierżant, kolega ojca, Jan Foks. Często jak mijaliśmy jego blok w drodze powrotnej do domu, stał na schodach i palił papierosa. Kłanialiśmy się mu, a on się uśmiechał. Do sztabu w sprawach wojskowych przyjeżdżał nawet Piłsudski. Widziałem go kilka razy. Byłem wtedy bardzo mały. Na pewno był w 32 czy 33 roku.

Zawsze skromnie ubrany. Szara bluza, szara maciejówka. Ostatni raz przyjechał chyba w 34 roku. Rok później zmarł. Matka wtedy płakała. Pytałem o co chodzi, a ona: „Piłsudski nie żyje”.

Gdzie spędził Pan wojnę?

Na terenach lubelskich u rodziny, we wsi Mokrane Nowe. Potem żeśmy się przeprowadzili do Malowej Góry. Ojciec trochę pracował u chłopca przy żniwach, pomagał mu. Później dostał się na reformę i starał o pracę. Ja miałem już 17 lat i zacząłem remontować drogi u Niemców. Potem razem z Niemcami pracowałem na przeładunkowej stacji kolejowej Małaszewicze, trochę starałem się uczyć niemieckiego.



Zdjęcie 39 Ojciec Henryka Mrulewicza – drugi rząd czwarty od lewej

Zajmowałem się odprawami pociągów i ekspedycją. Praca nie była ciężka. Przychodziły transporty z Niemiec, z Ukrainy, z różnymi towarami: zboże, żywność, nawet złom, ruda, węgiel. My segregowaliśmy pociągi w jednym kierunku. To była taka robota spisywania tych pociągów, wagonów, ładunków. Z Ukrainy i terenów zajętych przez Niemców w 1941 roku większość szła do Niemiec. Zabierali wszystko: złom, rozbite samoloty, czołgi. Ruda na przykład szła do Stuttgartu. Majstra miałem bardzo dobrze, taki starszy gość. Pracowaliśmy na trzy zmiany. 12 godzin pracy, 24 godziny wolnego. Było trzech Polaków i trzech Niemców – nazywali się: Nauman, Fuchs i Meder. Byli raczej starsi, bo młodzi poszli do wojska i na front.



Zdjęcie 40 Henryk Mrulewicz (po lewej) z bratem

Koniec wojny zastał Pana w lubelskim?

Jeszcze przed samym końcem wojny dostałem się do partyzantów. Miesiąc byłem w lesie. Po prostu uciekliśmy z pracy, bo nie wiedzieliśmy, co z nami będzie. Niemcy zaczęli się stopniowo wycofywać, Rosjanie atakować. Obawialiśmy się. Gdy Rosjanie weszli, zaczęli nas rozbrajać i przesłuchiwać. Pytali, kto chce iść dalej wojować na Berlin, a kto wracać do domu. Ja wołałem wrócić. Dom zastałem wyzwolony. Moja rodzina mieszkała w tym czasie

w starym spichrzu, bo wszystko zniszczył po drodze front. Kiedy wróciłem z lasu, to jeszcze niektórzy Niemcy leżeli w krzakach porozbierani. Ludzie im zabrali ubrania. Po zakończeniu wojny ogłoszono, że są Ziemie Odzyskane do zajęcia po Niemcach. Ojciec się zgłosił i przydzielili nam gospodarstwo w Zwartówku (wieś w gminie Choczevo – A.Ł.), to samo, które dzisiaj należy do Mariana Liszniańskiego.

W jaki sposób dotarliście do Zwartówka?

Zaraz po wyzwoleniu uruchomiono kolej, można było wynająć wagon. Ojciec załatwił i my, i jeszcze jedna rodzina, dostaliśmy wagon. Wzięliśmy trochę gratów i po dwóch tygodniach jazdy dotarliśmy do stacji kolejowej Wrzeście, koło Łeby. Tam zostaliśmy rozładowani. Przyjechali po nas ci Niemcy, którzy oddawali nam gospodarkę.

Ta druga rodzina tak samo, też dostali w Zwartówku. Nazywali się Horosiewicz. Przejęliśmy w pełnym wyposażeniu tę gospodarkę. Były dwa konie, krowy, świnie, kury, pszczoły nawet. Przez prawie dwa lata Niemcy pracowali u nas na gospodarstwie. Ojciec był raczej takim działaczem społecznym, dużo jeździł na zebrania, komisje, był radnym. Gospodarką się mało zajmował. Wszystko robili Niemcy. Jeden młody, zdezerterował z wojska i się

ukrywał. Zaraz po wojnie się ujawnił. Ojciec gospodarzył chyba do 70 roku. Wtedy przeszedł na emeryturę. Przekazał całą ziemię i gospodarkę na Skarb Państwa, żeby mógł otrzymać emeryturę. Niedaleko mieszkał Liszniański. Ojciec wziął po nim mieszkanie, a Liszniański się przeprowadził i przejął naszą gospodarkę.

Jak mieli na imię Pana rodzice?

Feliks i Józefa, z domu Pisarska. Miałem brata nieszczęśliwego od urodzenia. Gdy był mały, kot go dusił w łóżeczku. Mieliśmy dużego, starego kota, który w nocy skoczył na łóżeczko. Matka usłyszała,

że dziecko się dusi. Ojciec zastrzelił kota. Później brat miał przeżycia typu złamania nogi. W szkole złamał nogę w czterech miejscach. Albo latem, podczas sianokosów, wojsko skosiło trawę. Pod sianem były schowane widły. My chłopaki skakali po tym. Brat skoczył i się nadział na widły. A pod koniec wojny, w czasie wyzwolenia bomby spadły koło niego i został poturbowany. Od tamtej pory był cały czas poza domem, w szpitalu. Trochę go podleczyli, to pomagał na gospodarce, ale całkiem do domu nie wrócił. Jednego brata tylko miałem. Rodzice są pochowani w Łęborku. Ojciec miał 72 lata jak zmarł, a matka 73.



Zdjęcie 41 Szkolna drużyna piłkarska, do której należał Janusz Mrulewicz – drugi od lewej, rok 1968

Pomagał Pan rodzicom w gospodarstwie?

Nie. Cały czas pracowałem zawodowo. Przyjeżdżał do nas najmłodszy brat ojca z Łodzi i pomagał na gospodarce. Ale ojciec też dużo ludzi wynajmował. Nawet rodzina Liszniańskich u nas pracowała. W Zwartówku były dwa sklepy. Jeden miał Niemiec. A drugi prowadziła panienska, której mąż zginął na froncie w Rosji. Ja ten sklep przejąłem. Nawet dużo towaru tam było. Ale głównie przedawnionego, który nie nadawał się do handlu. Otworzyłem więc sklep wielobranżowy i prowadziłem go przez trzy lata. Ale bez przerwy mnie prześladowali tymi domiarami i ostatni dostałem tak wysoki, 80 tysięcy, że zgłosiłem się do Gminnej Spółdzielni. Mówiłem do prezesa i księgowego: „słuchajcie, chcecie, to przejmujcie mój sklep”. Towary moje były po kaucjach. Urząd Likwidacyjny grasował, ciągle kontrole, dużo towarów mi zabierali, miałem tego dość.

Pamięta Pan, jak nazywał się prezes Spółdzielni?

Rudnicki. Był kierowcą w Urzędzie Bezpieczeństwa, ale grasował po całej gminie. Chodził w marynarskim mundurze. Później, jak zmieniono ustrój, dostał się do Łeby i wywoził szamba, tak nisko zjechał. Szef Urzędu Bezpieczeństwa nazywał się major Korski. Ten znowu jeździł z wózkiem po Lęborku i piece przestawiał. W Zwartówku był sklep konkurencyjny, który miał Kardas. On ciągle napuszczał na mnie Urząd Bezpieczeństwa. Jak jeździłem po towar, zawsze miałem nielegalny pistolet. Jego bratanek uczył mojego syna języka rosyjskiego.

p. Janusz: Moja mama pochodziła z Litwy i bardzo dobrze znała rosyjski, miałem więc piątkę. Kardas

nie mógł tego przeboleć i ledwo zdałem z pierwszej klasy zawodówki do drugiej. Jego wujkiem był właśnie ten Kardas, który miał konkurencyjny sklep i robił ojcu pod górkę.

Działał Pan w jakichś organizacjach?

Przez jakiś czas byłem w Straży Ochrony Kolei. Zaraz po wojnie. A ojciec był komendantem. Ale trwało to krótko. W styczniu 1947 roku byłem aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa, razem z leśniczym. Noc, zima cholerna, 40 stopni mrozu, a oni nas taką bryndą, starym poniemieckim samochodem wieźli do Lęborka. Zrobili referendum, trzy razy tak i wszystkich podejrzanych do ciupy. Trzy dni tam siedziałem. Już prawie nieprzytomnego mnie wyciągnęli. Nic nie jadłem. W celi na ścianach lód, na posadzce woda po kostki, prycze bez niczego, same deski. Tylko podglówek. Trzy dni tam przetrwałem. Urząd Bezpieczeństwa był wtedy naprzeciwko poczty w Lęborku, gdzie dzisiaj znajduje się Urząd Miejski. Jedną noc spędziłem w celi z tym Karsznym, pierwszym leśniczym ze Zwartowa. Dużo ludzi z Lęborka też siedziało. Ojciec znał dobrze wójta, Franciszka Musiała. To był pierwszy wójt w Choczewie po wojnie. Taki koniarz. Ojciec też miał dwa ładne konie, klacz narodową i wałacha. Znali się, jak to hodowcy. I dzięki temu Musiałowi, który miał znajomości w urzędzie, ja zostałem z więzienia zwolniony. Wyciągnęli mnie prawie nieprzytomnego, z obu stron zapalenie płuc. Byłem już wtedy żonaty, w 46. się ożeniłem. Moja żona mieszkała na Litwie. Z matką, z wujkiem, jego żoną i córkami przyjechali tu w czasie wojny, przypadkowo. Chcieli dostać się do Szwajcarii. Ale tak wyszło, że zostali w Zwartowie. Jej wujek jakiś czas był tu weterynarzem. Nazywał się Linder i prowadził też pegeer.

Moja teściowa i Linder byli rodzeństwem. Wyjechali później do Szwajcarii.

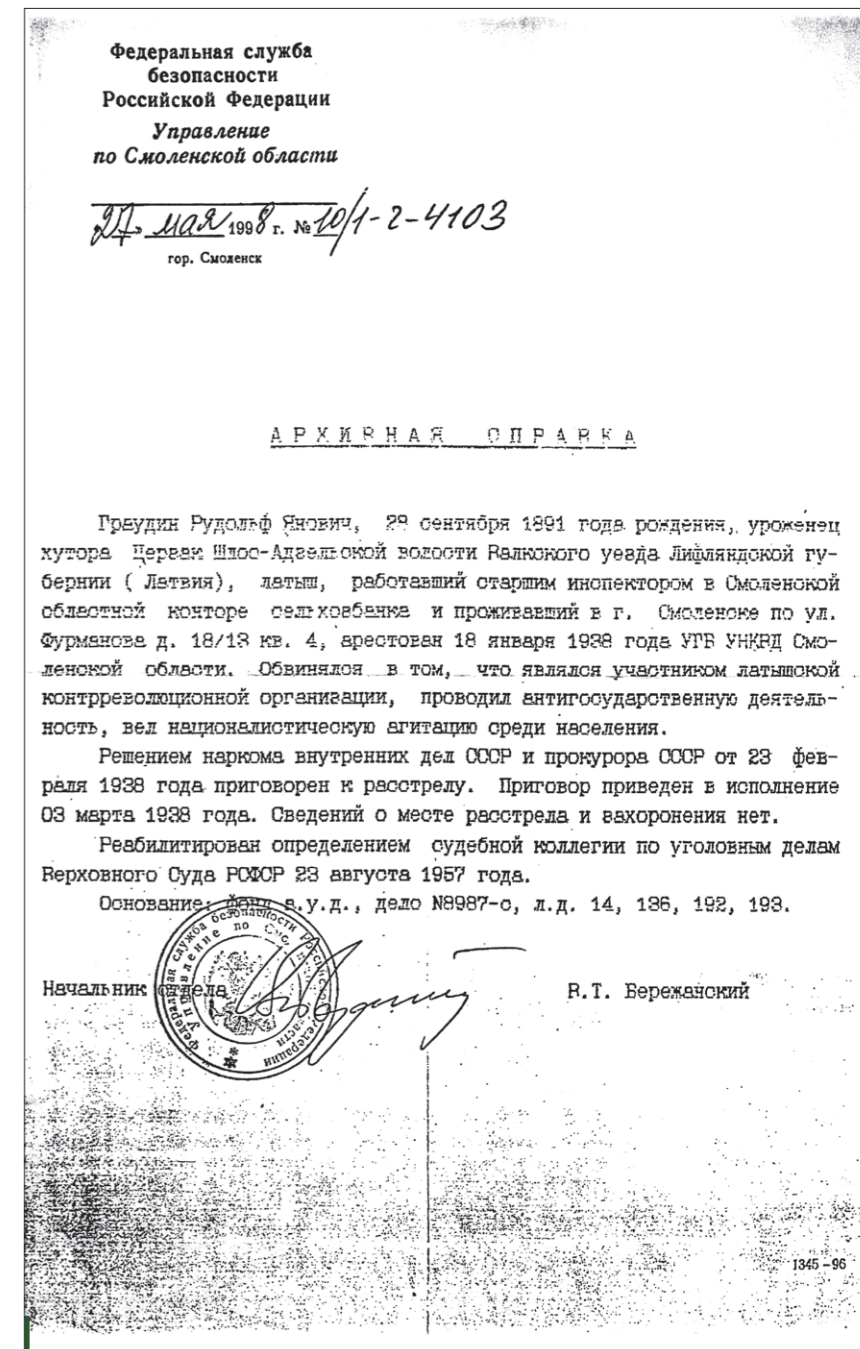
Opowie Pan coś więcej o pierwszym spotkaniu z żoną?

Poznaliśmy się w 45 roku. Ona przychodziła do sklepu po zakupy. Pewnego razu powiedziała: „Pan ma taki brzydki szyld” i mi go wymalowała. Jej rodzina mieszkała w pałacu w Zwartowie, w tej części, gdzie kuchnia. W 47 roku chyba wyjechali. A my ślub żeśmy wzięli. Na szybkiego wszystko, bo ona nie miała polskiego obywatelstwa, trzeba było u notariusza załatwić.

p. Janusz: Wujek mojej babci został na rodzinnej gospodarce w Alpach, a jego brat pojechał w świat, bo wtedy, na początku XX wieku był kryzys. Dotarł na Litwę, gdzie założył mleczarnię i produkcję serów. Dosyć długo tam mieszkali. Uciekli, gdy przechodził front rosyjski. Moja babcia, a ojca teściowa, wyszła za mąż za Łotysza, nazywał się Rudolf Graudin i pracował w banku w Smoleńsku. Zastrzelili go. Już w latach 90 mój kuzyn z Niemiec, mojej mamy brata syn udał się do władz Smoleńska po rehabilitację dziadka i dostał ją.

Czym się Pan zajmował po przekazaniu sklepu Gminnej Spółdzielni?

Było tak. Przyjechali prezes i księgowy, zrobili remanent mojego towaru, przejęli, a ja zostałem kierownikiem sklepu jako pracownik Gminnej Spółdzielni. Prowadziłem go chyba jeszcze rok. Żona pracowała razem ze mną, przeważnie ona sprzedawała, a ja jeździłem po towar do Lęborka. Ojciec mi dawał konie, wóz i jechałem. Potem, kiedy



Zdjęcie 42 Rehabilitacja Rudolfa Graudina, oryginalny tekst rosyjski

przekazałem sklep komuś innemu, byłem kasjerem w Gminnej Spółdzielni. W 50 roku przeprowadziliśmy się do Choczewa. Dostałem od gminy mieszkanie w domu, w którym było najpierw nadleśnictwo. Prace to ja miałem w Gminnej Spółdzielni różne. W latach 50 radiowęzeł prowadziłem.

W Choczewie był radiowęzeł tam, gdzie Nowak mieszka, koło Ośrodka Zdrowia. U góry. Ja byłem kierownikiem i miałem dwóch monterów. Radiowęzeł zasiliał trzy gminy. Trochę żeśmy siali propagandę.

Kto był Waszym zwierzchnikiem?

Podlegaliśmy pod Wejherowo, a później pod Lębork. W tym radiowęzle były odbiorniki, wzmacniacze, linia wybudowana do wszystkich gmin i do każdego domu, kto chciał, kierowano głośniki. Audycje nadawaliśmy nawet z Warszawy. Pra-

cowałem do 12 w nocy. Rano o 5 pobudka. Puszczaliśmy też różne odczyty polityczne. To było pierwsze radio na tym terenie. Obejmowało gminę Gniewino, Wierzchucino i Choczewo. Pracowałem tam kilka lat. Nie pamiętam ile dokładnie. Później każdy sobie już radia kupował i radiowęzeł zlikwidowali.

I gdzie Pan później pracował?

W nadleśnictwie. Od 62 roku. I można powiedzieć, że do dziś. Przeszedłem na emeryturę mając 65 lat i jestem na niej już 30 lat.

A żona?

Ona była taką działaczką, jak mój ojciec. Należeli razem do rolniczej partii Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Ja musiałem wstąpić do innej partii,

bo były takie czasy. Żona została po śmierci odznaczona chyba Krzyżem Kawalerskim. Dostawała podziękowania jako zasłużona ziemi gdańskiej, ziemi lęborskiej, wieloletnia działaczka gminy, radna. Zmarła w 86 roku, miała 61 lat.

p. Janusz: Mama była kierowniczką kina przez jakiś czas. Zresztą tata też się tym zajmował.

Jak odszedłem z radiowęzła, to poszedłem na kurs kinematografii do Poznania. I prowadziłem z żoną kino od 50 roku. Prawie do końca lat 90. Wtedy weszło wideo i wyparło kino. Pierwsze kino „Jar” było przy dzisiejszej restauracji „Pod Kasztanem”. Stał duży drewniany dom, służący jako świetlica wiejska, gdzie odbywały się różne imprezy, zabawy i kino. Z tyłu była wybudowana kabina i tam wyświetlaliśmy. Później przenieśliśmy się do Gminnego Ośrodka Kultury, Sportu i Rekreacji.

p. Janusz: Ale w międzyczasie to było kino półstałe i jeździłeś po wioskach.

Tak. Stałe kino było na samym początku. A potem powstało objazdowe. Jeździliśmy po całej gminie. Z początku furmanką, a potem motorem. Wyświetlaliśmy na przykład filmy w pałacu w Zwarcienku. W 55 roku miałem już samochód, taką simkę. I nią jeździłem. Później były lepsze samochody. Wartburg na przykład.

p. Janusz: Ojciec miał pierwszy samochód w Choczewie. Wartburga wygrał w 56 roku, a tę simkę sprzedał czy odstąpił Zakrzewskim.

Jak żeśmy się przenieśli z kinem do GOKSiRu, żona wystąpiła do zarządu o zmianę nazwy z „Jar”

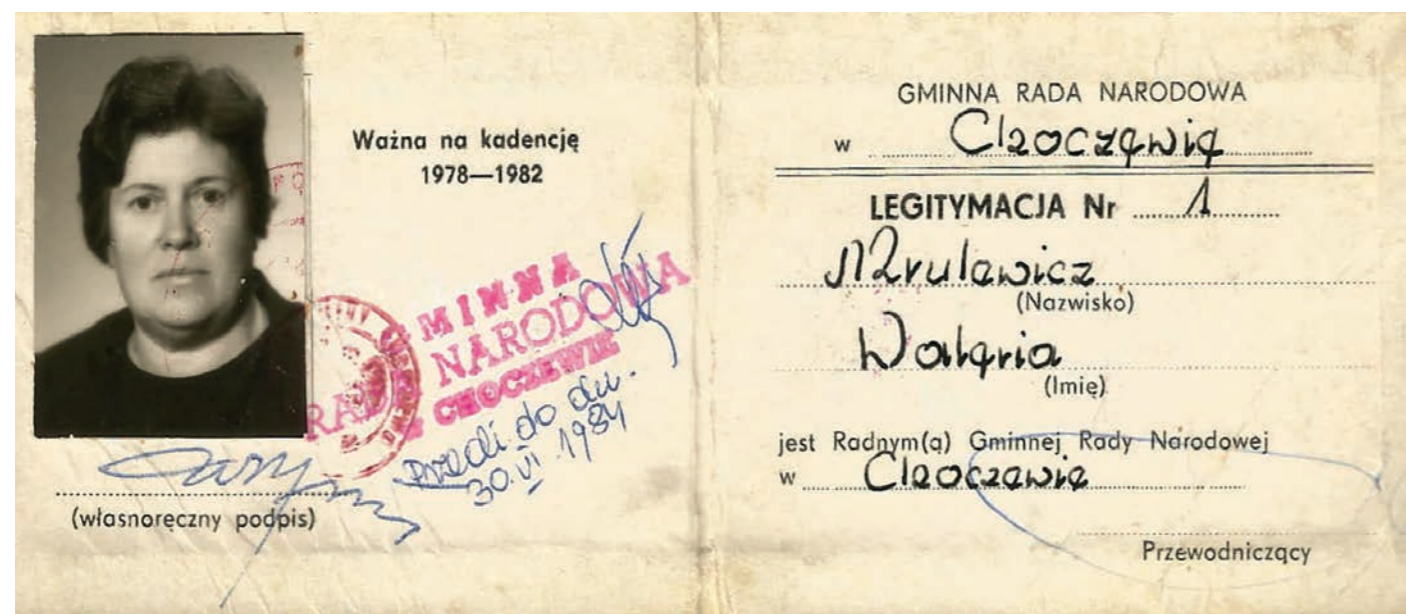


Zdjęcie 44 Pierwszy samochód Henryka Mrulewicza

na „Paprotkę”. Poprzednia sala została rozebrana i wybudowali tam biura Gminnej Spółdzielni. Bo ona była zbudowana z desek, sufit z belek, scena na prętach, miejsca do ćwiczeń dla sportowców.

p. Janusz: Niemcy przed wojną mieli tu salę gimnastyczną.

Z początku ja byłem kierownikiem kina. Żona jeszcze nie pracowała. A później zostałem mechanikiem, a żona kierowniczką. Przeszło 40 lat pracowałem dodatkowo w kinie. W dzień normalnie w nadleśnictwie, a wieczorem w kinie.



Zdjęcie 43 Legitymacja Walerii Mrulewicz

Czym się Pan zajmował w nadleśnictwie?

Byłem najpierw mechanikiem pił motorowych, a później dzięki nadleśniczemu, z którym dużo jeździłem swoim samochodem, zostałem kierowcą. Nadleśnictwo nie miało wtedy samochodu, tylko konia i dwukółkę. Zjeździłem chyba osiem samochodów służbowych w nadleśnictwie. Był GAZ, Star 66, dwa rumuny, ŻUK. A prywatnych siedem. Niby niewiele, ale w tamtych czasach mieć samochód!

p. Janusz: W 55 roku miałeś simkę, w 66 wartburga, a potem...

Zastawa. Zastawę miałem, Heńkowi dałem.

p. Janusz: No tak, ale później. Najpierw miałeś białego wartburga, wtedy czerwonego Fiata Ritmo w 80 roku, a dopiero potem zastawę.

Nie! Zastawę miałem wcześniej, co Ty zapomniałeś? Ritmo później. I volkswagena. Kiedyś obliczyłem, że na służbowych samochodach zrobiłem 1,5 miliona kilometrów. Przez jakiś czas jeździłem na przykład dwa razy w tygodniu do Torunia. Bo dyrekcja z Gdańska była tam przeniesiona. To na sesję, to po materiały jakies. Trzeba było jeździć.

p. Janusz: Raz byś do domu nie dojechał, tylko na drzewie wylądował.

A! To było z Bernaciakiem. Trzy noce wtedy nie spałem i wracałem z nim z pogrzebu.

Już przed Choczewem, na wysokości Gminnego Zakładu Gospodarki Komunalnej zagapiłem się. Dobrze, że trzymałem prosto kierownicę, bo gdy-

bym skręcił, to wyrzwałbym w drzewo przodem. A tak to się tylko otarłem o drzewa. Ale plandeka poszła, pickupem wtedy jechaliśmy. Wozilem też pani dziadka, a pana ojca na remonty. Roman naprawdę był fajny chłop. Fachowiec dobry, pracowity. Tylko się często wkurzał. Nerwus niesamowity. Robił w grupie remontowej. Wypić też lubił. Ale Marta, jego żona też pracowita. I miała zdrowie, przecież ona tak ciężko pracowała. Wszystko robiła. I konia nieraz siodłała. O 3 w nocy chodziła palić w piecu do nadleśnictwa, a potem na gospodarkę.

Jakich nadleśniczych Pan pamięta?

Pierwszym nadleśniczym był Iwanowski. Ja jeszcze wtedy nie pracowałem.

p. Janusz: Nie pamiętam go.

Bo ciebie na świecie nie było! Po Iwanowskim był nadleśniczy, którego nazwiska zapomniałem. On chciał mnie z mieszkania wyrzucić, ale nie udało mu się. Wtedy Łagosz. Później Wiśniewski. W międzyczasie był Pięta, ale krótko. Następnie Jan Wróbel. Potem Bernaciak. I Lewandowska. Ja od Łagosza zacząłem pracować w nadleśnictwie, to był rok 62. A Wiśniewski to trochę dzięki mnie wyfrunął. Jak on przez rok zarządzał nadleśnictwem, to było strasznie. Codziennie rano musiał wypić ćwiartkę wódki. Potrafił w nocy mnie budzić, walić do drzwi, dzieciaki pobudzić i po kątach porozstawiać. Do żony mówił: „przynieś ser na zakąskę ze Szwajcarii”. Wszystko wiedział, co mamy. Starałem się już mieć tę wódkę dla niego, ale był tak uciążliwy, że musiałem jechać do sekretarza partii do Lęborka i opowiedzieć, co on wyprawia. Nie chcieli go mocno skrzywdzić, to został



Zdjęcie 45 Henryk Mrulewicz na polowaniu

kierownikiem tartaku w Bolszewie. Ale niedługo. Sam się wykończył i zmarł. Mieszkali przy Świętojańskiej, taka mała uliczka. Miał też pokój po nadleśniczym Łagoszu. Często musiałem go wozić, bo nie był w stanie pociągiem jechać. Jego żona też była alkoholiczką.

p. Janusz: A potem nastał Wróbel. Już go pamiętam. Miał troje dzieci. Po jakimś czasie został dyrektorem Słowińskiego Parku Narodowego, a następnie

Kampinoskiego. Doszedł chyba nawet do Ministerstwa.

Podchodzi do nas jedna z opiekunek i ze śmiechem mówi:

Pan Henio nawet nic nie zjadł! Nie jest Pan już zmęczony?

Nie! Ani trochę. Ja mam dzisiaj ważnych gości! Najważniejszych!

Kojarzy Pan pierwszych wójtów albo naczelników?

Pierwszy był Franciszek Musiał. Później Rząd, mieszkał w Zwarcienku, był wójtem dosyć długo. Wtedy jakiś Żyd, taki partyjniak. Po nim Nagrodzki. Dalej Wójcicki. Był też taki Stanisław Piotrowski. Polesa też był wójtem. Ale chorował biedny. Oni mieszkali w Zwartowie tam, gdzie była świetlica. Koło kościoła ten dom. Jego żona też chorowała, leżała w łóżku.

A milicjantów?

Nowicki ze Zwartówka. A całkiem na początku to Litwin. W tym czasie byli tu jeszcze Niemcy. Zaraz jak się wjeżdża do Zwartowa, za leśniczówką, mieszkały uciekinierki z Prus Wschodnich. Jedna śpiewała, a druga grała na akordeonie. Litwin jak wybierał się do sklepu, to dzwonił do pegeru, żeby mu przysłali bryczkę. Wysyłali do Choczewa bryczkę i przyjeżdżał do mnie do sklepu. Pełno ludzi w sklepie, a on się pakuje za ladę, do półki sięga po pół litra, nie płacił, nie pytał, tylko brał i jechał. Potem ożenił się w Lęborku z córką Ramczyka. Ramczyk miał duży sklep w Lęborku, a jego syn prowadził lakiernię samochodów i warsztat. Dużo towarów od nich brałem. Najdłużej milicjantem był Wenta. Do Łeby poszedł z Choczewa. Po nim Bronk przyszedł.

Opowie Pan coś o nauczycielach z Choczewa?

Pamiętam Zakrzewską, to była koleżanka żony. Był Łapaj, pracował jeszcze w starej szkole, gdzie dzisiaj jest przedszkole. Maria i Antoni Czerwionkowie.

p. Janusz: Była taka pani Skiba, polonistka. A kierownikiem szkoły był Jabłoński. W latach 60 już Jurek. Po nim Janusz Baranowicz, w czasach, kiedy kończyłem ósmą klasę. Był w Choczewie tylko ze dwa, trzy lata. Hodował króliki i miał syna Mateusza.

Jest Pan już zmęczony?

Nie! Ja tu najstarszy jestem. 95 lat. Jeden ma 92. Z nim nawet jeszcze można porozmawiać, bo reszta to widzicie, jak tu jest. Dlatego nudzę się czasami.

*Rozmowę przeprowadzili i zredagowali
Aleksandra i Krzysztof Łasińscy.*

Harcerz, żołnierz, stoczniowiec

Pan Michał Wozdyk jest mieszkańcem Choczewa od 2010 roku. Jednak już w 1947 wraz z rodziną przybył do sąsiedniej gminy – Gniewina. Zachęcony rozmową, którą przeprowadzaliśmy kilka tygodni wcześniej z jego żoną, postanowił podzielić się z nami swoimi wspomnieniami. Gdy przekraczamy próg pokoju, na stole są już ciastka, orzechy, sok oraz uruchomiony tablet.

Wszystko jest w tym tablecie. Internet, przysyłają mi różne zdjęcia, Teresa (żona pana Michała – A.Ł.) na niego dzwoni z Niemiec. W głowie się nie mieści.

(Pan Michał wlewa do szklanek sok domowej roboty.)

Pijcie. Orzechy gryźcie. Ciastka macie. Cukierki macie. Wodę macie.

(W milczeniu próbujemy orzechów i soku. Po chwili Pan Michał zaczyna opowiadać.)

Pochodzę z bardzo daleka. Urodziłem się aż 120 kilometrów od Teresy. W Tyrawie Solnej. Przed wojną ta miejscowość nazywała się Tyrawa Królewska, bo znajdowały się tam pomniki królów. Dzisiaj został już tylko jeden. Resztę zniszczyli komuniści i zmienili nazwę. Spora część mieszkańców gminy Choczewo pochodzi z Tyrawy. Ja się tam urodziłem, Liszniański, Suchy.

Czym zajmowali się tam Pana rodzice? Mieli gospodarstwo?

Przestańcie. *(Pan Michał patrzy na nas z dobrodusznym politowaniem).* Ojciec Jan Wozdyk był szefem odwiertów ropy w Tyrawie Solnej. Oni wiercili, ro-

zumiecie, potem wydobywali tę ropę i ludzie końmi wozili ją do Sanoka. To była bardzo tłusta ropa, najlepsza. W tej samej miejscowości mieszkali dziadkowie ze strony ojca – Józef i Kasia. Też pracowali w kopalni. Co roku jeździliśmy na wczasy w Bieszczady. Samolotem do Rzeszowa i z Rzeszowa autobusem.

Dlaczego się stamtąd wyprowadziliście?

Wszyscy się wyprowadzili. Komuniści spalili niektóre domy, wymordowali część ludności, a resztę wysłali na puste tereny. My trafiliśmy do Gniewina, gdzie było tylko dziesięć niemieckich rodzin i dużo pustych budynków. Wyjechaliśmy z Tyrawy w roku 1947. Pociągiem, który ciągnął wagony z ludźmi. Raz na jakiś czas odczepili jeden czy dwa wagony i jechaliśmy dalej. W stronę Lęborka. W Choczewie odczepili chyba ze cztery. Nasz został w Gniewinie. Przyjechałem z mamą Różą, dziadkami i rodzeństwem, bo ojciec w tym czasie siedział w więzieniu w Katowicach. Takie czasy. Przed wojną wydobywanie ropy było sprawą prywatną, nie państwową. Dlatego komuniści zamykali kapitalistów. Gdy tata już do nas przyjechał, mama wysłała go raz, aby przyniósł wiadro wody. Nie zgodził się, powiedział: „są przecież w domu krany”

i poszedł do wójta. Wójt mu polecił: „to zajmij się tą wodą”. Ojciec pracował przecież przy odwiertach ropy, więc to było dla niego małe piwo. Zawołali milicjanta i poszli po jednego Niemca, żeby otworzył pompownię. Tata rozebrał całą pompę, bo była bardzo stara, zrobił wszystko od nowa i woda zaczęła płynąć w kranach.

Ile miał Pan lat, gdy się przeprowadziliście?

Trzy miesiące. Urodziłem się 20 stycznia 1947 roku. Mieszkaliśmy przy głównej ulicy, niedaleko kościoła i drogi prowadzącej do Strzebielinka (wieś w gminie Gniewino – A.Ł.). Naprzeciwko była przychodnia. Do Gniewina przywieźli ludzi z całej Polski. I oni się wzięli za prowadzenie gospodarstw. Ale nagle okazywało się, że jakiś silnik nie chodzi, to przychodzili do ojca, żeby im prąd zrobił. Inni prosili, aby pomógł z wodą. I tak dalej. Nie mieliśmy gospodarstwa. Tata zajmował się wszystkim. Robił nawet wozy i koła do wozów dla gospodarzy. Ale nie miał warsztatu, kuchnia była jego miejscem pracy. Jedzcie! Orzechy jedzcie, to z mojego drzewa!

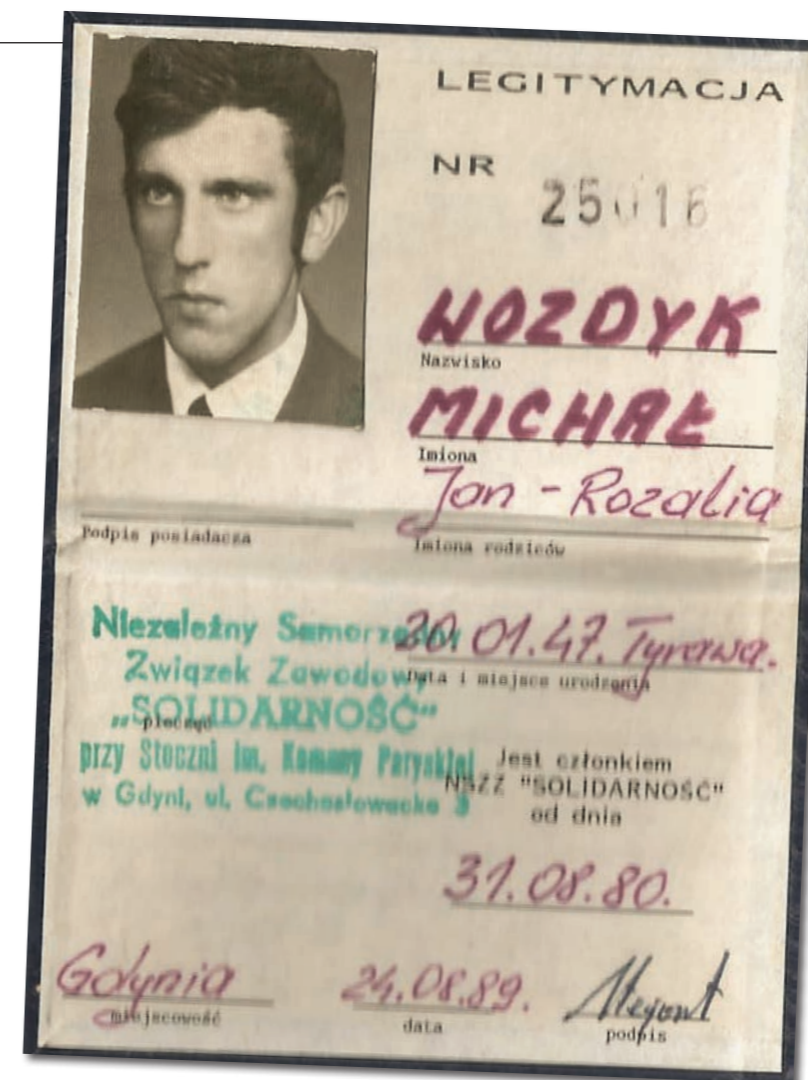
Pana mama też pracowała?

Tak, najpierw w kołchozie w Gniewinie, a potem w przychodni. Do szkoły chodziłem do Gniewina. Szkoła była w tym miejscu, gdzie dzisiaj jest bank. Później poszedłem pracować do stoczni i do wojska. Przyjmowałem statki przygotowane do załadowania. Byłem brygadzystą i podpisywałem odbiór statków. Raz nie podpisałem. Mówię kierownikowi: „jak odpalisz uchwyty na rufie, przy sterze, to podpiszę. Nie odpalisz, to nie. Idę na obiad, za godzinę wrócę”. Przychodzę i widzę, że przygotowują już wodę do lania. Nagle dostałem telefon,

że mam przyjść do inżyniera Nieruchalskiego. U niego akurat był kierownik z K3 i pyta: „czemu Michał nie podpisał?” Odpowiadam to samo – jak odpalę, podpiszę. On mówi, że nie ma czasu, odpali je się później, już na wodzie. Mówię do nich: „I wy jesteście inżynierzy? Statek stoi, ludzie piaskują pomieszczenia dziobowe, jak on będzie zatankowany wodą, to dziób pójdzie do góry, bo wypiskowane”. Oni na to: „pół litra wypijemy, ty z nami”. Sekretarka przyniosła kawę, wypiliśmy pół litra. I odpalili te uchwyty jeszcze w doku. Na drugi dzień idę na statek. Patrzę jakiś nowy dyrektor stoczniowy, po hełmie poznałem. A on: „Michał, a może byś dzień dobry powiedział?” Zorientowałem się, że to ten kierownik, z którym wczoraj piłem wódkę. Został dyrektorem stoczni. Wezwał mnie następnego dnia do biura po odbiór przepustki. Przychodzę do niego: „wypijesz kieliszek?” Wypiliśmy i on mówi: „idź naprzeciw do kasy”. Trzysta złotych. Dostałem prezent za to, że dwa dni wcześniej na niego krzyczałem. Pracowałem na obsłudze zdawania statków. Jak odebrałem, to wieszali na nim flagę. Miałem 24 ludzi, to byli spawacze, stolarze, cieśle, palacze. W 80 roku sam musiałem podejść do egzaminu na spawacza, żeby mieć najwyższą grupę. Od razu zdałem część teoretyczną, ale została jeszcze próba spawania. U mnie w brygadzie spawaczem był Grek. Mówi do mnie: „jutro przyjdiesz do szkoły, pospawasz mi dwa płaskowniki do kupy”. Przyszedłem, on to za mnie pospawał, zaniósłem. Zaliczyli mi egzamin praktyczny.

Mieszkał pan w Gdyni czy dojeżdżał Pan do pracy z Gniewina?

Z początku dojeżdżałem, ale zimą już nie dało rady. Dostaliśmy wtedy pokoje w Wejherowie.



Zdjęcie 46 i 47 Legitymacja związku Solidarność należąca do Michała Wozdyka

W 67 roku poszedłem do wojska raketowego do Dąbrówki. W 68. w nocy wsadzili nas czterech żołnierzy i załadowali do pociągu. Każdy myślał, że jedziemy do Czech. Ale zatrzymaliśmy się w miejscowości koło Szczecina. Zaciągnęli nam budy na takie wysokie wyspy. Trzy i pół tysiąca rezerwistów tam było. Było nas chyba 15 z czynnej służby. Ustawili nas przy działach. Taki huk, że myślałem, że mi się głowa rozleci. Dlatego głuchy jestem. Rezerwiści się podłączali pod nasze budy i to było całe działanie. Stacjonowaliśmy tam trzy miesiące. Polowe ciuchy były całe czarne. Dostawaliśmy śnia-

danie, to w talerzu piach. W butach, we włosach, na tapczanach piach. Mogliśmy się wykąpać tylko w morzu, a to z kolei słona woda. Jak nas odwozili z powrotem do Gdyni, to każdy żołnierz dostał kiełbasę i dwa bochenki chleba. Przyjechaliśmy na placówkę. Spotkał nas dowódca Podgórski i od razu kazał się wykąpać, przebrać i iść na urlop. 7 dni urlopu dostaliśmy za to. Po zakończeniu służby, wróciłem do stoczni. 17 grudnia 70 roku wojna. Strajk. Szliśmy ze stoczni przez port do Urzędu Miasta, żeby protestować. Na początku portowcy z nami nie poszli, ale później dołączyli. Było ich chyba dziesięć tysięcy. Widzieliście taką legitymację Solidarność? (Pan Michał wychodzi i po chwili przynosi nam legitymację.) W 70 roku Pierwszy Sekretarz Gdańska przez telewizor mówił, że mamy w czwartek przyjść do pracy. 17 grudnia, szósta rano, jeszcze ciemno – idziemy do stoczni. Na ulicy

dwadzieścia czołgów. Zaczęli strzelać bez ostrzeżenia. Czterdziestu pięciu ludzi leżało zabitych. Janek Wiśniewski padł, na drzwiach go nieśli.

On się naprawdę inaczej nazywał, ale przecież nie o to chodziło. Za szybko to wszystko szło. Nie da się tego opisać.

Mieliście jakąś broń?

Nie. My przecież do roboty szliśmy. Ja szedłem po lewej stronie i trudno było się wycofać od tych czołgów, bo stoczniowców szło tysiące. Karetki do nas na sygnale przyjechały, gestapo komunistyczne zaczęło im strzelać w opony. Później pojechali do szpitala w Gdyni, dobijać rannych stoczniowców. Nikt nie przeżył tego, co stoczniowcy. Po tych wydarzeniach przez tydzień się ukrywałem. Ale musiałem wrócić, bo wynajmowaliśmy z Teresą pokój, i UB nachodziło właścicielkę. Ona im powiedziała, że moja żona pracuje w szpitalu w Wejherowie. I poszli do szpitala. Wnet by Teresę zamknęli. Dlatego sam się do nich zgłosiłem i poszedłem do więzienia.

W którym więzieniu Pan siedział?

W Czarnem. Najcięższe więzienie na świecie. Tylko nas nie trzymali razem z więźniami, bo bali się, że możemy ich zbuntować. Byliśmy zamknięci w piętrowym mieszkaniu. Wkoło gestapo. 56 nas było, wszyscy ze stoczni z Gdyni. Strajkowało oczywiście więcej osób, ale większości nie złapali. Mnie poszukiwali, bo ktoś podał im moje nazwisko. Rano prowadzili nas na śniadanie. Czarna kawa, czarny chleb. Na obiad – czarna kawa, czarny chleb. I tak przez dwa tygodnie. Facet, który nas pilnował mówił: „módlcie się, żeby się rząd zmie-

nił. Jak się nie zmieni, jedziecie na białe niedźwiedzie, czyli na Syberię”. No i faktycznie. Zmienił się rząd, Gomułkę wyrzucili, a nas wypuścili. Ale nie wszystkich jednego dnia. Żonatych jednego, kawalerów drugiego, żebyśmy nie zrobili rozróby. Pociągiem przyjechaliśmy do Tczewa i stamtąd do Gdyni. Wchodzimy na dworzec w Gdyni o drugiej w nocy. Siedzi gestapo. Jak nas zobaczyli, powkładali hełmy, powyciągali pałki i ruszyli na nas. Pytają skąd jesteście. Odpowiedzieliśmy, że ze stoczni. Chcieli nas znowu zamknąć, ale na szczęście mieliśmy zaświadczenia. Po powrocie do pracy powiedzieli mi, że jestem zwolniony, bo nie ma żadnych papierów, że ja tam pracowałem. Kierownik do mnie: „ja cię przyjmę, ale nie możesz po stoczni sam chodzić”. Kiedy złożyłem dokumenty, żeby przejść na emeryturę, za kilka dni otrzymałem pismo, że brakuje tych z roku 70 i 71. Bo komuniści wszystkie papiery tych, co strajkowali zniszczyli. Na szczęście pewna młoda kobieta w stoczni mi pomogła to załatwić. Mówiła, że jej ojciec był w takiej samej sytuacji.

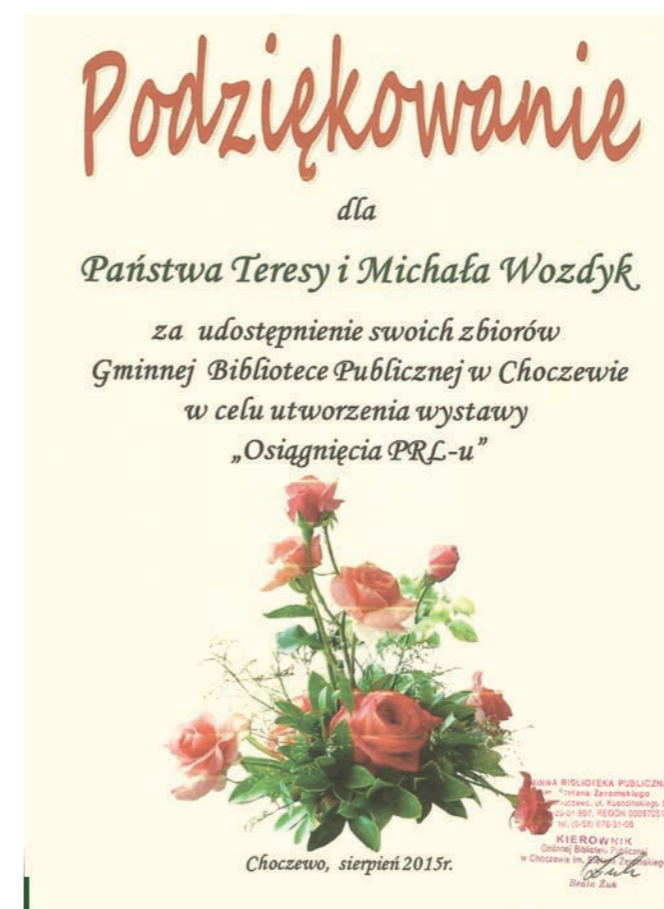
Kierownik, który przyjął Pana z powrotem do pracy, był ten sam, co przed strajkiem?

Tak. Komunista.

Brał Pan udział również w strajku w 80 roku?

No a jak! W 70 roku ludzie nie wiedzieli, co to jest strajk. Podczas drugiego strajku, powiedzieli, że jak nie odpuścimy, to Ruski przyjadą statkiem z żołnierzami, a Polacy czołgami. Wiedzieliśmy, że to nieprawda, bo mieliśmy swój wywiad, chyba ze Stanów Zjednoczonych. Byliśmy pewni, że stoczni nie zaatakują. Wałęsa chciał w trakcie przerwać

strajk, ale Gdynia się nie zgodziła i zagroziła, że w takim razie my przejmujemy dowodzenie i dogadujemy się z rządem. No więc dalej strajkowali. Ja mam do dzisiaj tajne papiery. Jakby mnie w tamtych czasach z tym złapali, to bym najmniej pięć lat więzienia dostał. Ale dzisiaj to już historia. Biblioteka w Choczewie zorganizowała nawet wystawę dotyczącą tego strajku i przyszli do mnie po dokumenty. Później dostałem takie podziękowanie. (*Pan Michał pokazuje nam podziękowanie, które otrzymał od kierowniczkii gminnej biblioteki.*)



Zdjęcie 48 Podziękowanie dla Teresy i Michała Wozdyków za pomoc w zorganizowaniu wystawy „Osiągnięcia PRL-u”

Gdzie Pan poznał żonę?

W pociągu. Ja dojeżdżałem do stoczni, a Teresa do szpitala w Wejherowie, bo tam pracowała. W soboty zawsze jechaliśmy do domu i razem z Arendtem, który też pracował w stoczni, piliśmy po drodze pół litra. Raz nie zabraliśmy kieliszka. A on mówi: „poczekaj, idziemy do Teresy, ona na pewno ma ze sobą szklanę”. Wzięliśmy od niej tę szklanę i tak się zaczęło. Już 50 lat jesteśmy razem. Coś jeszcze Wam pokażę. (*Pan Michał przynosi dokument.*) Czytajcie.

MIESZKAŃCY TYRAWY SOLNEJ

POLEGLI ZA OJCZYZNĘ
W WALKACH O PRZEŁĘCZ DUKIELSKĄ

1. Michał Banit
2. Piotr Chudko
3. Jan Dereń
4. Fosner Lejba
5. Józef Kuraś
6. Władysław Liszniański
7. Michał Miszczyszyn
8. Bazyli Pich
9. Jan Pich
10. Michał Skiba
11. Włodzimierz Suski
12. Józef Sybidło
13. Leon Tabaka
14. Józef Tylka
15. Jan Uhryn
16. Władysław Wozdyk

Zdjęcie 49 Mieszkańcy Tyrawy Solnej polegli w walkach o przełęcz dukielską

Mieszkańcy Tyrawy Solnej polegli za ojczyznę w walkach o przełęcz dukielską: Michał Banit, Piotr Chudko, Jan Dereń, Fosner Lejba, Józef Kuraś, Władysław Liszniański, Michał Miszczy-szyn, Bazyle Pich, Jan Pich, Michał Skiba, Włodzimierz Suski, Józef Sybidło, Leon Tabaka, Józef Tylka, Jan Uhryn, Władysław Wozdyk.

Z Pana rodziny?

Tak, Władysław Wozdyk to rodzina, ale nie wiem bliżej nic.

W Gniewinie mieszkało więcej rodzin z Tyrawy?

Nie. W Gniewinie byli ludzie z całej Polski. Nasi sąsiedzi pochodzili z Radomia. Później, w 56. albo 58. wypędzali Polaków z Rosji i niektórzy z nich też trafili do Gniewina. Mój dziadek był szewcem. W domu miał własny warsztat i robił buty. Czasami wbijałem razem z nim kołki w buty. Wszystko, co się działo w Gniewinie albo w Bychowie (wieś w gminie Gniewino – A.Ł.), to u Wozdyka. Ojciec w gminie pracował, zajmował się wodociągiem, ale zawsze wszystkim coś naprawiał. Słuchał Radia Wolna Europa. Wy tych czasów nie pamiętacie. *(Pan Michał zwraca się do taty.)* Który ty jesteś rocznik?

1958.

W tym roku to ja już miałem przyjęcie w Kostkowie. Księdzem był wtedy Niemiec. Jak myśmy się spóźnili na nauki, to lał w mordę. To nie były żarty w tamtych latach, rozumiecie. Kierownikiem szkoły też był Niemiec. O! Należałem jeszcze do harcerstwa. Żeby zebrać pieniądze na obozy, jeździliśmy

w Gniewinie wozem, zbieraliśmy złom i sprzedawaliśmy. Chodziliśmy też do pegeeru zbierać ziemniaki. Raz pojechaliśmy za zarobione pieniądze do Lubkowa. Szef mnie wtedy wysłał, mówi: „Michał, pojedziesz rowerem z kolegą, musisz kupić chleb i weźmiesz mi też paczkę papierosów i butelkę wina”. Pojechałem. Przywiozłem. Dałem. I sobie też kupiłem papierosy.

Harcerz przecież nie pali.

Ale tak po cichu palił. Miałem płaską lampkę i w niej w miejsce baterii schowałem papierosy. Po obiedzie poszliśmy z kolegą zapalić. Ale dziewczyny zaraz poleciały do szefa, że Michał pali. On przyszedł. Ręce do góry. Szuka papierosów. Nie ma. „Jutro jedziecie do domu” – mówi. Zabrał krzyż i legitymację. Wieczorem ktoś zaczął rzucać kamieniami w nasze namioty. Nasz szef i jego dziewczyna zaczęli prosić: „Michał, pomożesz?”. Ja nie miałem legitymacji ani krzyża. A oni coraz mocniej rzucali. Było już tak źle, że przynieśli mi legitymację i krzyż. Mówię do nich: „Wy zostańcie, a my z kolegą zaraz przyprowadzimy tych, co rzucają”. I tak było. Przyciągnęliśmy takiego małego harcerza i zaraz go popędziliśmy, a szef razem z nami. Wracamy, wszyscy harcerze z przodu, ja z szefem z tyłu. On mówi: „Zapalisz?”. Zapalę. I pokazałem mu te papierosy w lampce. Poczęstowałem go. Więcej mnie nie wyganiał do domu. A w wojsku w Dąbrówce byłem jako sportowiec.

Jaki sport Pan uprawiał?

Taki, który akurat był potrzebny. Odbywały się na przykład zawody tenisa stołowego, to jechałem na turniej. Za to dostawałem wyższy żołd, 80 zło-

tych, a koledzy po 70. Raz mówią, że piwa by się napili. Poszedłem więc do oficera, żeby wypisał mi patrol. Miałem wziąć dwóch żołnierzy i 30 sztuk ostrej amunicji. Wchodzimy do miejsca, gdzie było to piwo. A tam siedzi ten sam oficer, który wypisywał patrol. Zobaczył mnie i woła: „chodź, chodź, przyszedłeś po piwo, to bierz”. Wlaliśmy i poszliśmy. Ale zapomniałem, że trzeba jeszcze wypisać powrót z patrolu. Przed kolacją wezwał mnie porucznik. Kazał siadać, wyciągnął pół litra i mówi: „Pijemy”. Odpowiedziałem, że jestem głodny. Zadzwoił do kucharzy. Przynieśli.

Jeszcze jeden numer był. Pewien sierżant, powiedział, że załatwi mi przepustkę. Miałem pójść do Luzina na zabawę i po drodze ukraść mu ze wsi dwa króliki. Wziąłem kolegę i poszliśmy. Około czwartej nad ranem wróciliśmy. Ja już wcześniej zaplanowałem, jak wziąć te króliki. Dowódca jednostki miał młode króliczki, a ten sierżant wybudował klatkę obok. Przerzuciliśmy więc dwa króliki do jego klatki. W poniedziałek podczas odprawy dowódca krzyczy: „sierżant, masz dwie minuty i te dwa króliki są z powrotem u mnie”.

Odwiedzał Pan później Tyrawę?

Pewnie, moja rodzina tam jest. Teraz nie ma już nawet śladów kopalni ropy. To było w lesie, więc wszystko zarosło. W Tyrawie jak wycinają lasy, nie muszą sadzić nowych, same moment odrastają. Tam kiedyś tak było, że zawierano małżeństwa w obrębie wioski, więc właściwie wszyscy byli rodziną. A co z moim rodzeństwem? Siostra mieszka teraz w Krakowie. Brat chyba jest w niebie. Zmarł w wieku 60 lat. Ojciec tak samo. Ja pierwszy mam 73 lata. Pamiętam, jak dawno temu pojechałem sam do Tyrawy. Miałem 17, może 18 lat. Nie więcej.

Byłem zapraszany do każdego domu. Oni się chcieli odwdziżyć, że w dawnych czasach dzięki mojemu ojcu mogli zarabiać.

*Rozmowę przeprowadzili i zredagowali
Aleksandra i Krzysztof Łasińscy.*

„Byłam najgrzeczniejsza w domu”

Nazywam się Teresa Wozdyk, z domu Świeca. Moimi rodzicami byli Aniela i Jan. W 55 roku przeprowadziliśmy się do Choczewa z Jedlinek, (pocztą Potok Górny, powiat Biłgoraj, województwo lubelskie) gdzie przyszłam na świat. Moja mama urodziła się w miejscowości Lipiny Górne szóstego maja 1925 roku, niedaleko Jedlinek. Babcia, Ewa Bucior, zmarła w 1927 roku, gdy mama nie ukończyła jeszcze dwóch lat. (*Pani Teresa szuka w swoim telefonie komórkowym zdjęć grobu babci.*) O! Już znalazłam. (*Ze zdjęcia odczytuje.*) Żyła 30 lat, więc urodziła się w 1897 roku. Prababcia Małgorzata Szumiło, która po śmierci babci wychowywała moją mamę i jej siostrę Hankę, miała w tamtym czasie 74 lata. Ciotka urodziła się również w Lipinach Górnych, w lipcu 1922 roku, a zmarła w 1978. Jest pochowana w Gdańsku na Srebrzysku. Ich przyrodnia siostra Loda jeszcze żyje. Ma inną matkę, bo dziadek ożenił się później drugi raz. Po śmierci mojej mamy, przywoziłyśmy z siostrą symboliczną garstkę ziemi z grobów babci i prababci, więc są jakby wszystkie w Choczewie. Ojca, który zmarł w 84 roku, też przeniosłyśmy tutaj z cmentarza w Wejherowie.

Opowiedziała Pani o babci. A co z dziadkiem?

Dziadek Józef Bucior miał 45 lat, gdy zginął. Był młodszy od babci Ewy. Około miesiąca po zakończeniu wojny, zastrzelili go Rosjanie. Ciotka Hanka pasła krowy na zagonie, gdy zaczęła się strzelanina we wsi. Dziadek wyszedł na drogę i była

to jego ostatnia droga. W lubelskim ludzie wychodząc na drogę, mówili, że idą na *nawsie*. Chyba dalej tak mówią, ale nie jestem pewna, bo wychowywałam się tam raptem pięć lat.

Czym zajmowali się Pani dziadkowie?

Rolnictwem. Mieli ziemię. Co jeszcze mogę powiedzieć? Coś z opowieści mamy. Zanim poszła do szkoły, jeszcze przed wybuchem wojny, macocha wysyłała ją na różne służby. Podobnie ciotkę Hankę. Nie wiem, czy dziadek miał coś do powiedzenia. Wiem, że zajmował się lnem, konopiami, tłoczył oleje, robił płótna i miał własny warsztat. Do Choczewa nawet przywieźliśmy warsztat stolarski. Wszystko było drewniane. Ale gdzie się podział, nie wiem. Mama jako dziecko przędła wełnę na kołowrotku. Opowiadała mi jeszcze, że będąc przed wojną na służbie, pasła krowy. Za rok pasienia krów i roboty w cudzym gospodarstwie, dostawała metr zboża. Ciotka Hanka mówiła, że woli uciec z domu niż kolejny raz pójść na służbę. Dziadek coś wykombinował i rzeczywiście więcej nie poszła. Mama, gdy już chodziła do szkoły, zachorowała na czerwonkę, czyli na biegunkę krwistą. Wówczas dziadek pojechał z nią do lekarza, który zalecił kilkudniowy pobyt w domu. Gdy się lepiej poczuła, miała ochotę na gruszki. Wlazła na gruszę, najadła się owoców i o dziwo biegunka ustąpiła. Wybucho wojna. Żyją w Jedlinkach. W 42 roku chodzi sołtys po wsi i nosi karty powołania – kartka z zeszytu przecięta na pół. Było na niej napisane:

Aniela Bucior, gmina Potok Górny powołana do pracy w Niemczech i plus. Ciotka Hanka dostała minus, ponieważ miała niesprawną prawą rękę. Dziś podejrzewam, że ta ręka została uszkodzona w trakcie porodu, ponieważ był to niedowład częściowy, a układ krążenia funkcjonował prawidłowo. A dlaczego częściowy?

Bo żeby podnieść rękę, ciotka ją podrzucała, chwyciła, na przykład jak odcedzała ziemniaki, kładła tę rękę na garnek i jakoś funkcjonowała. Czyli od barku do łokcia była w miarę sprawna, a od łokcia do nadgarstka jakby uszkodzona. Niestety nic z tym nie zrobiono, a ciotka radziła sobie w życiu ze swoim kalectwem. Poza tym była zdrowa. Jednak Niemcy na karcie powołania napisali minus, co oznaczało, że nie nadaje się do pracy. Aniela Bucior lat 16 nadaje się, miała plus. Karty powołania nie ma, ponieważ mama była wieszona do Lublina, gdzie podobno siedzieli w jakiejś szkole. Niemcy zwozili w jedno miejsce ludzi do pracy i później wagonami bydłocymi wywozili do Niemiec. Mam zdjęcie mamy z Niemiec z 42 roku, tu jest napisane chyba Stuttgart. (*Pani Teresa zwraca się do męża.*) Daj Michał lupę. A może jednak nie.

To zdjęcie wykonano w Niemczech do Arbeitskarte. Mama pracowała u gospodarza, nie podała mi jednak jego nazwiska, nawet gdy opisywałam tę historię i załatwiałam jej dodatek do emerytury w polsko-niemieckim pojednaniu. Wiem, że najpierw była w Elm, a potem w Romstal.

Jak długo Pani mama pracowała w Niemczech?

Cztery lata. Do 1945 roku. Ale wróćmy do Lublina. Mama przybyła tam wczesną wiosną – marzec lub kwiecień i została do września. Ciągle przywozili Polaków. We wrześniu 42 roku w wagonach bydłoc-



Zdjęcie 50 Aniela Bucior, 1942 rok

nych wyruszyli do Niemiec. Niemka w Elm pokazała mamie jej pokój i zapytała, czy w Polsce ma taki sam. Ona, chociaż nie za bardzo rozumiała, kiwała głową, że tak. W rzeczywistości nie miała żadnego pokoju, bo była na służbie i spała gdzieś w komorze. Niemka pytała, czy miała takie miękkie łóżko z materacem. Mama, że tak, a spała na ławie albo za piecem na słomie. Nauczyła się w Niemczech niemieckiego, regularnie dostawała kieszonkowe. Opowiadała, jak ją Niemka wysłała, aby nazbierała pokrzyw na zupę. Myślała, że to dla kur i dla kaczek, była zdziwiona, że z pokrzyw można zupę ugotować. Bo w lubelskim to tylko kapusta, kartofle, kartofle, kapusta. Na śniadanie, obiad i kolację. Czasem zrobili ser czy masło. Mama mówiła, że ta zupa była bardzo dobra. Zbierała też lebiędę, którą Niemka przyrządzała jak szpinak. U tych

samych ludzi pracowała też inna Polka, miała na imię Krysia i przyjechała z rzeszowskiego. Niemcy wyznawali zasadę, że skoro ze mną pracujesz czy w stajni, czy w polu, będziesz ze mną jadła obiad przy stole. Na początku 44 roku niemiecka policja przyprowadziła im Ukraińca. Mama opowiadała, że ci gospodarze to byli bardzo dobrzy i mądrzy ludzie. Nowy pracownik więc, tak samo siedział z nimi przy stole. Ten Ukrainiec podkablował jednak Niemców na policję. Dobrze, że nie do Gestapo albo SS. Policjant przyjechał, wywołał gospodarza, rozmawiali na boku. Ostrzegł go przed Ukraińcem. Mama umiała już dobrze niemiecki, więc podsłuchiwała trochę. Tak, jak mówiłam, to byli bardzo dobrzy ludzie. Dawali kieszonkowe, Niemka je też ubierała, jeździły do sklepów. Czasami kazała im iść na zabawę, bo w Niemczech nie było jako takiej wojny i bombardowania. Niemcy normalnie w czasie okupacji funkcjonowali.

Co takiego powiedział ten Ukrainiec policji, że doszło do interwencji?

Podkablował gospodarza, że Polki jedzą z nim przy jednym stole. Ale już nie dodał, że on też jadł z nimi. Jego pracodawcy za to przewinienie powinni trafić tak naprawdę do obozu zagłady. Po ostrzeżeniu policjanta, w 1944 roku mamę zabrali do Romstal. Tę Krysę w inną stronę Niemiec, a Ukraińca do obozu. Mama opowiadała, że kolejny raz trafiła do dobrego gospodarza. Zapamiętała, że był przekonany o przegranej Hitlera. W Niemczech bombardowania zaczęły się właściwie w 45 roku i w zasadzie trwały krótko, 5-6 miesięcy. Ale były też spore zniszczenia, zwłaszcza od strony Odry.

Co się w tym czasie działo z Pani mamą?

W 45 roku powstały obozy anglosaskie, gdzie stacjonowały wojska amerykańskie. Trafiali tam Francuzi, Rosjanie, Ukraińcy, Polacy, Węgrzy, różne narodowości. Każdy miał swoją Arbeitskarte. Mama też. Nauczyła się tam palić papierosy. Dostała też świerzbę, bo byli ludzie z różnych środowisk. Koc, na którym spała, sama gotowała. Poszła do niemieckiego lekarza, który dał jej maść śmierdzącą siarką. Spali w dużych salach, na łóżkach polowych, więc wszystkie koce, które były blisko jej łóżka wzięła do pralni i wygotowała, żeby się wyleczyć. Przebywali tam do 46 roku. Amerykanie pytali: czy wolą wracać do Polski, czy jechać do Ameryki, czy jeszcze do innego kraju? Do Stanów ludzie lecieli specjalnymi samolotami lub płynęli statkami. Mama wraca do Polski i śni jej się ojciec, właściwie co noc rozmawia z nim we śnie. Od 42 roku się nie widzieli i nie wiedziała, że już nie żył. Umarł w 45 roku i od tego czasu zaczął się mamie śnić. W 46 roku, koniec kwietnia, początek maja mama przekracza granicę. W Legnicy był Państwowy Urząd Repatriacyjny. Dostaje różową przepustkę, na której jest napisane: Aniela Bucior, data, miejsce urodzenia i zamieszkania. Jedzie z Legnicy do Jedlinek. Przychodzi do domu i dowiaduje się, że ojciec nie żyje. Przestaje jej się śnić. Wyrusza do Malenika, bo dowiaduje się, że jej babcia Małgorzata Szumiło jest tam u córki Agaty. Nie miała nic poza małą walizeczką, w której schowane były marki i rzeczy od Niemki z Romstal. Ci Niemcy chcieli, żeby u nich została, bo traktowali ją jak córkę. Ich syn zginął pod Stalingradem. Mama wołała jednak wrócić do rodziny. W Malenikach niby się cieszyli, że przyjechała, ale spała znowu w komorze, ciotka Agata przesuwała jej walizkę, zabrała marki, sukienki, materiały, ładniejsze rzeczy.

W jakim wieku była w tym czasie Pani prababcia?

Miała około 90 lat. Zmarła w 47 albo 48 roku, nie pamiętam dokładnie. Na pewno w grudniu, bo mama opowiadała, że piekły wtedy placki. Prababcia mówiła: „Anielka, to będzie twój placek, a te ciotki Hanki, mój i Janki”, czyli mojej starszej siostry. Prababci placek tamtego dnia nie wyrósł i wiedziała już, że niedługo odejdzie. Zmarła po świętach Bożego Narodzenia. Mama poszła do Lipin zamówić trumnę, ale nie miała czym zapłacić. Stolarz powiedział: „Anielka, przyjdiesz i mi odrobisz”. Prababcia miała kilkoro dzieci: Michała, Janka, Agatę, Ewę i jeszcze jedno albo dwoje. Agatę i Janka pamiętam. Wujka Michała nie, bo w czasie wojny zginął. U Agaty nawet raz byłam. Niedobry człowiek. Tam się ani nie napił, ani nie najadł. Jak przyjechałam z ciotką Hanką, to nas zapytała: „A po co wyście przyjechały?”. Ona się nawet z własnymi dziećmi nie bardzo mogła pogodzić.

Jak poznali się Pani rodzice?

Ojciec pochodził z Huty, powiat biłgorajski, województwo lubelskie. Tam się urodził w 1903 roku. Miał też rok czy dwa lata jak zmarła jego mama Rozalia, z domu Igras. Dziadek Wojciech Świeca jest pochowany w Lipinach. Drugi raz ożenił się również u Igrasów, z Zofią. Ich dziećmi z drugiego małżeństwa byli: Stachu, Karola, Hela i Marylka. Cała piątka, łącznie z moim ojcem, już nie żyje. Tata w 1924 roku wyjechał do Francji. Znalazłam tę informację, kiedy jeździłam po archiwach. Gdzieś miałam nawet zdjęcie. We Francji zastaje go wojna, walczy w armii francuskiej. Gdy Polacy wchodzą do Francji, dołączają do nich i w 45 albo 46 roku wraca do Polski. Podej-

muje pracę we Wrocławiu w Urzędzie Miasta, ponieważ ma maturę. Ojciec mieszkał na Krzykach, bardzo blisko dworca. Ciotka Karola, jego przyrodnia siostra, bardzo chciała chodzić do szkoły w mieście, więc tata ją wziął. Skończyła średnią szkołę i poszła do pracy. Potem przyjechała Helena, żeby też się uczyć i znaleźć lepszą pracę. Karola ojcu dokuczała, więc załatwił sobie drugie mieszkanie na Osobowicach. Ale ona też się tam przeprowadziła. Ojciec zdał więc mieszkanie do Urzędu Miasta, a jej zostawił to na Krzykach. W 46. czy 47. wyjechał do dziadka do Lipin i podjął pracę w Potoku Górnym w Urzędzie Gminy. Wtedy poznał mamę, gdzie dokładnie to nie wiem, bo nie pytałam. W 49. biorą ślub.

Czy Pani ojciec miał jakiś stopień w wojsku?

Nie wiem, bo kiedy ojciec załatwiał emeryturę francuską, ja uczyłam się w szkole pielęgniarskiej i nie było mnie na miejscu. Pamiętam, że jeździł do Koziańskiego do Kopalina, bo znali się z Francji i jeszcze do kogoś do Lęborka. Za bardzo się tym wówczas nie interesowałam, ale znalazłam trochę informacji, gdy starałam się o emeryturę dla mamy. Oczywiście rodzice mi różne historie opowiadali, ale dopiero później zaczęłam sama szukać. Wiem, że ojciec pracował na południu Francji w hucie, a przed wojną zrobił w Polsce maturę. Kiedy szukałam dokumentów mamy w Potoku Górnym, miałam dostęp do księgi z lat 40, bo Niemcy są bardzo skrupulatni, więc znalazłam nawet wpisy o ślubie babci, prababci, akty zgonu. Niestety nie miałam jeszcze telefonu komórkowego, żeby zrobić zdjęcia. Ale na pewno można to ponownie odszukać. W każdym razie rodzice się gdzieś w Potoku poznali, wzięli ślub. No i jesteśmy.

Ale urodziła się Pani w Jedlinkach?

Tak. Maryla i Janka też. Pamiętam, że kiedyś miałam duży guz, wielkości gęsiego jaja i utraciłam zdolność mowy. Mama zawiozła mnie do szpitala do Tarnobrogu. Lekarze powiedzieli, że nie wiedzą, czy będę mogła jeszcze mówić. To były lata 50. Na początku 55 roku ojciec przyjechał do Choczewa, żeby się zorientować, czy będzie miał pracę. Bardzo szybko wrócił i zaczęliśmy się przygotowywać do wyprowadzki. Do Choczewa jechaliśmy wagonem bydłowym. Z jednej strony stała krowa, było siano, a my na nim spaliliśmy. Stała też balia. Jak nas odłączali od pociągu na stacjach węzłowych, to mama nabierała do niej wody, żeby napić krowę. Była chyba też owca, nie wiem czy kury, nie pamiętam. Przyjechaliśmy tu w maju. Jeszcze nie miałam pięciu lat, dopiero w sierpniu kończyłam. Na początku mieszkaliśmy tam, gdzie teraz państwo Zabłotni, obok państwa Dymowiczów. Później przeprowadziliśmy się do starego budynku Urzędu Gminy. Z tyłu za remizą strażacką były ruiny domu poniemieckiego, rodzice je kupili i wyremontowali. Obok stała stodoła i mała obórka. Z podwórka wchodziło się prosto do kuchni, nie było korytarza. A żeby przejść do obory, trzeba było z kuchni wyjść na podwórko. Z drugiej strony wchodziło się do stodoły, a dalej do stajni. To miejsce, gdzie teraz Janka trzyma opał, ojciec z mamą dobudowali później. Najpierw w domu były tylko dwa pokoje i kuchnia.

Czy Pani rodzice mieli gospodarstwo?

Rodzice byli małorolni. Kupili dwa hektary ornej ziemi i hektar łąki. Mama pracowała w kolchozie, sprzątała oraz paliła w piecach w Urzędzie Gminy, gdzie na stanowisku urzędniczym był zatrudniony ojciec. Mama opowiadała, że tu, gdzie są dziś bloki

rolnicze, stały stodoły kolchozu, a w miejscu bloków wojskowych, były pola uprawne. Stacja paliw znajdowała się tam, gdzie dziś. Domki za torami zostały postawione w większości dopiero w 50 latach. Wcześniej stały tylko cztery. Gmina je zbudowała, bo przyjmowała repatriantów spod Kaukazu. Mieszkali tam na pewno Sokołowski i Galikowski, przywiezieni z Rosji w latach 50. Kościoła nie było, tylko kaplica. Ornaty haftowały dla księdza Teresa Sokołowska i ciotka Hanka.

Pani ciocia też tu mieszkała?

Tak, ale nie od początku. Kiedy się wyprowadzaliśmy z Jedlinek, ciotka Hanka została, bo szła kożuchy. W 56 roku przyjechała jednak do Choczewa i z nami zamieszkała. Ale wróćmy do tych stodoł. Kolchoz podzielił ziemię za GS-em. Pasło się tam krowy. Każdy otrzymał część działki pracowniczej. Ja w tym czasie miałam około sześciu lat. Jakiś czas później poszłam do pierwszej klasy. Byłam najgrzeczniejsza w domu (*śmiech*) – nikt nie wiedział w Choczewie, gdzie diabeł młode ma, ale ja wiedziałam. O! Przypomniałam sobie, że w czwartym domku za torami mieszkał Maczan, który miał łąkę obok naszej, przy rowie melioracyjnym. Bo to nie jest rzeka! To komuniści wymyślili! Żeby wpisać naszą gminę do rejestru kurortów. Mieliśmy morze, jezioro, ale rzeki nie, więc zrobili z rowu melioracyjnego rzekę Choczewkę. Ten rów nie ma źródła. Struga biegnie od strony Słajkowa (wieś w Gminie Choczewo – A.Ł.) i przechodzi pod drogą, gdzie Derylakowie i Arendtowie mieli łąkę. Ja niedaleko zbierałam grzyby i pieczarki. Rosło ich tam sporo, ponieważ miały naturalny nawóz. Z odchodów końskich, bo konie mieli: Murawski, Adamczewski, Kleina, Pobłocki, Mielewczyk i Sokołowski.

p. Michał: Ale to były inne konie. Po tych, które teraz się tu pasą, nie ma grzybów.

Przestań. Ty się nie wcinaj na razie. Ja mówię o latach 50 i 60. Więc byłam najgrzeczniejszym dzieckiem. Miałam około siedmiu lat, Jaśka osiem, Maryla pięć, nie chodziła jeszcze do szkoły. Jurek był najmłodszy. Ja – przywódca. Chcemy iść nad jezioro. Mama nie pozwala, więc cała czwórka słucha. Nie idziemy. Ale stały ocynkowane balie,

a u Pacowej na podwórku studnia. To znaczy wcześniej tylko pompa. Pac, Pobłocki, ojciec i jeszcze ktoś wyjęli tę pompę, rozmontowali i powstała studnia. Ja naniósłam stamtąd wody do balii i cały dzień w niej przesiedziałam. Wieczorem miałam zapalenie płuc i pojechałam do szpitala, gdzie przeleżałam prawie całe wakacje. Wróciłam dopiero pod koniec sierpnia i poszłam do szkoły.



Zdjęcie 51 Zdjęcie ze szkoły w Choczewie

Dokąd chodziła Pani do szkoły?

Do pierwszej klasy poszłam do Choczewa. Szkoła była w miejscu, gdzie w tej chwili znajduje się przedszkole. Pan Łapaj był kierownikiem. Pochodziłam ze trzy tygodnie i zachorowałam na żółtaczkę, wyglądałam jak bardzo dojrzała cytryna. Myślę, że mogli mi ją wszczepić podczas poprzedniego pobytu w szpitalu. Nasz dom zdezynfekowano, a wszystkim, z którymi miałam styczność wszczepiono gammaglobulinę. Maryla do podstawówki chodziła już w pałacu (obecnie Gminny Ośrodek Kultury i Biblioteka – A.Ł.), w którym wcześniej mieściła się szkoła rolnicza. Mama karmiła tam świnię, a ciotka Hanka pracowała w stołówce. Obok stały stajnie, po których już nie ma śladu, i staw, dziś zasypany. Nie wiem kto, wpadł na taki wspianiały pomysł. Na miejscu aktualnej szkoły był ogród i sad. Każda klasa miała swoją część ziemi i w ramach zajęć z biologii zajmowała się roślinami. Stołówka szkolna korzystała z tych upraw. Gotowano zupy dla dzieci ze Słajkowa i Łętowa. Tak w ogóle, to ja w pierwszej klasie nie zdałam, bo zachorowałam na obustronne zapalenie płuc. Długo leżałam w szpitalu zakaźnym w Lęborku, a kolejne pół roku nie mogłam chodzić do szkoły. Kiedyś nie było indywidualnego nauczania, więc miałam zaległości. Ja i Janka skończyłyśmy siedem klas. Rocznik Maryli (1952) był brany pod młotek. Jeżeli uczniowie mieli dobre oceny, mogli pójść do liceum po siódmej klasie, ale ci z ocenami dostatecznymi musieli zostać i ukończyć dodatkowo ósmą klasę. Maryla dobrze się uczyła, więc dostała się do liceum wychowawczyń przedszkoli. Ja uczęszczałam do szkoły pielęgniarskiej w Lęborku. W 68 roku dostałam pracę w Wejherowie z nakazu wydziału zdrowia.

Czy w Choczewie był w tym czasie Ośrodek Zdrowia?

Tak, naprzeciwko dzisiejszej apteki, gdzie dzisiaj stoi blok mieszkalny. W ośrodku pracował doktor Nowakowski. Bardzo przejmował się zdrowiem pacjentów. Dokładnie badał, jak trzeba było, to i pogotowie wezwał. On był lekarzem z prawdziwego zdarzenia. Pomagał zawsze, nawet w nocy. Chyba nie ma tu już takiego doktora. Kaplica też była, ksiądz Bodzenta przyjeżdżał do Choczewa na komarku ze Zwartowa (wieś w Gminie Choczewo – A.Ł.). Tam też przyjąłem Pierwszą Komunię. A Janka w Osiekach (wieś w Gminie Choczewo – A.Ł.), gdzie kościołem zajmował się ksiądz z Wierzchucina. Uczyli też religii, ale krótko, bo Gomułka z Cyrankiewiczem znieśli ten przedmiot ze szkół.

Po zlikwidowaniu kołchozu, Pani mama zajmowała się tylko gospodarstwem?

Pracowała też w mleczarni, którą kierował Zajpelt i w piekarni. W 61 roku zaczęła prawą nogą o deskę wystającą z wózka do chleba. Po jakimś czasie otworzył się żylak i zaczęły się operacje. Więcej przebywała w szpitalu niż w domu, z powodu obfitych krwotoków. Często była usypiana i przez to pojawiły się również problemy z sercem. Gdy nie dostała renty, stwierdzono, że z otwartymi żylakami nie może pracować w piekarni. Została skierowana do pracy w rzeźni. Z deszczu pod rynnę. Tam musiała chodzić w gumowcach. Ojciec pojechał więc do lubelskiego, kupił filcowe walonki, które mama wkładała do kaloszy, żeby nie mieć mokrych nóg. Po jakimś czasie udało się załatwić tę rentę.

A tata?

Na początku pracował w urzędzie. Później przeszedł do Gminnej Spółdzielni na stanowisko kadrowego. Po ukończeniu 65 lat zdecydował się na emeryturę.

Gdzie mieściła się Gminna Spółdzielnia?

Niedaleko szkoły, obok piekarni, którą kierował Solecki, a później Olszewski. Dalej była rozlewnia i pralnia dla piekarni, gdzie pracowała pani Hincowa. Poczta? Znajdowała się w tym samym miejscu, co dziś. Kierownikiem był pan Duliński. Mieszkanie miał tam, gdzie obecnie jest szkoła jazdy, naprzeciwko stacji kolejowej, którą zawiadował pan Malinowski. Naczelnikiem gminy był Niedzielin. Po nim urząd sprawował Wiśniewski. Z komendantów policji pamiętam tylko Bronka. Moją wychowawczynią była Marysia Skiba, a matematyki uczyła mnie pani Czerwionka. Języka polskiego natomiast Zakrzewska, która obniżała mi oceny. Stwierdziłam więc, że nie będę się uczyć tego przedmiotu. Bo skoro dostawałam z wypracowania 4, a ona wpisywała do dziennika 3-, to po co się uczyć?

Jak pamięta Pani ulicę osadników?

Od strony stacji kolejowej mieszkali Malinowscy i Kowalscy, a obok, tak jak dzisiaj, stały dwa bloki. Naprzeciwko był Urząd Gminy. Z tyłu nasz dom, a dalej Paców, Pobłockich, Murawskich, Hejdów i Wawrzaków. Nad restauracją mieszkał Gliszczynski. Następnie Hirthowie, Dymowiczowie i Zabłotni, a w miejscu dzisiejszego sklepu „Magis” Witkowski – stróż w budynku Gminnej Spółdzielni. U góry Hincowa i Grzesiakowie. Dalej Krzeszow-

cowie, Arendtowie, Romanikowie, Steinke, Gryzińska, Nowakowski. Tu, gdzie aktualnie jest ośrodek zdrowia, znajdowała się porodówka. Obok gabinet weterynaryjny, potem kaplica, dom Maschków i Kalbarczyków. Tak wyglądała jedna strona tej ulicy. Po drugiej stronie były grunty orne i łąki. Na dole mieszkali Notkowie, był budynek nadleśnictwa oraz przedszkole w miejscu domu Miącza. Następnie Pipkowie, Stańczakowie, Kleina, Adamczewscy, Wendrowscy. Tam, gdzie dziś Szmyd mieszkali Bąkowie. On był dróżnikiem. Dalej Kapustowie, Lorkowie, Bobkowscy. Nad dzisiejszym przedszkolem mieszkali Łapajowie i kierowniczką przedszkola. Kolejno stały domy: Wochów, Stawskich i Olekszyków oraz posterunek policji. Następnie pamiętam: Krzeptowskich, Koźnicę, Domarusów, Pletoraków, Baranów, Styrców, Hamerłów, Milewczaków, Dulińskich. A w domkach za torami mieszkali Sokołowscy, Galikowscy i Maczanowie.

p. Michał: Tyle opowiadałaś, to będzie taaaka książka (pan Michał wykonuje gest mający oznaczać bardzo grubą książkę).

*Rozmowę przeprowadzili i zredagowali
Aleksandra i Krzysztof Łasińscy.*

„Jak przyjechałam do Choczewa, było tu wspaniale”

W domu Pani Teresy Rzeppy widać zamięłowanie do porządku. Wszystko jest na swoim miejscu. Zupełnie jak w gabinecie stomatologicznym, który był miejscem jej pracy przez wiele lat. Mimo to jest przytulnie. Z kuchni dobiega zapach parzonej kawy i szarlotki. Na moje obawy dotyczące zawartości cukru w cieście, Pani Teresa odpowiada: „Jabłka są z ogrodu od Asi, bez cukru, a spód słodziłam jedynie miodem”. Decyduję się więc skosztować. Już pierwszy kęs przywołuje dzieciństwo, ulegamy wspomnieniom. Pani Teresa opowiada nam o swoim życiu.

Pochodzę z Mazowsza, a dokładnie z Grodziska Mazowieckiego, które leży niecałe 30 kilometrów od Warszawy na trasie Warszawa-Łódź. Mój tata był kolejarzem. Mama nie pracowała. Ojciec taty miał przed wojną młyn, a moja mama pochodziła ze wsi Radziwiłów. Mieszkaliśmy w Grodzisku. Skończyłam tam liceum. Nie dostałam się na studia w Warszawie, więc znalazłam się w Gdańsku, gdzie miałam rodzinę. Uczęszczałam do szkoły laborantów medycznych na kierunku *fizykoterapia, masaże, rehabilitacja*. Później pracowałam w Akademii Medycznej na oddziale stomatologii. Nie bardzo było to związane z moją nauką w szkole laborantów, bo nie kończyłam RTG, ale robiłam zębówki, czyli zdjęcia zębów. Właściwie chciałam iść na medycynę, nie na stomatologię, lecz gdy już pracowałam i poznałam profesora, pomyślałam, że łatwiej będzie dostać się na stomatologię. I rzeczywiście. Zdałam egzamin i zostałam przyjęta. Studiowałam dwa lata i chciałam się przenieść na medycynę, bo przez dwa lata nie było różnicy w zajęciach na medycynie ogólnej i stomatologii. Ale pan profesor powiedział: „nie po to przyjmowałam cię na stomatologię, żeby teraz stracić”. Zostałam. Dwa lata miałam stypendium państwowe, bo pochodziłam

z rodziny robotniczej. Po dwóch latach zaczęły wchodzić tak zwane stypendia fundowane. Były wydziały zdrowia i one składały do uczelni zapotrzebowanie na przyszłych lekarzy, stomatologów, farmaceutów i fundowały stypendia. Ponieważ było stypendium z wydziału zdrowia z Lęborka, zgłosiłam się.

I otrzymałam takie stypendium przez trzy lata. Po zakończeniu studiów musiałam przyjść do pracy do Wydziału Zdrowia w Lęborku. Okazało się, że będzie wolne miejsce w Choczewie (Choczewo należało kiedyś do powiatu lęborskiego), bo ówczesny lekarz stomatolog miał jeszcze miesiąc do wypowiedzenia. Najpierw pracowałam więc w przychodni powiatowej w Lęborku, a potem w Choczewie, od 1 września 1966 roku.

Kiedy Pani się urodziła?

12 października 1937 roku. Tata był wdowcem, więc mam przyrodnią siostrę i brata, młodszego ode mnie siedem lat. Okres okupacji spędziliśmy w domu rodzinnym. Naturalnie, pamiętam patrole niemieckie na ulicach i rozstrzeliwanych na rynku w Grodzisku. Byłam mała, ale pewne rzeczy zapa-

miętałam. Także powstanie warszawskie, ponieważ Grodzisko leży blisko stolicy. Ktoś przybiegł do domu i powiedział, że wybuchło powstanie w Warszawie. Tata mnie wziął na rękę i wyszliśmy na podwórko. Zobaczyliśmy taką łunę, jakby paliło się na sąsiedniej ulicy. Później, pamiętam jak uciekali ludzie od wschodniej granicy i chowali się po domach, spali na podłodze. U nas także było dużo uciekinierów. Mieliliśmy dom i duży ogród, którym do tej pory zajmuje się brat. Wszyscy siedzieli cicho i w pewnym momencie ktoś załomotał do drzwi. Rosyjski żołnierz. Odetchnęliśmy z ulgą. Okazało się, że to już koniec wojny. Tyle pamiętam z tego czasu. I okop na ulicy. Jeszcze jak zaczynałam szkołę, to nie był cały zasypany i do pierwszej klasy szłam po skarpie.

Czy Pani tata jako kolejarz był w czasie wojny prześladowany?

Nie. Nie miał eksponowanego stanowiska. Był zwykłym kolejarzem drogowym. Brał udział w I wojnie światowej, ale podczas drugiej cały czas pracował na kolei. W I wojnie był w piechocie. W tym czasie we wsi, z której pochodzi moja mama, dokładnie obok jej domu, przechodził front. Więcej o I wojnie nic nie wiem. Tata zmarł jak miał 67 lat i bardzo żałuję, ale nigdy go o to nie pytałam. Raczej mama opowiadała o swojej licznej rodzinie. Tata miał siostrę i dwóch przyrodnych braci. Bracia mieszkali w Piastowie, to jest na trasie Warszawa-Grodzisko i bardzo często nas odwiedzali. Byli żywi. Siostra taty też mieszkała blisko i miała aż ośmioro dzieci. Mój brat się ożenił, ma dwie córki, które też są już mężatkami, a ich dzieci studiuje. Przyrodnia siostra ma 88 lat i mieszka w Grodzisku. Jest wdową i ma dwie córki.

Jej syn, z Zespołem Downa, z którym często przyjeżdżała do mnie, już zmarł. Długo żył, miał 55 lat.

Spędziła tu Pani całe zawodowe życie?

Tak. I proszę sobie wyobrazić, że cztery razy się w Choczewie przeprowadzałam. Jak przyjechałam do pracy, to mieszkałam w dawnej izbie porodowej, to jest teraz cały dół starego budynku Ośrodka Zdrowia. Miałam dwa ogromne pokoje, dużą kuchnię, przedpokój, łazienkę. Potem przychodnia powiatowa postanowiła zrobić remont. Ten budynek wyglądał kiedyś zupełnie inaczej, był z czerwonej cegły i ze spadzistym dachem. Jak zarządzono remont, ja przeszłam na strych. Miałam kuchnię w szczytce i duży pokój. Przez cały strych musiałam iść do pokoju, tak ogromne było mieszkanie. Ale zdecydowali, że ten budynek też przebudują. Mnie przeniesiono więc do tak zwanej Agromówki, naprzeciwko bloków wojskowych. Tam pan Duda mieszkał u góry, a ja w pokoju biurowym. Po roku były gotowe mieszkania nad Ośrodkiem Zdrowia dla lekarza i stomatologa. Jeszcze sama kładłam gumolit w przedpokoju, bo powoli wykańczali, a już chciałam się przenieść, miałam przecież dwoje dzieci. Mieszkaliśmy tam dość długo. Ale okazało się, że trzeba zrobić przychodnię dla dzieci zdrowych, do szczepień, z oddzielnym wejściem, aby nie czekały tam, gdzie chorzy. Zdecydowano, że moje mieszkanie będzie tym gabinetem. Może jeszcze ciastko? Proszę bardzo, naprawdę jest bez cukru. Z miodem, a jabłek nie słodzę. Antonówki od mojej Asi. No więc dostałam to mieszkanie, w którym teraz mieszkam. Na początku było ono gminne, później gmina je oddała. Po jakimś czasie znowu budynek wrócił do gminy, która sprzedawała lokale. I ja kupiłam.

Pamięta Pani swojego poprzednika/poprzedniczkę?

Jak zaczęłam pracować, odchodziła pani Kadzińska i nie poznałam jej za dobrze. Lekarzem był doktor Nowakowski. Po dwóch czy trzech latach od mojego przyjazdu zaczęła się bardzo duża rotacja lekarzy. Moją pomocą była pani Sadowska, a pielęgniarzem pan Orzechowski. Gdy odszedł Nowakowski nie było lekarza, tylko felczer, ale nie przypominam sobie jego nazwiska. Wtedy przyjechał lekarz ze Śląska – Kowrygo, młody, z żoną i dzieckiem. Mieszkali obok mnie nad Ośrodkiem przez kilka lat, ale wrócili na Śląsk. Jakiś czas temu przyjechał tu ich syn. Następnie pracowali tu Antczakowie, też dosyć długo zostali, bardzo miło ich wspominam. Kowrygów zresztą także. Po Antczakach byli Kozłowski, on należał do Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego. Nigdy w sobotę nie pracował, ale w niedzielę tak. Przyjechał z żoną i z chłopcem. Był taki przypadek, że w Choczewku dwoje dzieci się zaczadziło. Zostali z dziadkami i doszło do tragedii. Wezwano właśnie Kozłowską, ale ona od razu nie pojechała, bo też nie miała z kim synka zostawić. Spotkało ją dużo nieprzyjemności z tego powodu, a dzieci niestety zmarły. Później wyjechali za granicę, do Niemiec, chociaż był to okres, kiedy zabraniano wyjazdów, lata 83/84. Najpierw on pojechał, później ściągnął żonę i dziecko. Odwiedził nas kiedyś. Chyba dwa lata temu. Po Kozłowskim była dwójka lekarzy narkomanów, ale nie małżeństwo. Przyjaźnili się z Wójcikiem ze Zwartowa, który brał leki z domieszką narkotyków. Jej rodzice zabrali nawet dziecko. Było sporo skarg na nich, więc dosyć szybko odeszli. Wtedy lekarze dojeżdżali, najpierw z Gdyni, pani doktor, już emerytka, później ciągle ktoś przyjeżdżał z Wejherowa, stałego lekarza nie było.

A pani doktor Pałysińska kiedy zaczęła pracę?

Właśnie wtedy. Córka jej kuzynki była stomatologiem, a mąż pracował przy elektrowni wodnej w Żarnowcu, niedaleko Choczewa. Był inżynierem i mieszkał w Czymanowie. One przyjeżdżały go odwiedzać i bardzo im się spodobało Choczewo. Jak Pałysińska się dowiedziała, że jest ciągle wakat na stanowisku lekarza, zatrudniła się. Był to 85 rok. Pamiętam dlatego, że złożyłam podanie o samochód do Wydziału Zdrowia. Wcześniej dawali tylko lekarzom, stomatologom nie. Doktor Pałysińska przyjechała w listopadzie, było zimno i dosyć wietrznie. Klucz od Ośrodka miałam ja, więc zapukała o czwartej rano, a że miała gruby głos jak mężczyzna, myślałam, że to jakiś pacjent, mówię, że proszę przyjść rano. A ona, że przyszła po klucz. Dowiedziała się, że można składać wnioski o samochód i dostała, a ja nie. Zdenerwowałam się, bo tyle lat pracowałam i mi nie przyznali, a ona już i tak miała samochód, malucha. Chciała go sprzedać na giełdzie. Ja już byłam na kupno samochodu przygotowana, zrobiłam kurs, więc kupiłam od niej ten samochód.

Jeszcze przez jakiś czas pracowali tu państwo Aftańscy.

Ach, tak! Zapomniałam po prostu o nich. Byli przed Pałysińską. Ale jeszcze pracowali, jak ona przyjechała, wyjechali dopiero przed 94 rokiem. Mieszkali w domku nadleśnictwa. Przyjaźnili się z Dziegielewskimi, którym gmina wynajmowała ten dom pana Maja. Później kupili to ich obecne mieszkanie. Aftańscy przyjeżdżali ich odwiedzać.

Pani przez ten długi czas była jedyną stomatolożką?

Tak, przez 36 lat. Jeszcze na emeryturze dwa lata pracowałam. Praca była tragiczna, bo bardzo dużo pacjentów, długie kolejki. Zawsze mówiłam, że takie tempo pracy nie jest dobre. Człowiek strasznie źle się czuje, gdy wie, że za drzwiami tyle ludzi czeka na pomoc. Z jednej strony dobrze mieszkać blisko pracy, z drugiej niedziela, noc, popołudnie, sobota, ciągle ktoś pukał i potrzebował pomocy. Nie odmawia się przecież, więc pomagałam. W rezultacie pracowałam dwukrotnie więcej niż powinienam. Podczas urlopu, chętnie bym została w domu, pojechała nad morze, bo nie miałam na to czasu, czasami po pracy zabierałam dzieci nad jezioro. Ale wolałam wyjechać, żeby jednak trochę odpocząć.

W ówczesnym budynku szkoły też był gabinet stomatologiczny. Czy Pani tam pracowała?

Nie tylko tam. Miałam także gabinet w szkole w Lubiewie, pan Wójcik był dyrektorem szkoły w tym czasie. Później w Kurowie, bo sprzęt można było przewozić. Brałam z pegeeru ze Zwartowa samochód, załadowali sprzęt i wozili. Jeździłam też do Zwartowa. W szkole w Choczewie właśnie, dwa dni w tygodniu, od rana do 14, a od 14 do 20 pracowałam w Ośrodku Zdrowia. I jeszcze przyjmowałam pacjentów z jednostki wojskowej, przyjeżdżali do mojego gabinetu. Z tymi lekarzami to trzeba było uporządkować, bo taka rotacja, że już się gubię w latach.

Ze służbą zdrowia kojarzy się nam pan Mikuć. Ale na pewno nie był lekarzem.

To są jego obrazy olejne (*Pani Teresa wskazuje na obrazy ozdabiające ściany jej salonu.*), mam

jeszcze akwarele. Kazimierz Mikuć był inspektorem sanepidu. Studiował na Akademii Sztuk Pięknych w Wilnie i pięknie malował. Poszedł do wojska. Przez 12 lat po wojnie był w Anglii. Wrócił do siostry, do Lęborka i zaczął pracę jako inspektor sanepidu. Jest taka aktorka, Hanna Mikuć, to jego bratanica. Pan Kazimierz był bardzo sympatyczny. Mieszkał na dole, w porodówce. Jak zaczęłam pracować w Ośrodku, to byliśmy sąsiadami. Ja na początku nie miałam mebli, bo przeprowadziliśmy się z Gdyni od teściowej, z bardzo małego mieszkania. Przywieźliśmy tylko szafę i tapczan. Pan Mikuć poznał nas z Jurkiem Tatarczukiem, a on z kolei udzielił nam kredytu i zakupiliśmy wszystkie potrzebne meble. Przez tę sytuację zaprzyjaźniłam się z nimi i trwa to do tej pory, już 52 lata. Niestety Jurek zmarł. Celina mieszka w Wejherowie i zajęła się malowaniem. Właśnie te maki mi namalowała. (*Pani Teresa wskazuje obraz na ścianie.*) Ma nawet swoją stronę w internecie. Odwiedzamy się. Ala, ich córka, była w klasie z moją Asią. Gdy się tu przeprowadziliśmy, Asia miała 2,5 roku i od razu poszła do przedszkola.

Gdzie było przedszkole?

Tam, gdzie teraz. One się zaprzyjaźniły, chodziły do jednej klasy, później do liceum. Niedawno miały spotkanie w Pucku, ich klasa, 35 lat.

Wie Pani co przed wojną było w budynku Ośrodka Zdrowia?

Słyszałam, że izba porodowa znajdowała się w miejscu, gdzie mieszkają dzisiaj Liszniańscy, a sam Ośrodek, tam, gdzie Klateccy. Obecny Ośrodek Zdrowia był domem mieszkalnym. Miał zupełnie inny kształt, to był budynek parterowy



Zdjęcie 52 Pracownicy Ośrodka Zdrowia w Choczewie, 1992 rok, Teresa Rzeppa trzecia od lewej

ze spadzistym dachem. Wyglądał tak, jak dom Nowaków. Zmiany w Choczewie są ogromne. Wcześniej stały niskie domy, z czerwonej cegły. Przed Ośrodkiem rosła wielka grusza, a wejście było od ulicy. Chodniki były marne. Jak się życie toczy, to nikt tego nie zapisuje, a teraz trudno te wspomnienia umiejscowić w czasie. Przeżyłam tu tyle lekarzy, pielęgniarek, położnych... Pani Bazylakowa, Pani Rynkowska... pielęgniarka, miała dwóch chłopców. Daniel się przyjaźnił z moim synem Kubą, ale miał płasawicę i zmarł. A starszy Tomek się wyprowadził. Pani Rynkowska też wcześniej zmarła.

Jeszcze jak tu pracowała, kupiła mieszkanie w Toruniu. Tomek się właśnie tam wyprowadził. Daniel był stolarzem, ożenił się z dziewczyną z Łętowa, ale przez chorobę musiał przestać pracować i nie mógł też jeździć samochodem.

A Pani dzieci?

Kuba się wyprowadził, mieszka w Pruszczu. Niechętnie utrzymuje kontakt ze mną i z Asią. Nie założył rodziny.

Z kim się Pani przyjaźniła?

Cały czas z Bernaciakami. Z taką położną, która mieszkała tam, gdzie państwo Lorkowie. Z Lorkami też, z Karpińskimi. Z panią Janką Labudą, bo pracowałam z nią. Trochę też z córką Pani Sadowskiej. Pani Sadowska miała czworo dzieci: Heńka, który skończył historię i był nauczycielem w szkole średniej, Waldka, który ożenił się z dziewczyną z Przebendowa i później mieszkali w Lęborku, Hankę w Gdyni i Krysię, która tu została i zaczęła pracować ze mną, jako pomoc. Poznała w Zwartowie strażnika z półotwartego Ośrodka dla Więźniów. Osadzeni pracowali w polu, mieli własne gospodarstwo. Przyjeżdżali też do mnie leczyć zęby. Krysia wyszła za mąż za tego strażnika, on pochodził z Niemiec, to taka wieś pod Lublinem. Po ślubie tam wyjechali, rodzice dali im kawałek ziemi, postawili dom, mają dwoje dzieci. Krysia mnie kiedyś odwiedziła z córeczką. I proszę sobie wyobrazić, że dwa lata temu jestem z wnucami nad morzem. Wsiadam z samochodu, a ktoś do mnie podchodzi i mówi: „dzień dobry”. To był właśnie mąż Krysi, nie rozpoznałam go od razu, a on mnie tak. Okazało się, że przyjechali do pani Podsiadłej i jej męża Mariana. Ona była niesamowita. Wszystkich w kolejkach ustawiała, Mariana i dzieci też. Mieszkała na dole, a drzwi do mieszkania zostawiała zawsze otwarte, więc korytarz był przedłużeniem jej mieszkania.

Pamięta Pani jak wyglądał dom na ulicy Pierwszych Osadników, na skarpie? Jest teraz zupełnie przebudowany.

Ach, nie mogę przeboleć tego budynku. To był tak piękny ogród. Skarpa cała porośnięta kwiatami:

żonkile, krokusy, narcyzy, maki czerwone. Cudowna była ta górka. Pełno bzów, drzew owocowych, porzeczek. Pani Stenkowa w nim mieszkała i sprzedali ten dom. Powiedziała mi wtedy, żebym przyszła i wykopała sobie rośliny do ogródka. Wzięłam krokusy, bzy. Kiedy zobaczyłam jak nowy właściciel tę górkę niweluje i wystawia ten okropny budynek, zastanawiałam się kto mu dał zezwolenie na coś takiego. Tak zniszczyć dom. W rezultacie żadnego pożytku z tego budynku nie było. Zrobił dyskotekę. Co tu był za hałas, co się działo, niesamowite. Jak się zwracało uwagę, jeszcze głośniejszą muzykę puszczali. Przecież tu nie ma warunków na taki lokal. Potem wynajął go na sklep. A teraz znowu była dyskoteka, ale tylko na chwilę. Pisaliśmy pismo, aby ją zamknęli. A co teraz tam będzie? Nie wiem. Cała ulica straciła przez to. Mleczarnię też zeszpecili. Mogli zachować tę czerwoną cegłę, już się jej nie odtworzy. I te straszne plastikowe okna. Jak Krzysiek Walczak chciał prowadzić dalej tę mleczarnię, to nie dostał pozwolenia, a budynek stoi pusty. Świeże pieczywo, mleko w bańce przynosili, masło prosto z mleczarni i twaróg. Był sklep ze świeżym nabiałem, pan Lewandowski tam sprzedawał. Pani Notka miała sklep tekstylny. Tam, gdzie przystanek była masarnia i ogród pana Kozłowskiego. Wszystkie wyroby na miejscu. Świeże, żadnych konserwantów, ulepszaczy i utwardzaczy. Jak przyjechałam do Choczewa to było tu wspańiale.

*Rozmowę przeprowadzili i zredagowali
Aleksandra i Krzysztof Łasińscy.*

„Zimno się zrobiło... Zaraz grudzień...”

W mieszkaniu Pani Wandy Rulskiej są dwa psy, kot i sporo książek. Także specjalistycznych, bo pani Wanda jest z zawodu weterynarką. Gdy prosimy o rozmowę, odpowiada:

Nie wiem, czy mam coś ciekawego do powiedzenia. To po pierwsze. Chyba, że macie jakieś pytania? Tylko wypuszczę psy, bo będą przeszkadzać.

Co robiłam przed wojną? Aż tak stara nie jestem, żeby to opowiedzieć. Wiem, że tata jako najmłodszy z dziesięciorga rodzeństwa urodził się na Wołyniu. To była biedota wiejska. Najstarszy brat ojca był księdzem we Lwowie i zaopiekował się moim tatą. Najpierw mieszkał w internacie, tak zwanej bursie. Potem stryj zrobił doktorat z teologii i przenieśli się do Warszawy. Ojciec konieczne chciał pójść na medycynę, ale brat się nie zgodził i ostatecznie studiował w Szkole Głównej Handlowej, wtedy jeszcze Wyższej Szkole Handlowej.

W międzyczasie z Syberii przywędrowała rodzina mojej mamy. Babcia była zesłana na katorgę na Syberię, a potem daleko za Bajkał. W 1924 roku wypuścili ich z rozkazu Lenina. I jakoś się w Warszawie spotkali. Ja i mąż urodziliśmy się w Warszawie. Mąż poszedł na studia rok wcześniej niż ja. Poznaliśmy się właściwie w pracy, w Centralnym Instytucie Ochrony Pracy. Postanowiliśmy się pobrać i zacząć pracować w zawodzie. Zaczęliśmy więc od pracy w Trzęsaczu, koło Bygdoszczy.

Który to był rok?

1960. Pracowaliśmy tam niecałe cztery lata, w doświadczalnym majątku Instytutu Weterynarii w Trzę-

saczu. Pięknie położone miejsce, nad zakolem Wisły, wysoko na skarpie. Po jakimś czasie trochę zepsuła się atmosfera i stwierdziliśmy, że lepiej się przenieść. Znajomy, pan Węsierski, który pracował w Trzęsaczu jako dyrektor majątku, przeprowadził się do Ciekocinka (wieś w gminie Choczewo – A.Ł.). My szukaliśmy pracy, mieliśmy już nawet nagrą pod Brodnicą, ale on przyjechał na Wielkanoc do rodziny do Trzęsacza i powiedział, że niedaleko niego zwalnia się lecznica. Przyjechaliśmy zobaczyć i zdecydowaliśmy się zostać. Tylko na trzy lata, bo daleko od Warszawy. I zrobiły się pięćdziesiąt cztery⁶. Jak przyjechaliśmy, nie było naszego poprzednika, zastępowali go koledzy z Lęborka. Mieszkaliśmy najpierw tam, gdzie w tej chwili państwo Urbowscy, na górze, a na dole było biuro. Mieliśmy jeden pokój. Nasz obecny dom zajmowała jeszcze rodzina poprzednika. Jest to stary budynek. Podobno zbudowano go w pierwszym dziesięcioleciu ubiegłego wieku, więc ma ponad sto lat. Ja się przyzwyczajam do miejsca. Na początku uzupełniałam staż, częściowo w Lęborku, trochę w rzeźni w Gdyni. Jako lekarze weterynarii byliśmy tutaj tylko we dwoje. Dopiero potem przyszedł pan Damiański. Pracował tu także technik pan Laskowski i sanitariusz pan Bednarz. Po śmierci Laskowskiego, dołączył do nas pan Mieczysław Kodź, a następnie pan Krzysztof

⁶ Wywiad przeprowadzono w listopadzie 2018 roku.

Jarzemkowski. Miejsce doktora Damiańskiego zajął z kolei młody lekarz – pan Tadeusz Mosek. W gminie Choczewo mieliśmy dość dużo pracy. Jeszcze jak istniały pegeery, był czas, że w gminie hodowano więcej bydła niż obecnie w całym powiecie. W sumie czternaście majątków. Kopalino to była na przykład strasznie biedna wieś ze względu na słabą ziemię. Odkuli się troszkę, gdy zaczęli działać turystycznie. Czytałam ostatnio książki pani Elsner, która pisze o Choczewie przed 45 rokiem. Tam są też zdjęcia, niestety nie najlepsze, budynków ponemieckich, które jeszcze pamiętam. Spotkałam się też z wieloma nazwiskami niemieckimi, czasami spolszczonymi. Dużo było osadników, Kaszubów jako rdzennej ludności bardzo mało. Całe wsie bywały osadnicze. Na przykład Wojciechowo – miejsce jak z filmu „Sami swoi”. Najróżniejsi ludzie. Był pan, który się kłócił ze wszystkimi i o wszystko, że jakiś pies wlaźł na podwórze, że mu dzieci jabłka zabrały. Paradoksalnie sympatyczny, ale ze wszystkimi sąsiadami miał zatargi. Było też kilku gospodarzy zamożnych, na przykład pan Kowaluk. Bardzo dawne dzieje. Miał gospodarstwo, piękne konie. Nie wiem jak tam teraz wygląda, bo Wojciechowo nie należy od dawna do naszej gminy. Dość zamożne było także Borkowo. Mieli szczególnie ładne konie. W dworku w Borkówku, który jest aktualnie remontowany mieszkały dwie rodziny: pan Konstanty Siejko i pan Brzózka, który przeprowadził się później do Sasina. Ten dworek zawsze mi się podobał, chociaż był zniszczony. Ładne, duże stajnie, których używano jako obory. Pamiętam, kilku młodych chłopców z Borkowa, zmuszonych objąć gospodarstwo po ojcu. Było mi ich żal, bo trudno im było udźwignąć ten ciężar, a dodatkowo nie mieli żadnej młodości, tylko od razu musieli zabrać się do gospodarki. W Borkowie w pałacu mieszkał pan Stanicki, ko-

chał konie. Jeszcze pan Dziobak z Lubiatowa miał dużo inwentarza. W Choczewie kojarzę gospodarstwo państwa Hejdów. Po drugiej stronie stał dom pana Wujca, tam, gdzie teraz jest sklep „Melan”. Pamiętam też ówczesnego księdza – Ptaka, mieszkał u pani Steinkowej. Zadbany dom, skarpa porośnięta mnóstwem kwiatów, róże, maki ogrodowe, krokusy na wiosnę. Jej mąż był stolarzem. Mieli dwóch synów i córkę oraz stolarnię z imponującym wyposażeniem. Aż żal, że żaden stolarz tego nie kupił. Tak samo żal mleczarni. Szkoda, że nie przejął jej pan Walczak, bo teraz nic się tam nie dzieje. Słyszałam, że planowano przekształcić to miejsce w pensjonat dla Niemców. Ale musiałby być naprawdę luksusowy. Poza tym duży hotel w Choczewie nie jest potrzebny. Latem ludzie wynajmują pokoje, a w ciągu roku nikt nie zechce tu mieszkać. Pierwszy sklep jaki zapamiętałam w Choczewie to z pieczywem i nabiałem, który mieścił się tam, gdzie teraz jest lokalny punkt informacyjny „Świadomie o atomie”. Sprzedawała w nim pani Irena Romanik, chyba jakiś czas z siostrą, później pani Danka Lewandowska i krótko pani Stanisława Walczak. Obok w sklepie spożywczym pani Krzechki z córką i żoną. Następnie był sklep odzieżowy, świetnie zaopatrzony zresztą, w którym pracowała pani Notka. Później wybudowano podwójny pawilon, były więc dwa sklepy spożywcze obok siebie. Pracowały tam: pani Helena Domarosowa, pani Irena Nowakowa, pani Derylakowa i pani Stasia Walczak. Obok restauracji „Pod Kasztanem” mieścił się sklep pani Krysi Joachimiak, w którym można było dostać prawie wszystko. I mydło, i powidło. Koło policji chyba pan Grabowski miał sklep, trochę żelastwa, pralki, motocykle. A pamięta pan (*Pani Wanda zwraca się do taty.*) takiego jednego chłopaka co przywiózł na rowerze psa, którego w łapkę ugryzła żmija?

K.Ł.: Pamiętam. To byłem ja. Byłem wtedy z psem w lesie na grzybach, dość daleko od domu i widziałem tę żmiję. On jej nie zauważył, wszedł na nią, a ona go ukąsiła. Wziąłem go na ręce i przyjechaliśmy do Pani. Pamiętam, że Pani poszła po surowicę. Ten pies jeszcze długo żył. Tylko reagował na zmiany pogody. Wtedy chodził na trzech łapach.

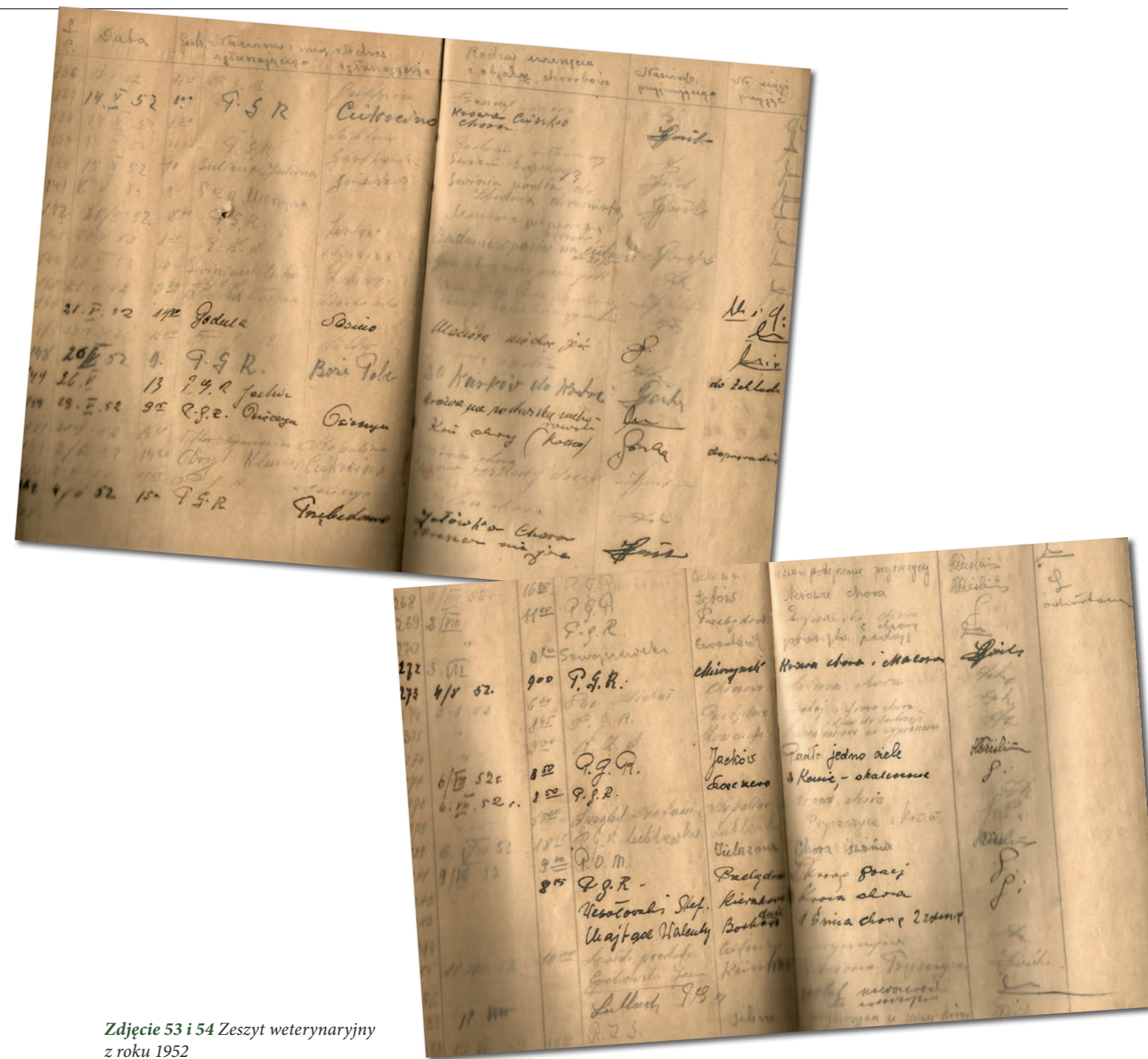
A.Ł.: Opowiadałeś mi o tym.

Pani doktor Salomea Antczakowa pożyczyła mi tę surowicę, która była na wyposażeniu Ośrodka. Na drugi dzień pan pojechał do Lęborka z receptą i przywiózł z apteki. Chyba dwa lata temu też żmija kogoś ugryzła i poszukiwana była surowica, bo ośrodki już nie mają na wyposażeniu. Ktoś mi opowiadał, że jakiś turysta poszedł z dzieckiem na spacer nad jezioro i żmija wylazła. Chłopak się wystraszył, a ojciec nie poznał, że to żmija, wziął do ręki i ukąsiła go ze dwa razy. Całe szczęście, że ktoś z miejscowych akurat przechodził czy przejeżdżał i powiedział, że trzeba szybko jechać do lekarza. Ale tutaj nie było surowicy, więc dowieziono go już nieprzytomnego do Lęborka. Mam nadzieję, że wyszedł z tego, ludzie nie mają pojęcia o pewnych rzeczach. Pani z Osiek (wieś w gminie Choczewo – A.Ł.) opowiadała, jak poszła na grzyby czy na jagody. Była zmęczona i usiadła, zdrzemnęła się. Obudziła się, bo coś ją dotknęło. Żmija po niej przeszła. Ona się nie ruszyła, ale gdyby spanikowała, mogłoby się to źle skończyć. Pamiętam też jak w czasie studiów na naszym wydziale był koń, ciężki, poczciwy, spokojny. Już miał zostać wypisany do domu. Obsługiwał go stajenny, który pracował przy koniach od lat, starszy pan. Przez dwa tygodnie dawał mu jeść, czyścił go. Ostatniego dnia pochylił się, a koń go złapał za kark,

miażdżąc go. Pogotowie nie zdążyło. Można bardzo kochać zwierzęta, ale zawsze trzeba z nimi uważać. Mnie na przykład konie nie lubią.

Czy pamięta Pani rodziny zajmujące się w Choczewie rolnictwem w tamtym czasie?

Od zawsze państwo Bobkowscy. Właściwie cała ulica Pierwszych Osadników była kiedyś zamieszкана przez rolników, większość z nich to byli osadnicy. Murawscy, Pobłoccy, Krzeptowscy, Krzeszowiec, Arendtowie, Zdzychu Romanik, Hamerla coś miał, Mielewczykowie, Styrcowie, Joachimiakowie. Langer dopiero później się przeprowadził, chyba z Jackowa. Jakąs ziemię mieli Kmiecik i Stencel, Olekszyk jeszcze, Stawski miał chyba jedną czy dwie krowy, Stenka był dobrym gospodarzem, Naczka, Adamczewski, Kapusta, Wendrowski. I Kulpa. Pamiętam oczywiście rodzinę Kalbarczyków. W tamtym czasie prawie wszyscy byli właścicielami zwierząt. Króliki chyba miał pan Piątek. Ktoś hodował tchórzofretki, całkiem niedawno jeszcze. Ja chodzę późno spać. Siadam przy oknie i wtedy maszerują ulicą różne zwierzęta, nie tylko psy i koty. Nikt im nie przeszkadza, prawie nic nie jeździ. Widziałam kunę kilka razy, właśnie tchórzofretkę, a nawet wiewiórkę. Odbiegłam od tematu, a chciałam powiedzieć, że ludzie są tutaj bardzo życzliwi. Po mężu jeszcze dostałam taki spadek życzliwości ludzkiej. Urodziłam się i wychowałam w Warszawie i nie wyobrażam sobie życie bez mojego miasta. Ale przez lata wrosliśmy w choczewskie środowisko i staliśmy się „swoi”. Wiele się tu od ludzi nauczyłam.



Zdjęcie 53 i 54 Zeszyt weterynaryjny z roku 1952

Byliście tu Państwo ważnymi osobami, więc zyskaliście szacunek.

Ja już jestem wiele lat na emeryturze. Ale pamiętam jak się jeździło po wsiach i rozmawiało z ludźmi godzinami przy krowie. Bardzo dużo o ludziach wiedziałam, każdy coś opowiadał.

W Wojciechowie był taki pan, już nie pamiętam dokładnie co się działo z jego krową, chyba zapalenie wymienia, ale nie jestem pewna. W każdym razie mówił mi, że kilka dni temu wrócił ze szpitala, chociaż nie czuje się jeszcze dobrze, ale skoro go wypisali, to pewnie już wróci do zdrowia. Pokazał mi wypis. Miał biedak nowotwór wątroby. Nie zdawał sobie z tego sprawy i był pełen nadziei. Parę tygodni później zmarł. Pochodził zza Buga, jak zresztą prawie wszyscy w Wojciechowie. Nie wiem czy był tam ktoś miejscowy w ogóle. Chyba cała wieś przesiedleńców.

Zna Pani historię tego domu? (mowa o miejscu, w którym rozmawiamy)

To dom budowany wraz z kuźnią przez kowala, w którym przed wojną mieszkała jego niemiecka rodzina. Potem należał do Wojewódzkiego Zakładu Weterynarii. W kuźni pracował przez jakiś czas pan Szataj. Jego syn zginął pod kołami samochodu, podczas jazdy rowerem. Mieliśmy wtedy psa, spaniela, kochany był. Ten chłopak drażnił go ciągle patykami. Pies tak się nauczył, że kokolwiek przechodził koło naszego płotu, dostawał szafa. Pani Szatajowa jeszcze później mieszkała w „domu nauczycielskim”. Konie kuł najlepiej pan Marszewski. Przypomniałam sobie, że na tej uliczce, gdzie mieszkają teraz państwo Wesołowscy, mieszkał wtedy pan Galikowski. Na naszej ulicy

jeszcze państwo Maschkowie i Kalbarczykowie. I na tym koniec. Domów, które stoją dzisiaj, nie było. Mieszkała tam jeszcze pani Klara Maczan. Jej mąż był dróżnikiem. W lesie z kolei mieszkaliście państwo i państwo Zabłotni. Mnie się zawsze to miejsce podobało, ale musiało być tam trudno, głównie ze względu na brak prądu. W Przebendowie na wybudowaniu mieszkał pan, który się często kłócił z sąsiadami, bardzo się szczylił, że jeden z jego synów był w milicji w Gdańsku. Nie był lubiany, bo podglądał ludzi, donosił na nich. Borkowo go nie lubiło i odetchnęli jak się wyprowadził. Jego dom kupił pan, który był myśliwym. Wcześniej mieszkała tam młoda rodzina, ale jak oni się nazywali? W każdym razie on postawił wielki akumulator od ciągnika i mieli prąd, ona nawet w pralce prała. Jedyny raz w życiu, ugryzł mnie pies, właśnie u nich. Hodowali chyba owce, była zima i przy budzie stał pies. Strasznie ujadał, urwał się z łańcucha i biegnie, złapał mnie za nogę. Miałam dosyć ciepłe buty z futrem, więc zostawił tylko w futrze kły. Pani wybiegła z domu i nie mogła się tego psa dowołać, bała się go, bo chyba go dopiero dostali i pies nie do końca wiedział, kto jest jego panem. W Borkowie mieszkał jeszcze Julian Majtac. Tam chyba w każdym domu byli gospodarze. Falkiewicz dość zamożny gospodarz, Maślak, Miadzielec miał bardzo dużo bydła. I Gołębiewski, już nie żyje.

Może Pani opowiedzieć więcej o czasie zanim przyjechała Pani do Choczewa ?

W roku 1953 byłam w Mierzynku na praktyce, ze spół pegeerowski Chynów. Jechałyśmy z koleżanką ciuchcią z Wejherowa do Kostkowa, dokąd przysłali po nas wóz jadący do Chynowa, gdzie spędziłyśmy

pierwszą noc. Był tam bardzo ładny pałac, ale ogromna w nim ilość much, aż trudno sobie wyobrazić. W dodatku takie łązące, bo było ich tak dużo, że nawet nie latały. Spałyśmy tam na szczęście tylko jedną noc, potem przerzucono nas do Mierzynka, gdzie mieszkał lekarz weterynarii, dosyć młody, pewnie była to jego pierwsza praca. Żona skończyła polonistykę, nauczycielka. Siedziała sama i codziennie czekała na niego, a on jeździł bryczką po terenie. Myśmy się z nią troszkę zaprzyjaźniły. Jak wyjeżdżałyśmy, bardzo płakała. Mieszkałyśmy w domku nad Jeziorem Salińskim. Przepięknie, rano wszystkie kolory było widać i różowe, i fioletowe. Pamiętam, że pojechałam kiedyś z lekarzem do Gardkovic, chyba szczepić świnię. Stała tam chlewnia, a obok stołówka! Wtedy jeszcze nie działał tak sanepid. Mało tego, w ścianie dziury i było widać co się w chlewni dzieje. Śmiałyśmy się, że jak się siadało na ławce, świnię w tyłek ryjem trącały. Na praktyce byłyśmy w sierpniu i chciałyśmy koniecznie pojechać do Gdańska, gdzie koleżanka miała rodzinę. Wybrałyśmy się chyba piętnastego sierpnia. Z trudem zdążyłyśmy na ciuchcią do Kostkowa. Natomiast w drodze powrotnej spóźniłyśmy się na ostatnią kolejkę z Wejherowa. Co robić? Koło pierwszej w nocy szedł towarowy pociąg, bo w Kostkowie był jakiś skład drewna. Pojechałyśmy nim, ale przy każdym postoju kazali nam wysiadać, bo przetaczano wagony. Dobrnęłyśmy do Kostkowa, było już po drugiej w nocy, a trzeba było dotrzeć jeszcze do Mierzynka, około trzy, cztery kilometry na skróty przez las. Ktoś nam kiedyś opowiedział, że w lesie stała stodoła, gdzie Niemcy żywcem spalili kilkanaście osób i podobno straszyle, więc bałyśmy się pójść tamtą drogą. Wobec tego szosą. Idziemy, idziemy, już się jasno robi, ludzie wracają z zabaw, a na nas tylko

psy szczekają. W końcu postanowiłyśmy wrócić, bo okazało się, że doszłyśmy już do innej miejscowości. Wróciłyśmy tą drogą na skróty, nad ranem już się nie bałyśmy. Dotarłyśmy do Mierzynka około godziny ósmej. Potem okazało się, że to nie było daleko. Z opowieści znam jeszcze historię pałacu w Gardkovicach. Pani Łatowa z Osiek w wieku około piętnastu lat służyła tam jako pokojówka u barona. Podobno była ostatnią osobą, która widziała żywą jego żonę. Przyniosła jej herbatę, zanim ta się otruła. Oficer francuski ostrzegł, że front rosyjski idzie. Baron z synem schowali się w lesie, a ona i córka się otruły. Mąż, gdy wrócił i odkrył, że żona i córka nie żyją, zastrzelił się. Pani Łatowa była obecna przy pogrzebie baronowej. Podobno pochowali ją ileś kroków od jabłonki na terenie parku. Obecny właściciel chciał koniecznie zidentyfikować grób, ale pani Łatowa nie potrafiła pokazać, gdzie to było, bo minęło wiele lat, jakieś drzewka wyrosły, inne wycięli. Pamiętam, że w tym domu był ogromny zielony piec kaflowy w biurze na dole. W jednym z biur stała piękna, wielka, gdańska szafa, rzeźbiona oczywiście. Księgowym był nieduży garbusek i jak czegoś szukał, to do tej szafy właściwie wchodził. Gdy Stacja Hodowli Roslin urządziła konferencje w Pałacu w Krokowej, zabierano ciekawsze rzeczy, między innymi bardzo piękny zyrandol z Choczewka, żeby urządzić pomieszczenia. Wzięto też tę szafę. Kiedyś, jak już przesłam na emeryturę, przyjechałam do bydła Daszkiewiczów. Jeszcze Pani Daszkiewiczowa żyła, bardzo gościnna i sympatyczna kobieta. Krowy u nich zawsze łąziły luzem, były oswojone. Pani Daszkiewiczowa się wtedy ucieszyła na mój widok i powiedziała: „to pani jeszcze chodzi po tym świecie?”. Jak idę na cmentarz, to myślę, że prawie o każdym ze zmarłych mogłabym coś powiedzieć.

Pamiętam też pałac w Osiekach. Główne wejście rozwalone, podjazd i drzwi wejściowe do holu. Po lewej stronie oficyna i biuro, a nawet jakiś pokój gościnny, dokąd przyjeżdżali czasami kontrolerzy i nocowali. Po prawej, obok pałacu był tak zwany ogród zimowy, czyli szklarnia, w której hodowano podobno piękne róże, ale wiem to tylko z opowieści. Był też taki okres, że zgłaszano dużo przypadków wścieklizny, po kilkanaście rocznie. Głównie u lisów, ale i kot był wściekły, i szczur w Zwartowie. Właśnie takiego lisa zabili mężczyźni, którzy robili drogę koło pałacu w Osiekach. Dobrze, że nas zawiadomiono. Pobraliśmy materiał, i rzeczywiście lis był chory. Oni go oskórowali i przymierzali tę skórę. Więc te osoby należało zaszczepić. Teraz są podobno u nas wilki, łosie. I jenoty, ale to już od dawna. I bobry. A w tym roku, kiedy była katastrofa w Czarnobylu, przyleciały do nas żoły. Zaczęło się tak, że wyprowadziły się szpaki, których zawsze było dużo. Któregoś dnia pisk, jakby małe kacuszki. Ale w pobliżu nie mieszkał nikt, kto miałby kaczkę. Mąż wypatrzył żołą. Są to ptaki, które gniazdują w Polsce tylko w okolicach Przemyśla, na południu. Widocznie ta awaria jakoś na nie wpłynęła i przyleciały na północ. Chyba dwie rodziny albo trzy, wychowały młode. Przepiękne ptaki, kolorowe, trochę czerwone, niebieskie, śliczne, ale bardzo płochliwe. Zadzwoniliśmy wtedy do pana profesora Bussego: „Panie profesorze, mamy żoły”. A on: „nie możliwe. Tutaj żoły?” Ale przyjechał zobaczyć i mówi: „Rzeczywiście, macie żoły”. W kolejnym roku znowu przyleciały dwie pary. Jedna zamieszkała tu, a druga nad jeziorem przy piaskowej skarpie. Odwiedzały się. Następnego roku przyleciała jedna para, ale już nie wróciła. Potem mieliśmy ibisa. Ktoś go nam przyniósł, skaleczonego. Też

powiadomiliśmy pana profesora i on po obrączce ustalił, że to ptak z ogrodu zoologicznego w Austrii. Odwieźliśmy go do zoo do Oliwy. Przypomniała mi się jeszcze zabawna historia z gęsią pana Bednarza. On był przez wiele lat sanitariuszem, najpierw w powiecie lęborskim, później w Choczewie. Pani Bednarzowa pracowała jako kasjerka w banku. Mieli oswojoną gęś, która codziennie szła do kąpieli. Wchodziła po schodach, pani Bednarzowa nalewała jej wody do wanny i ona się tam taplała. Do tego wszystkiego nie znosiła mężczyzn, nie wiem dlaczego, może ktoś ją kiedyś kopnął czy uderzył, ale ktokolwiek był w spodniach rzucała się od razu i syczała. Ciekawa była jeszcze historia jak niby duchy straszły. Pan Piotrowicz był księgowym w lecznicy, myśmy go nie znali, bo zanim się przeprowadziliśmy to zmarł, ale kilka miesięcy mieszkaliśmy właśnie w pokoju po nim. Któregoś razu siedzę, klamka się rusza, otwierają się drzwi. Nie ma nikogo. Zamknęłam. Za chwilę to samo. Ja się duchów nie boję, ale to było dziwne. Okazało się, że Bednarzowie mieli kota Bizona, który skakał na klamkę i otwierał drzwi.

Czy Państwo coś wyciągniecie z tej mojej opowieści, to raczej wątpię. O! Przyszedł kolejny numer pisma weterynaryjnego, które zamawiam i widzę, że jest w nim nekrolog męża.

(Do pokoju wchodzi jeden z psów pani Wandy.)

Musimy opatrunek jeszcze zmienić, wiesz? Zaraz przewiniemy tę łapę.

Zimno się zrobiło. Zaraz grudzień...

*Rozmowę przeprowadzili i zredagowali
Aleksandra i Krzysztof Łasińscy.*

„A ja nie chciałam już dalej iść”

Rok temu Pani mama obchodziła setne urodziny.

Tak. Urodziła się w 1918 roku, w Goryniu, gmina Kisielice, województwo olsztyńskie (obecnie warmińsko-mazurskie – A.Ł.), a przed wojną tereny niemieckie. To niedaleko Kwidzyna i Gietrzwałdu. Mama nie miała ojca, jedynie mamę – Mariannę Magalską. Babcia gotowała w kuchni u dziedziców. Mówili na nią Küche Marie (z niem. kuchenna Marie – A.Ł.), Marie to od Marianna. Tam urodziła moją mamę, która się chowała bez ojca i pracowała z babcią aż do czasu małżeństwa z moim tatą. Ile miała lat? Dwadzieścia trzy jak mnie urodziła. My do tej wsi kiedyś pojechaliśmy, ja, mama, ciocia i wujek z Niemiec. Był tam bamber, a budynek, w którym się urodziłam nie był już mieszkalny. Jak podjechaliśmy, wylecieli do nas z widłami, musieliśmy uciekać. Wujek mówił: „chodź, jedziemy, bo jeszcze mi samochód potłuką”.

W którym to było roku?

Mój najstarszy syn był mały, dziewięć lat miał, a teraz ma pięćdziesiąt trzy. To ile lat temu byliśmy w tej miejscowości? Czterdzieści cztery.

Dlaczego Was tak potraktowali?

Może widzieli, że niemiecka rejestracja? Najpierw odjechaliśmy z miejsca, gdzie nas ten facet pogonił z widłami. Wujek mówił: „jedziemy stąd, nie będziemy tu stać, bo niebezpiecznie. Pójdziemy na obiad”. Podjechał pod knajpkę, byliśmy ja wiem,

jakieś 200 m od tej knajpy. Najpierw nie było nikogo. Ale nagle wyszli w czapach ruskich, grubi, buty, bluzy poubierane, jeden miał coś w ręku i patrzył właśnie na numery samochodu. I idą do nas. Wujek stwierdził, że nie mamy co tu szukać, tylko pojedziemy gdzieś indziej na obiad, nawet do Choczewa.

Mówi Pani płynnie po niemiecku?

Nie.

Bo opowiada Pani tak, jakby rozmawiała z wujkiem swobodnie po niemiecku.

Byłam dwa razy w Niemczech, w Karlsruhe, gdzie ciocia i wujek mieszkali, ale ciocia chyba już nie żyje, bo nie pisze od dawna. Ja pisałam niemieckie wyrazy fonetycznie polskimi literami i ona się doczytała. A ciocia do mnie pisała po niemiecku i myśmy się też doczytali. Błędy na pewno były, ale dwa razy pojechałam do Karlsruhe. Przez taką górę szliśmy, zrobiłam zdjęcia. Ale nie mam ich, nie wiem, co się z nimi stało?

Pani babcia i mama pracowały na niemieckich terenach, których właściciel też był Niemcem. Ale babcia była Polką?

Tak, Polką. Urodziła się gdzieś na dołku Polski, a mama już w Niemczech. No i wyszła za Niemca, mój ojciec był Niemcem. Może dlatego traktowali ją jak Niemkę? Bo panieńskie nazwisko miała

Magalska, a po moim tacie nazywała się Krafft. Ja się urodziłam w 41 roku. Mama musiała wcześniej za męża wyjść, ale z moim ojcem, Heinzem Krafftem, nie mam metryki, mam z Mroziakiem (drugi mąż Marty Krafft, mamy Pani Gizeli – A.Ł.). Ojciec mamę poznał w miejscu, gdzie pracowała. Był w wojsku i tam przychodził. W 44 roku, w czerwcu, tata zginął i przyszliśmy tutaj pieszo.

Dlaczego?

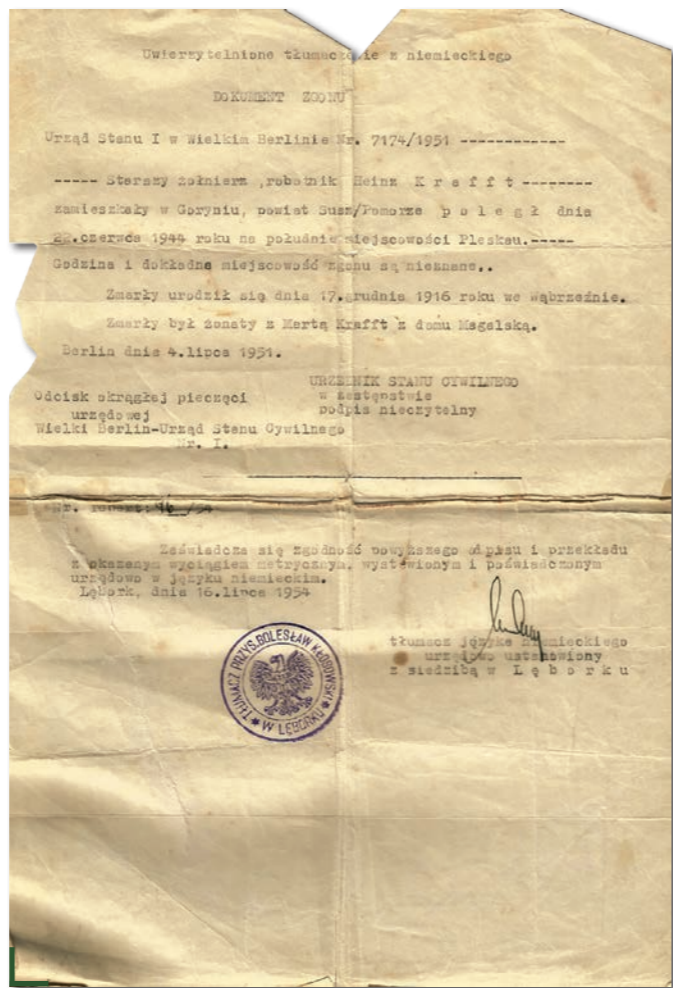
Wygonili nas. Wojna się kończyła i kazali szukać sobie innego miejsca. Najpierw mieliśmy jechać do Niemiec. Był transport podstawiony, ale nie zmieściliśmy się, to przyszliśmy tu i osiedliliśmy się w Przebendowie (wieś w gminie Choczewo – A.Ł.).

Ale dlaczego akurat w Przebendowie?

Ja nie chciałam już dalej iść. Miałam niecałe cztery latka. Pamiętam, że nosiłam takiego smoka oblepionego cukrem, którego później pokazywałam swoim dzieciom. Szłyśmy we trzy, taty już z nami nie było. Mamusia z babcią przesadzały mnie z jednego wozu na drugi, bo nie miałam siły iść, jak takie małe dziecko? Kiedy opowiadam, że z olsztyńskiego przyszedłam w wieku czterech lat, to każdy się dziwi. A przecież prawie cały czas na nogach. W końcu doszłyśmy do Przebendowa. Byłam bardzo zmęczona i powiedziałam do mamy: „już dalej nie idę, chcecie to idźcie, zostanę tu sama”. Siadłam na pień, tam gdzie Dettlaff teraz mieszka, i dalej się nie ruszyłam. Jakoś później mieszkanie dostałyśmy, dzisiaj ono jest już rozsypane. To był pierwszy budynek, jak się od Żelazna jedzie, i mieszkały w nim cztery rodziny.

Wie Pani gdzie zginął tata?

Tutaj mam dokument, zerknijcie. (*Pani Gizela pokazuje akt zgonu ojca.*) Był w wojsku niemieckim, jego brat tak samo. Też nie piszą do mnie ani nic, nie wiem, gdzie się podzieli. Prawda jest taka, że nie umiem pisać dobrze po niemiecku, kuzyni na pewno są, ale wiadomo, pewnie myślą: „gdzie będziemy do Gizeli pisać, jak ona po niemiecku nie umie”.



Zdjęcie 55 Akt zgonu Heinza Kraffta, tłumaczenie z języka niemieckiego

Normalne. Jak tam byłam dwa razy, to się dogadałiśmy, ale w listach ciężko. Gdzie ten świstek po niemiecku? Podarte wszystko. Odczytacie coś z tego?

Uwierzynione tłumaczenie z niemieckiego. Dokument zgonu. Urząd Stanu I w Wielkim Berlinie numer 7174/1951. Starszy żołnierz, robotnik, Heinz Krafft zamieszkały w Goryniu, powiat Susz/Pomorze poległ dnia 22 czerwca 1944 roku na południe miejscowości Pleskau. Godzina i dokładna miejscowość zgonu są nieznane. Zmarły urodził się dnia 17 grudnia 1916 roku w Wąbrzeźnie. Zmarły był żonaty z Martą Krafft z domu Magalską. Berlin 4 lipca 1951 roku.

Tata miał pecha, czerwiec 1944 roku to już blisko końca wojny. A myśmy przyszli tutaj w sierpniu.

Poskładałam trochę dokumentów. Mam coś jeszcze, co to jest? Marta Krafft z domu Magalska – wyciąg aktu małżeństwa.

Województwo olsztyńskie, powiat Susz, rok 1949. Zświadczam, że Krafft Heinz i Marta Krafft z domu Magalska zawarli związek małżeński w dniu dwudziestego piątego kwietnia 1941 roku w Goryniu.

No i ja się urodziłam. Stamtąd tata poszedł na wojnę. Najpierw miałam w dokumentach, że się urodziłam w sierpniu, potem wpisali, że we wrześniu. Jeszcze jak w gminie pracowałam, to raz miałam sierpień, raz wrzesień. Ostatecznie został wrzesień.

Ile dni szliście z Gorynia do Przebendowa?

Nie pamiętam dokładnie, bardzo długo. Męża matka też tutaj szła, a kiedy jego ojciec zginął, to w Malborku, w Nogacie chciała dzieci potopić, bo miała ich piątkę. Dostała się do Łęborka, a my do Przebendowa. Mama chciała na początku wyjechać do Niemiec, bo wozili ludzi, zabierali ze stacji. Niektórzy pojechali. A ja cały czas, że nie i nie.

Zdjęcie 56 Akt zawarcia małżeństwa przez Martę Magalską i Heinza Kraffta

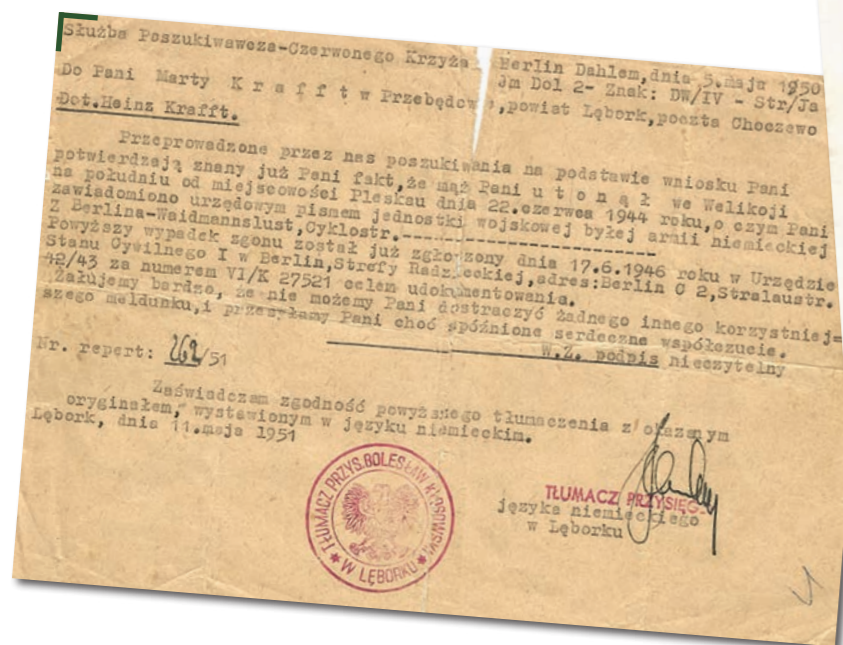


Pani Afelt pracowała z mamą, robiły przy krowach, chodziły w jednym drewniaku. Czasem przychodziłam do nich do obory.

Pamięta Pani jak wyglądało Przebendowo, kiedy tu przyszliście?

Rzucili nas do tego budynku, cztery rodziny. Było bardzo źle. Babcia nie miała zamkniętego pokoju. Zaczął się też tyfus. Wszystkie młode kobiety pozbięli i w przebendowskim pałacu, tu gdzie mieszka pan Busse, pozamykali. Przy drzwiach stali strażnicy, bo Ruscy byli okropni i łapali te kobiety, gwałcili, mordowali. Aż wreszcie przyjechała kontrola i pytali, kto tu jeszcze tak robi. Powiedzieli, że jak będzie się to powtarzać, to winny wy-

Zdjęcie 57 Poniżej pismo od służby poszukiwawczej Czerwonego Krzyża w Berlinie, tłumaczenie z języka niemieckiego



kopie dla siebie dół i zostanie zastrzelony, nawet tutaj w lesie. Jakoś przetrzymały te kobiety w budynku na dole. Napisali: „tyfus” i nie wszedł tam, żaden, bo się bał choroby.

Kto pilnował tych kobiet?

Jacyś ochroniarze, babcia mi opowiadała, bo od mamy mam bardzo mało wiadomości. Pewnie ściągnęli z wojska Polaków i stali chłopcy, bo co tu Ruś miał do szukania po wojnie? Nic. No i tak zaczęli pracować. Mężczyźni wracali z frontu, ale tata zmarł wcześniej i nie wrócił. Utopił się. Płynął łodzią, żywność woził. Ten, co z nim płynął uratował się i zgłosił, że tata utonął. Trzech płynęło, dwóch się utopiło. Ale już nie znaleźli ich



Zdjęcie 58 Powyżej odpowiedź z polskiego Czerwonego Krzyża na prośbę Marty Mroziak o odszkodowanie po śmierci męża

ciał. W Pleskau utonął. Ciekawe gdzie to jest? Może na terenie Niemiec? Nazwa niemiecka. Albo zniemczona. Byliśmy w Niemczech ze szwagrem, u córki w Baudach. Nie wiem, w którym roku, już trochę minęło. Te budynki, gdzie mieszkała moja teściowa i mama jeszcze stoją. Dużo dowiedziałam się od babci, bo mama nie mówiła. Babcia opowiadała, ale staruszka była jak zmarła, miała 89 lat.

W którym roku zmarła Pani babcia?

Ona jest z 1877 chyba. Nie wiem, czy mam tu akt zgonu babci (*Pani Gizela szuka dokumentu.*) Teściowej na pewno mam, ale babci czy gdzieś nie oddałam? Magalska Marianna.

W Zwartowie jest pochowana, siostra z nią. Sama ją chowałam z bratem, Edkiem Mroziakiem. Babcia zmarła jakoś w 1966. Ale gdzie tak długo szukać! Syn mój ma 53 lata, ja byłam wtedy w ciąży z nim. Proste. Jeszcze pamiętam napisałam do wójta o zapomogę dla babci, już była zrobiona paczka, a babcia zmarła.

Gdzie z mamą pracowałyście?

Nazwali to majątek, przyjeżdżali osadnicy z Rzeszowa do pracy. W tym mój ojczym, Tadeusz Zgłobicki i brat taty. Zgłobicki i tata znaleźli tu żony. Tata pracował w rymarni, w stolarni. Rymarnia była w Przebendowie. Tam gdzie Busse ma pałac, był dom, niedaleko obora, stodoła chyba. Na samym początku od strony pałacu stał garaż na ciągniki i tam ojczym szył w rymarni buty. Takie fest do kolan, nawet skórzane. Tatę można było sto razy o jedno pytać i on za każdym razem odpowiadał. Ja bym nie odpowiedziała, a on tak. Taki był spokojny. Tylko się rozpił, z biegiem lat.

W którym roku wzięli ślub?

Mam tu gdzieś. (*Pani Gizela przegląda dokumenty.*) Tu coś jest. Nie, to teść – Hagemes Józef. Nie, Wiktor. Mroziak. Mazurczak, jakiś tam dziadek. A, Hagemes Klaus i Gizela. Sama dawałam śluby, a niestety ten musiał dać Wójcicki. Już brzuch miałam pod nos. Ale w którym rodzice się pobrali? 51 rok. Tak, bo siostra co zmarła w zeszłym roku urodziła się w 52, a mama była w ciąży jak brała ślub. Najpierw męczyłyśmy się same, był sezon, mama pasła krowy na dołku w Przebendowie. Tam, gdzie park, dużo owoców rosło, mówili na to smeltz, było niedaleko wejście podziemne po paliwo i tam mama nocowała. Wtedy ci mężczyźni tu przyjechali i rodzice się poznali. Przychodził do mojej mamy jeszcze pan Afelt, nie lubiłam go. Miałam 9 lat i mówiłam, że nie chcę tego pana kulawego. Myśmy mieszkali w Przebendowie w czterech miejscach.

Przecież tam nie ma tyłu domów. (śmiech)

Teraz nie, bo się porozpadały. Najpierw dostaliśmy jeden, jeszcze zanim mama poznała tatę, później nas przenieśli dom dalej – do glinianki. W tej chwili obok mieszka Staszyńska Teresa. Wtedy przed jej domem była nasza glinianka, ale się rozsypała. I zamieszkaliśmy w jeszcze innym miejscu, tam, gdzie teraz pan Wika, u góry w kurniku. Mieliśmy jeden pokój i małą kuchenkę. Stamtąd wyprowadziliśmy się budynek dalej w stronę stawu, gdzie mieszkali już Tochman i Kieza. Teraz są tam ruiny. Mieszkaliśmy u góry. A na dole właśnie Mroziak i wszystkie te chłopcy, co przyszli do pracy. Tak go chyba mama poznała. Babcia nie była zadowolona. Stamtąd poszliśmy mieszkać na dół, gdzie jest teraz rozwalone i domek zbudowany.

Dlaczego mieszkaliście akurat w tych budynkach, które się później rozpadły? (śmiech)

Nie wiem właśnie! (śmiech) W tym koło stawu, mieszkali jeszcze Zięba i Smuga. Jak się wyprowadziliśmy, to brat i jego żona Dudzikówna dostali to mieszkanie, które zaczęło się sypać, bo było razem z chlewem. Kiedyś zabrałam męża, żebyśmy zobaczyli ten budynek. Poszliśmy. Młody pan Busse nas zobaczył i się drze przez płot. A ja w jego piwnicy się bawiłam jako dziecko, liście grabiłam, z tatą przychodziłam. Chodzimy, oglądamy, mówię do męża: „zobacz, w naszym domu jest drzewo. Miałam tu łóżko, a teraz rośnie drzewo”. A on się dalej drze: „co państwo tam robicie?” Tłumaczę, że kiedyś tu mieszkałam, już kupę lat mam, a jak malutka byłam, chodziłam stąd do szkoły. „Po prostu zwiedzamy” – mówię, liście wielkie, patrzymy jak wszystko zarosło i jak się zmienił krajobraz. To zaczął nas przeproszać.

Pamięta Pani co było wtedy w Przebendowie poza rymarnią, stolarnią?

Szkoła była wcześniej tam, gdzie Dettlaff mieszka, przed wojną jeszcze. Powstała też nowa. Jakies klasy były w starej, a inne w nowej. Ale ja tam nie chodziłam do szkoły. Moja mama gotowała na sezonie i ludzie, którzy przyjeżdżali do pracy, w nowej szkole się stołowali. Ja też chodziłam na obiady do mamy. Była kuźnia. I gorzelnia. Tam, gdzie się od Smugów idzie za stodołą. Obora była później, a na początku właśnie gorzelnia. Ile ja tam zboża przerobiłam, pięć lat pracowałam. Siedemnaście dziewczyn nas było. Później mnie do Urzędu Gminy wzięli. Przyjechał pan Krajewski z Lęborka, z Wydziału Spraw Wewnętrznych, znał mnie trochę,

bo jeździłam z nim po Przebendowie, pokazywać, gdzie kto mieszka, jak spis robili przed wyborami. Mroziak przyszedł na tę górkę, koło krzyża, drze głowę na mnie: „kończ te buraki, rzuć haczkę i chodź do domu, ktoś do ciebie przyjechał, jakiś z zagranicy gość”. Myślałam, że może wujek z Niemiec, a to pan Krajewski z Lęborka przyjechał wziąć mnie do pracy.

Ja brudna, od śrutu, przebrałam się w biurze w majątku i idę. Patrzą, siedzi pan w okularach, mówię: „dzień dobry”. Pyta, czy bym mu nie pokazała w Przebendowie tych wszystkich ruin. Pokazałam. Za jakiś czas przyszedł mnie wziąć na kurs do Lęborka, a potem do Urzędu Gminy do pracy. Wtedy pracowała tam Sośnikowska, Niedzielin. Jeszcze karę płaciłam, wnet mnie zamknęli, ja mam taki zyciorys, że głowa boli.

Pamięta Pani młyn koło Przebendowa?

Na dołku, ja tamtędy chodziłam do szkoły do Choczewa. Robiliśmy sobie posiedzenie nad młynem, koledzy nas odprowadzali ze szkoły, Michałowski i Notka. A ja szłam z koleżanką Ireną Wojciechowską, ona w tej chwili jest we Włoszech, jej brat przyjeżdża z Gdańska do nas, wysoki taki. Ale w młynie po wojnie nie było żadnego budynku, nie pamiętam nic. Mówili wszyscy koło młyna, a ja pytałam mamy gdzie ten młyn?

Kiedy Pani wyszła za męża?

Ja? W 62 roku. Córka się urodziła też w tym roku. Mąż pochodzi z olsztyńskiego. Poznaliśmy się w Przebendowie. Teściowa gotowała na sezonie jakiś czas. Miałam osiem lat, a on dziewięć. Graliśmy w klasy, skakaliśmy na skakance, on zawsze

mi psocił, linie zasypywał i dostawał lanie ode mnie. Dzisiaj to tylko dużo krzyczę. Jego mama przyszła kiedyś do nas, jak jeszcze mali byliśmy, i mówi do mojej: „Marta, Ty wiesz, co mój gówniarz opowiada? Że on się z Twoją Gizelą kiedyś ożeni. Ona go leje, a on się z nią i tak ożeni”. Później ile razy poszłam w klasy grać, matka złożyła powróż i w tyłek. A ja zza winkła dalej gram, uciekłam, nie trafiła. Potem jej przeszło. A jemu zostało. Jeździł do pracy gdzieś pod Słupsk i co wrócił, to przychodził. Musiał pracować razem z rodzeństwem, żeby mieli za co żyć, bo była ich piątka i mama. Ojciec zginął na froncie, też był Niemcem, jak mój tata. Później teściowa wyszła za Polaka, za Mazurczaka z Malborka. Mój mąż był bardzo chory. Kiedy miał dziewięć lat, przechodził odmę płuc, pompowali mu powietrze. Teraz też choruje na płuca, nie wiem co to będzie. Jak zaczęliśmy chodzić ze sobą miałam 17 lat, a on 18. Poszedł do wojska. Pojechałam raz do jednostki i już byłam gruba na przysięgę. Mówiłam mu: bierzemy ślub. Jesteśmy do tej pory razem. 60 lat. Jeszcze nam nie zbrzydło. Ale żadne moje dziecko nie przeżyje tak. Straszna tragedia w rodzinie. Nie mam słów i głowy na to. Dość, że udar przeszłam, to jeszcze z dziećmi problem. Najlepiej żyje Basia w Choczewie. No i córka, co mieszka w Jackowie, też żyje z mężem, Biangą. A reszta? Rozchodzą się, znowu schodzą i rozejście, rozwody dwa się szykują. No ludzie trzymajcie mnie! Czy oni pożyją w małżeństwie tyle co ja? Pewnie żadno. Aż mi wstyd za nich. Ale co zrobię? Mając siedmioro dzieci, mam dwadzieścioro sześcioro wnuków i piętnaścioro prawnuków!

Po ślubie wróciła Pani do pracy?

Jak jeszcze miałam malutkie dzieci, to poszłam do szkoły pracować. Kiedy urodziłam trzecie dziecko, musiałam odejść z Urzędu Gminy, sześć lat tam pracowałam. Najpierw dawałam śluby w Urzędzie Stanu Cywilnego. Przewodniczącym (Gromadzkiej Rady Narodowej) był Wiśniewski. Miał młodą kobietę, ona w lecznicy pracowała, a on ciągle do niej chodził. Myśmy się śmiali, że chyba chodził moczyć nogi, tak długo go nie było. Kieroński, sekretarz gminy, był nieobecny, przyjeżdżają na ślub, ja nie mam nominacji, nie mogę dać. Młoda para przychodzi, koleżanka moja i prosi, żeby im ślubu udzielić. A ja co? Nie mam nominacji, nie mogę krzyża założyć. Mówię: „idźcie, szukajcie Kierońskiego”. Po Wiśniewskim przewodniczącym był Wójcicki. Najpierw w Zwartowie, a później przejął Choczewo. Za jego rządów się pozmieniło. Pracownicy byli eleganccy, dużo lepiej się pracowało. Po Kierońskim sekretarzem była pani Żelczak, fajna. Wszystko na ostatni guzik było dopięte. Tylko jeden wisielec się znalazł. Pracował ze mną w biurze, jak się wchodzi do pani Goduli, pierwsze drzwi na prawo to było nasze biuro. Myśmy książki meldunkowe przepisywali. On był z Wojciechowa, od Stanucha. No i jeden dzień go nie ma, drugi, nie zgłaszałam Wójcickiemu, bo myślałam, że on go gdzieś wysłał. I przychodzi pani Czesia Żelczak. Mówi, że policja była. Pyta, czemu nie dałam znać, że go w pracy nie było i czy wiem gdzie on jest. Mówię, że nie. Okazało się, że się powiesił na strychu. Wójcicki znowu pyta czemu nie zgłosiłam. Żeby on mi chociaż powiedział, że mam zgłaszać takie rzeczy. W 61. zaczęłam pracę, a w którym odeszłam? Mój syn był mały, dziewięć miesięcy miał, to 66. albo 67. W listopadzie

66. przeprowadziliśmy się do Kurowa, a wcześniej w Choczewie mieszkaliśmy tam, gdzie teraz Karol Suski.

To jest duży dom. Kto tam jeszcze mieszkał?

Pan Szataj u góry, obok mnie Zakrzewscy, on był stolarzem, ona nauczycielką, dwie siostry Stasiak, jedna miała na imię Prakседа. Mi Wójcicki dał to mieszkanie, bo miałam wtedy trójkę dzieci, a mąż był traktorzystą. Żona Wawrzaka, pani Marysia, pracowała w finansach w Urzędzie Gminy i miała jeden pokoić. Była przed domem piaskownica. Moja córka Grażyna się tam bawiła z synem Zakrzewskich. Raz wybrali takiej pani Stasi jajka z kurnika. No jakby córka jajek nie miała w domu! I jeszcze potłukli je. Jak mąż zaczął dojeżdżać do pracy do gorzelni, musiałam odejść z pracy. Jeździłam też do szkoły do Sopotu, trzy semestry zrobiłam, a czwarty zawałam, już nie dałam rady. Jechałam ja, Wójcicki, pani sekretarz i pani Dampcowa. Raz tak było, mówię do Wójcickiego, że ja dzisiaj pojadę, a on zostanie, a on, że nie, bo ja umiem niemiecki, a on nie. Mówię mu, że nie będę wiedziała, co pani profesor tłumaczy, ani notatek, ani nic. I tak mnie zostawiali, zostawiali, a w głowie pusto i zrezygnowałam. A w Kurowie jesteśmy już 52 lata.

Pracowała Pani jeszcze później zawodowo?

W szkole chwilę. O! I sklep miałam. Był na drodze jak się do Skibów idzie. Kiedyś jeszcze płaciłam za Sośnikowską ileś tam tysięcy, to trafiłam na posterunek w Lęborku. Dzieci małe. Pan Bronk z Choczewa przyjechał i pyta: „co teraz Pani Gizelo?” Ja mówię: „możecie mnie zamknąć, nie ma pro-

blemu, ale weźcie moje dzieci i proszę się nimi zaopiekować. Jak się im coś stanie po moim powrocie, to nie wiem, co z wami będzie!” Mąż pracował, gdzie dzieci zostawić? W końcu mnie puścili. Czwórkę dzieci miałam w domu.

A ile Pani ma rodzeństwa?

Pięcioro. Najstarszy jest Edek, rocznik 48. I cztery siostry: Helena rocznik 52, Elżbieta 54, Teresa 57 i Irena 59. Teresa umarła piętnaście lat temu. Helena też już nie żyje. Mama potem nie pracowała. Tylko tata. Ja do szkoły zaczęłam chodzić od ośmiu lat, nie od siedmiu. Skończyłam siódmą klasę, bo nie było ósmej, w czerwcu i pierwszego lipca nie mając nawet piętnastu lat poszłam do pracy. Chciałam dalej się uczyć. Mieliśmy w Choczewie zespół tańca i śpiewu, około dwudziestu dziewczyn, tańczyłyśmy tam, gdzie teraz jest przedszkole. Pani Czesława Midorówna uczyła śpiewu i nas prowadziła. Co myśmy tam wyprawiali! I kózka, i czort wie co! Miałam talent, zapisałam się do Zespołu Pieśni i Tańca *Mazowsze*. Kończąc siódmą klasę, to był rok 56 czy 55, złożyłam papiery do szkoły na Śląsk, ale ojczym się nie zgodził. Powiedział, że muszę iść do pracy, bo on nie da rady sam zarobić na rodzinę. Popłakałam, ale pierwszego lipca już pracowałam. Nawet jak urodziłam dzieci, to mostki potrafiłam robić. Teraz już nogi bolą.

Trochę Pani pracowała w Urzędzie Gminy, więc na pewno Pani pamięta jak w tym czasie wyglądała główna ulica w Choczewie, Pierwszych Osadników. Kto tam mieszkał?

Z prawej strony od dawnego budynku Urzędu Gminy to tak: pan Pac, Świeca, Pobłocki, Murawski,

Wawrzak, Hejda, tylko tego domu już nie ma. Nad knajpą: Gliszczyński, Dymowicz, na rogu Zabłotni, potem pan Ragan, z nim miałam zatarg. W stronę Choczewka: Folgier, Galikowski, wysoki chłop. Tam, gdzie jest teraz sklep z ciuchami koło posterunku, mieszkał Grzesiak. Też tam mieszkałam w jednym pokoju przez jakiś czas i policjant pan Borowski z żoną i dzieckiem. Wyciągałam kiedyś z zasy pijanego faceta, mechanika z Żelazna, późna godzina, knajpa już zamknięta. On mi dziękował na drugi dzień, pan komendant Wenta go zamknął na noc, żeby nie zmarł. Poszłam po koleżankę, Czesię Kraśniaków. Wzięłyśmy go do domu, chciałyśmy przemocować. Za cholere nie chciał, bo mówił, że żona go zabije jak się dowie, że spał u kobiet. Ukląkł na schodach i zaczął prosić pana Wentę: „Panie komendancie, niech mnie pan zamknie, ja do Żelazna nie dojdę”. Komendant nie chciał. W tym czasie szła z góry pani Grzesiakowa. Opieprzyła nas, że my pomagamy pijakowi. Ja do niej mówię: „pani kochana, jakby on zmarł do rana? Tak samo byśmy zrobiły z pani mężem czy innym”. On mnie spotkał kiedyś, jak weszłam po pracy do gospody na małe piwo. Chodziłam z synem Jarkiem w ciąży, musiałam małe piwo wypić co dzień, nie dało rady! On idzie i mówi: „pani Gizelko, żeby nie pani ja bym już nie żył”. I tak długo nie pożył. Lubił wypić, ale był bardzo spokojny człowiek. Dobra, jedziemy dalej z tą ulicą. Mieszkał: Krzeszowiec, później Kozłowski, Arendty, Romaniki, pan Stenke. Panią Stenkową znam dobrze, po mleko chodziłam, raz do niej, raz do pani Wójcickiej, a pana Stenkę nie za bardzo. Dalej była porodówka, na dole, gdzie mieszka Liszniański. Moja mama rodziła tam siostrę Elżbietę. Wtedy: Gryzińska, Gomułkiewicz, Maczan mieszkał tam, gdzie Pipka. Maschke w tym budynku też. Mówili, że Regina

Maschke była niby najładniejsza z Choczewa. Kalbarczyk w pierwszym budynku. I jeszcze dróżnik, co miał takiego wysokiego syna i jego żona. Troje ich było. Nazwiska już nie pamiętam.

A po drugiej stronie ulicy?

Państwo Mielewczyk, Hamerla, Styr. Naprzeciwko gospody siostra z bratem, co się potem wyprowadzili na Śląsk, nie pamiętam nazwiska... o! Woch. Oni z panią Świecową się trzymali. Z tyłu Stawscy. Pani Stawska, pierwsza żona Stawskiego, bo miał trzy, zawsze na 22 lipca albo 1 maja przemawiała. Działaczka taka. Druga żona była od Bujanowiczów, no i teraz trzecią miał. Przed Stawskimi państwo: Olekszykowie, Polesowie, Krzeptowscy, Kozłowski, Stenkowie. Na dole mieszkali: Adamczewscy, Kapusty, Szmyd, pani Wróbel położna, Bobkowski, Mrulewicz, Lewandowski, Notka, Cudzik.

I to tyle. A ja? Nie mam dzieci w domu żadnych. Jeden pod Słupskiem, drugi w Malborku, jedna w Ostródzie, a ta z Jackowa nie przyjdzie...

*Rozmowę przeprowadzili i zredagowali
Aleksandra i Krzysztof Łasińscy.*

Z pamięci ostatniej świadkini

Pani Urszula Kreft urodziła się w Choczewie jeszcze przed wybuchem II wojny światowej. W 1945 roku część jej rodziny zdecydowała się pozostać w dotychczasowym miejscu zamieszkania. Pani Urszula zgodziła się odsłonić przed nami część swojego życia. Podczas rozmowy towarzyszą jej córka Rozwita i zięć Sławek.

Opowie nam Pani o swojej rodzinie?

p. Urszula: Mama umarła, gdy miałam 7 lat, więc za dobrze jej nie poznałam. Wiem, że zajmowała się domem, nie pracowała. Pamiętam, jak siedziała i cerowała skarpetki. Później mieszkała z nami macocha, ale też tylko chwilę. I tak my się sami wychowywali, bez matki. Mój ojciec Albert Hirth był dróżnikiem. Miałam sześcioro rodzeństwa. Młodszy ode mnie już poumierali. Ale kiedy? Przed wojną mieszkaliśmy tam, gdzie jest dzisiaj przystanek autobusowy. W tym miejscu stał stary, przedwojenny, dwurodzinny domek, w którym się urodziłam – 28 lutego 1929 roku. Po wojnie przenieśliśmy się w miejsce obecnej poczty. Później ojciec z zarządu drogowego dostał to mieszkanie, które zajmujemy do dziś.



Zdjęcie 59 Albert Hirth,
ojciec Urszuli Kreft

Zdjęcie 60 Mama Urszuli
Kreft, zmarła w 1936 roku



Dlaczego zostaliście tutaj po wojnie? Większość mieszkańców pochodzenia niemieckiego przecież wyjeżdżała.

p. Urszula: Ojciec dalej pracował jako dróżnik. No i dostaliśmy to mieszkanie służbowe.

p. Rozwita: Obok mieszkali najpierw Pałkowscy, a potem pani Pletorak. Następnie Wrzoskowie, a teraz Sokołowscy. Jeszcze kojarzę, że były dwa domy w tym miejscu, gdzie stoi dzisiaj Urząd Gminy. W jednym mieszkał na pewno Hejda. A po drugiej stronie ulicy, tam, gdzie obecnie sklep „Melan” znajdował się dom państwa Wujców. Naszym sąsiadem był jeszcze Tadeusz Nagrodzki, wyprowadził się potem z rodziną w góry.

p. Urszula: Tata Tadeusza Nagrodzkiego był wójtem przez jakiś czas. A na tzw. „dolnym” osiedlu mieszkali jeszcze państwo Lorkowie, Adamczewscy, państwo Kapustowie, Juszcakowie. I pani Zienkowa. Ja miałam płynąć statkiem Gustloff, który zatonął. Ciocia z Pucka uratowała mi życie, ponieważ mnie zatrzymała.

Czy Pani rodzeństwo też zostało w Choczewie?

p. Rozwita: Większość rodzeństwa mamy zamieszkała w Niemczech i już się potem nie widzieli. Rodzina nas tu nie odwiedzała. Ja jak miałam 18 lat, pojechałam do znajomych do Niemiec i przy okazji odwiedziłam dwie ciocie w Hamburgu, siostry mamy.

p. Urszula: Jedna moja siostra leży na cmentarzu w Choczewie, a druga w Nowej Wsi. Miałam jeszcze dwóch braci.

A Pani tata? W którym roku zmarł?

p. Rozwita: Dziadek zmarł w roku, kiedy ja miałam Komunię Świętą, a teraz mam 56 lat. Więc to musiał być 72 rok. Był pogrzeb, a po dwóch miesiącach Komunia w domu. Udzielał mi jej już ksiądz Duszyk, był wtedy bardzo młody.

Jak Pani poznała męża?

p. Urszula: Znałam rodzinę męża. Jeździłam odwiedzać ciotkę do Starzyna. Mąż też pochodził z Kaszub, z Karwieńskich Błot. Tam my się poznaliśmy. Pracował w nadleśnictwie. Większość życia w lasach spędził. Potem przeszedł na wcześniejszą emeryturę.

A Pani mąż? (Zwracam się do pani Rozwity.)

p. Rozwita: Pochodzi z Pucka. Rodziny się przyjaźniły i odwiedzały. I jakoś żeśmy się połączyli. Już 36 lat. Od 1983 roku. Tego dnia, 16 kwietnia, było dużo ślubów. Pięć czy sześć par w kościele, w tej wiacie.

(Ponownie zwracam się do pani Urszuli.) Czy przypomina Pani sobie coś z czasów przedwojennych?

p. Urszula: Sklepy były, mleczarnia, doktor, apteka. Ale co tam można pamiętać, człowiek tak się nie interesował. Jak wybuchła wojna, to cały czas tu mieszkaliśmy. Naszymi sąsiadami byli Silkowie. Moi bracia byli w wojsku. Młodsza siostra pracowała, a jedna w Lęborku była. Ojciec w tym czasie był dróżnikiem. Jak wojna się skończyła, to ja wyszłam ze szkoły, rok w Gniewinie pracowałam u nauczycieli, dzieci pilnowałam. Miałam dziesięć lat.



Zdjęcie 61 Mieszkańcy Choczewa podczas Pierwszej Komunii Świętej Romka – syna Urszuli Kreft, rok 1970



Zdjęcie 62 Pierwsza Komunia Święta Romka, rok 1970



Zdjęcie 65 Rozwita i Urszula Kreft, 1972 rok



Zdjęcie 66 Mąż Urszuli Kreft, Józef, rok 1977



Zdjęcie 63 Romek i Rozwita, rok 1971



Zdjęcie 64 Pierwsza Komunia Święta Rozwity, rok 1972



Zdjęcie 67 Zdjęcie mieszkańców Choczewa z 1966 roku

Przed wojną chodziłam do szkoły w Choczewie, tam, gdzie dzisiaj przedszkole. Dwie sale były, a w każdej po cztery oddziały. Z nauczycieli pamiętam Wyjgę, później pana Neskego.

Czy przypomina sobie Pani dziedzica z pałacu w Choczewie, pana Dzięcielskiego? Być może jest Pani już ostatnią świadkinią, która go pamięta.

p. Urszula: Trochę pamiętam, ale co tam powiedzieć. Jakby człowiek wiedział, że to kiedyś będzie istotne, to by sobie pamiętnik napisał.

Rozmowę przeprowadzili i zredagowali
Aleksandra i Krzysztof Łasińscy.

„Strach, pamiętam strach... i obrazy”

Krystyna Milewska, z domu Pranga. Rozmowa przeprowadzona 12 marca 2020 roku w Choczewie. Podczas rozmowy towarzyszy nam córka pani Krystyny – Zdzisława.

A co ja mam mówić? Jak ja ślub brałam?

Nie, jeszcze wcześniej.

A, to ja jeszcze mogę powiedzieć jak w trakcie wojny było. O, koniec wojny.

A ile mamusia miała lat – pyta córka.

Siedem lat miałam, to już się pamięta. Strach. Strach i obrazy – to pamiętam.

Mieszkaliśmy w Czymanowie, tam gdzie były domy celników. Moi dziadkowie byli Kaszubami. Oni, w którymś tam roku przeszli do Niemiec, bo tam była bieda. Ale mój dziadek nigdy nie umiał mówić po niemiecku, bo był Kaszubem. Moja babcia zmarła jak matka moja miała sześć lat. Dziadek zmarł, jak miała dwanaście lat. Ona była najmłodsza. Kilku braci mojej mamy, jak tylko podrośli wyjechało do Niemiec... i ona ich w ogóle nie знаła. Tu zostało tylko dwóch...

Mój ojciec (Augustyn) pochodził z Kostkowa, ze słynnej rodziny Prangów. Tam było ośmiu braci i dwie siostry. Dziadek był gospodarzem. Miał konie i wóz, to musiał pomagać w budowie kościoła w Kostkowie. Wozili wozem na górę cegły na budowę. Ale moja matka (Cecylia, z domu Myszke) tam

ślubu nie brała, bo kościół nie był jeszcze gotowy. Tylko w takiej chałupce na dole, gdzie wszyscy brali śluby. Matka mi kiedyś ją pokazywała. Ale gdyby ona trochę poczekała ze ślubem, to by wzięła w kościele, bo on w trzydziestym trzecim, a może trzydziestym czwartym był wyświęcony.



Zdjęcie 68 Zdjęcie ze ślubu Cecylii, z domu Myszke i Augustyna Prangi

Moi dziadkowie mieszkali w Kostkowie przed lasem, po prawej stronie jak się jedzie do Wejherowa. Tam mieli gospodarstwo. Ale tam już nie ma nic... Zostały tylko fundamenty...

Rodzina ojca była muzykalna. Mieli zespół. Grali po weselach, a w każdą niedzielę rano musieli zagrać „Kiedy ranne wstają zorze”.

A na czym oni grali? – zastanawia się córka pani Krystyny.

Oni grali na wszystkim, na trąbkach, na akordeonie... A siostry mogły grać tylko na skrzypcach. Wszyscy byli muzykalni. Ale tylko jeden z tych braci grał potem w kościele na organach w Gniewinie.

Kościół w Gniewinie był kiedyś ewangelicki. Myśmy chodzili do kościoła przez Lisewo do Kostkowa. Z Czymanowa na skróty, polną drogą, koło tej stodoły, gdzie Niemcy ludzi trzymali. Ale nam nie wolno było tam iść. Nie wiem dlaczego i jak długo oni tam byli. Ja tylko pamiętam ten strach, który wszędzie miałam...

Pamiętam jeszcze, jak wojna była, że przyszli do nas Francuzi. Musieliśmy dać im u góry pokoje. Oni do nas mówili, a myśmy nie rozumieli. Dobrzy byli. Drewno u nas rąbali... Jedzenie mieli w puszkach... A potem, jak było wiadomo, że przyjdą Rosjanie, to oni uciekli. Nic ze sobą nie wzięli. Matce puszki dali, a matka je zakopała. Tylko potem jak nas wypędzili, to i tak wszystkie ukradli. Porąbane drewno też ukradli.

Z wojny dużo nie pamiętam. A matka nawet o niej potem nie mówiła. Nawet swojego ojca nie pamiętam...

Jak się wojna skończyła miałam siedem lat, to Rosjan już pamiętam. Matka wysmarowała się sadzą i schowała się tam, gdzie wcześniej byli Francuzi. Bo Rosjanie chcieli gwałcić i „kuszać”... I tak od jednego domu do drugiego, i dalej. A celnicy uciekli ze swoich domów, obok których mieszkaliśmy, dużo wcześniej, zanim przyszli Rosjanie.

Do Kolkowa potem po wojnie trafiliśmy, bo zawiązali tam pegeer. A moja matka zawsze chodziła przez granicę pracować do gospodarzy, którzy potem ją obrabowali. A musiała pracować, bo była bieda i nie było co jeść...

Jak obrabowali?

To był już koniec wojny. Wypędzili nas i wszystkich ludzi z domów, i popędzili aż do Cecenowa. Pamiętam, że doszliśmy do jakiejś rzeczki, i tam były trupy, konie i bryczka zatopiona... Ja to wszystko pamiętam. To był strach... Potem poszliśmy do wioski i tam był sklep. I ja z plecaka wszystko wyrzuciłam i włożyłam sobie zeszyty, ołówki i nie miałam potem co ubrać. I dostałam od matki pranie jeszcze...

No i jak doszliśmy do tego Cecenowa, matka powiedziała: koniec! Nie będziemy dalej szli. Ja i mój brat Gerard byliśmy do matki przywiązani sznurkiem, a drugi i trzeci brat ze sobą, żeby się nie zagubić. Ależ myśmy płakali, że już nie możemy chodzić... Pierwszą noc po wypędzeniu spędziliśmy w Karczemce. Nie pamiętam już jak długo szliśmy. Ale jak wróciliśmy do domu, do Czymanowa, to wszystko było zrabowane.

W czasie wojny, to matka chciała wiedzieć gdzie front jest. A myśmy mieli radio, takie na doładowanie, akumulator, czy coś... Nie wiem, bo matka zawsze to radio do naładowania do zaufanego

człowieka w Czymanowie dawała. I wtedy w określonych godzinach zamknięta w pokoju i schowana w szafie słuchała gdzie front jest, żeby wiedzieć gdzie ojciec jest. Ojciec był wtedy na froncie w Rosji, to już mi mój starszy brat opowiadał.

Ale jeszcze Ci opowiem, jak my w czasie wojny z Czymanowa do dziedzica do Opalina po mleko szliśmy. No i właśnie wtedy uciekła jedna kobieta z tej stodoły. Miała na siebie zarzucony koc, i przy sobie trzymała miskę. W Opalinie była rzeczka i mostek. I na tym mostku właśnie myśmy spotkali tę kobietę i żołnierza niemieckiego, który ją prowadził. On ją kopnął, ona się przewróciła, a on ją jeszcze kopał... Matka nie mogła wytrzymać i coś mu powiedziała, a on zaraz karabin zdjął i wycełował w nas. Ale podszedł jakiś facet i powiedział, a co ty, chcesz zabić Niemkę, której mąż jest na wojnie? I on strzelił do góry... Ja się tak wystraszyłam, że jeszcze to pamiętam. A matka to się później tak trzęsła, płakała i mówiła – co ja robię, przecież on mógł nas zabić...

Pamiętam też jak jeszcze w czasie wojny chodziliśmy do Gniewina ścieżką przez las pod górę. A po drodze był tam taki duży kamień, ścięty na górze, i dziura obok kamienia. To matka mówiła mi, że po nim chodzą krasnoludki, a pod nim śpią – śmieje się pani Krystyna.

Do Gniewina do sklepu, chodziliśmy przez tę górę właśnie i dalej przez Kolkowo (osada kaszubska w gminie Gniewino, zlikwidowana w 1974 roku w związku z budową zbiornika wodnego dla Elektrowni Wodnej Żarnowiec – W.W.).

A tuż po wojnie, jak już przyszli tu Rosjanie, i wypuścili tych ludzi ze stodoły, to oni wszyscy szli na Kolkowo i Lisewo, i tam ludzie dawali im jeść,

to oni wszyscy się pochorowali od tego jedzenia i od brudu... Matka mówiła, że mieli tyfus. I od nich zaraziła się i pomarła cała wioska (Kolkowo). Ludzie padali jak muchy, codziennie kilka pogrzebów było. Wtedy właśnie reszta Niemców wyjeżdżała, a matka z nami czekała na ojca...

Jak już Kolkowo odkazili, to otworzyli w majątku dziedzica pegeer i potrzeba było ludzi do pracy. Ale nie wiem, który to był rok.

No, a dziedzic woził do więźniów z tamtej stodoły furmanką gorącą brukiew, która parowała – to też pamiętam. I jeszcze to, że jak Rosjanie weszli, to dziedzica wyprowadzili i wypuścili stado krów, i te krowy go stratowały. Potem nikt nie mógł go stamtąd wziąć, bo Rosjanie powiedzieli, że ma tam leżeć dwa tygodnie... Widziałam jak leżał, bo chodziłam z matką przez Kolkowo do sklepu do Gniewina.

Do Kolkowa przenieśliśmy się, tak jak mówiłam, bo matkę przyjęli do pracy do pegeeru. Z Czymanowa nie było co zabierać, ale ci, co wyjeżdżali do Niemiec dawali nam to, czego nie udało im się ze sobą zabrać – pierzyny, pościel, łóżka, szafy i nawet szafę pancerną... Nie wiem skąd się to tam wzięło.

Ale tam też była bieda... To moi bracia Rudy i Janek w stawie, który był w majątku łowili ryby, chyba karasie, które matka potem gotowała.

Widzisz, to się wszystko zaciera. Ale strach, to się pamięta...

A wieści o ojcu jakieś mieliście?

Dostaliśmy wiadomość, że zaginął, ale może jeszcze gdzieś się znajdzie. A po latach do nas do Kol-

kowa przyjechał jakiś pan i powiedział, że razem służyli, i że ojciec w obozie jenieckim w Rosji zmarł na *ruhr* (niem.) – czyli dyzenterię. Matka nie chciała w to wierzyć i długo czekała, bo słyszała, że tam gdzieś ktoś wrócił... I tak cały czas czekała. Dopiero w sześćdziesiątym ósmym rentę po ojcu dostała.

W którym roku przeprowadziliście się do gminy Choczewo?

W pięćdziesiątym. Do Osiek. Dwanaście lat miałam. Ale pamiętam, jak mówili, że Kolkowo zginie. Wtedy trochę ludzi się stamtąd wyprowadziło. W Osiekach mój chrzestny miał szwagra, który załatwił nam dom..., taką starą budę. To był pierwszy dom po lewej stronie jak wjeżdża się do Osiek od strony Choczewa. Teraz tego domu już nie ma. Zburzony. Ale była tam taka grusza, która miała trzy rodzaje gruszek na jednym drzewie...



Zdjęcie 70 Osieki, rok 1954



Zdjęcie 69 Osieki, lata 50-te

Do szkoły chodziłam w Kierzkowie. Jak wojna się skończyła miałam siedem lat, a w Kolkowie szkoły długo nie było. W szkole w Kierzkowie były tylko dwie sale. Myśmy się uczyli tak, że jeden rząd pierwsza klasa, drugi rząd druga klasa..., tak że wszystko nam się myliło. Nauczyciel był jeden. A potem zaczęli nas uczyć rosyjskiego. W Kierzkowie później już było siedem klas. W Lubiawie też była szkoła. Tam uczył Baranowski, ale tam były tylko cztery klasy. I dzieci musiały chodzić do szkoły z Kopalina i Lubiawy przez las. Ale zimą gospodarze wozili dzieci saniami.

Matka w Osiekach pracowała na kuchni. W pałacu gotowała. W sezonie dla kolonii, a w żniwa i wykopki dla pracowników sezonowych. A Ty wiesz, jaka tam kuchnia była elegancka? Przez środek kuchni



Zdjęcie 71 Obsługa kuchni przed pałacem w Osiekach, rok 1955

szły paleniska i różnej wielkości płyty. A we wsi był piec do pieczenia chleba dla ludzi. Każdy miał swój wyznaczony dzień. Matka też tam piekła. W Osiekach mieliśmy krowy, świny, maciory, owce, które łążyły wszędzie, gęsi, kaczki i kury. To wtedy już jedzenia nam nie brakowało.

Kościół był wtedy jeszcze ewangelicki. Nie pamiętam kiedy go wyświęcili... Ale potem już raz na mie-

siąc przyjeżdżał tu ksiądz z Wierzchucina. Ja ślub w pięćdziesiątym szóstym brałam w kościele w Wierzchucinie. Do ślubu jechaliśmy bryczką. Ślub nam dawał ksiądz Radomski.

W Osiekach mieszkaliśmy do roku sześćdziesiątego. Jaka ja byłam zła, że on (mąż) tę starą chałupę (w Choczewie, w miejscu, gdzie obecnie znajduje się parking przed Marketem „Melan” – W.W.)



Zdjęcie 72 Na ślub bryczką do kościoła w Wierzchucinie, Osieki, rok 1956

wybrał... Ja mówię – idziemy do pegeru, bo matce też nie chcieli dać tego domu (w Osiekach), bo sama została. Chłopaki, moi bracia, też już tam nie mieszkali...

A mąż mówi do mnie: „do peggeru nie pójde. Mogę tam pracować, ale mieszkać nie”. I poszliśmy do tej starej chałupy w Choczewie. Tam mieszkaliśmy sześć lat. Jak padał deszcz, to mokra glina rozciapywała się po całej kuchni. Ja wtedy, jak przestawało padać, kupowałam gruby papier i przyklejałam do sufitu. I co, długo to było? Wystarczało do następnego deszczu. A mąż łątał dach blachą, a wiatr ją zabierał... Ale to już wtedy budowaliśmy się.

Zdjęcie 73 Zdjęcie ze ślubu Krystyny, z domu Prangi i Zdzisława Milewskiego, 1956 rok





Zdjęcie 74 Syn Krystyny i Zdzisława, Osieki

Bo tamten, to nie był nasz dom. Wynajmowaliśmy go od gospodarza, który stąd wyjechał, a miał tu tylko ten dom i hektar ziemi. Stamtąd wyprowadziliśmy się w listopadzie. Ale to była ruina... Co ja się tam napłakałam w tej chałupie... O, Matko Boska!

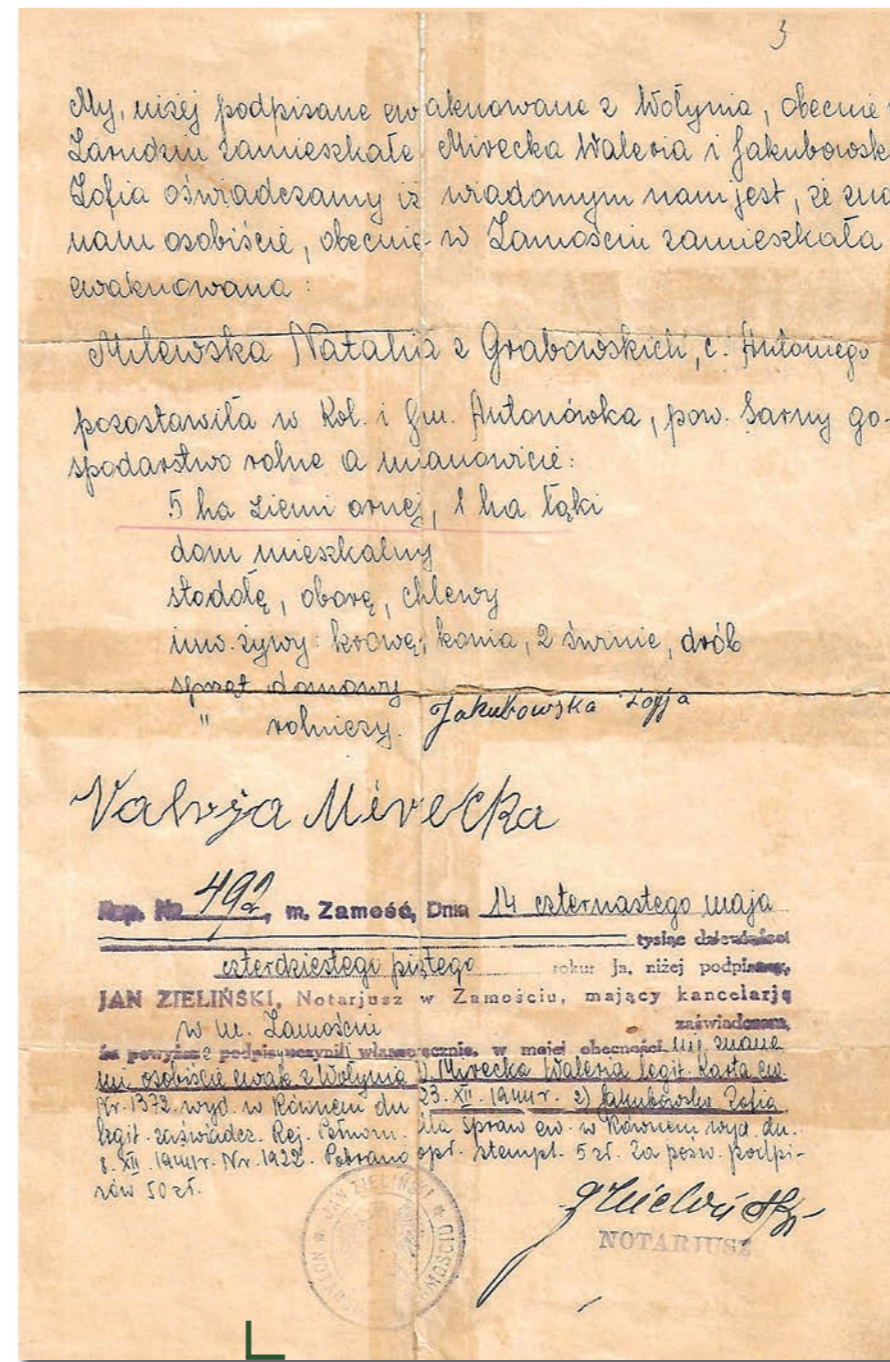
A mąż skąd pochodził?

A mąż to mieszkał wcześniej w Kierzkowie. Matka jego, Natalia Milewska, z domu Grabowska miała tam gospodarzkę. Przydzielili jej po Niemcach.

Oni całą dużą rodziną przyjechali do Kierzkowa w czterdziestym piątym z Antonówki (powiat Sarny, województwo wołyńskie). Moja teściowa Natalia szybko zmarła na raka i kto miał tam robić? Mąż miał wtedy szesnaście lat i nie pozwolili mu. On przecież jeszcze do szkoły chodził. Z Antonówki mąż przyjechał z bratem i matką. Potem tu urodziła jeszcze syna. Jak on miał trzy lata to ona zmarła. A brat mojej teściowej Natalii ożenił się i nie miał gdzie mieszkać, więc wziął tę gospodarzkę..., i miał opiekować się dziećmi. Ale co? Zabrali tych młodszych do domu dziecka... Bo nie chcieli dać ich mojemu mężowi, bo był za młody. No i widzisz, tak to się tu skończyło...



Zdjęcie 75 Natalia Milewska, z domu Grabowska, z synem Zdzisławem



Zdjęcie 76 Poświadczenie notarialne pozostawionego w Antonówce majątku przez Natalię Milewską

Wujostwo wzięło wszystko. A domu tego już teraz nie ma. Wujek zmarł, wujenka zmarła, a dzieci się rozeszły. Ale wujenka to była naprawdę dobra kobieta.

Co ja chciałam jeszcze powiedzieć...? Widzisz, oni stamtąd bardzo szybko tu przyszli, bardzo szybko. Bo tam to mordowali! Matka męża pracowała w szpitalu, to synów zawsze na noc brała ze sobą do szpitala. Bo bała się, że ich zabiją... Jak Ukraińcy mordowali, to od razu całe rodziny. A mąż opowiadał, że głód tam też mieli i matka dawała im sacharynę. I mówił też, że jego ojciec zginął w Powstaniu Warszawskim.

Z późniejszych czasów to pamiętam kino w Choczewie. Młodzież z całej wioski chodziła. Po bruku, po ciemku wracaliśmy. Ale to się szło...

I co ty myślisz z tym zrobić? Nic najlepiej... Ale wiesz co, to jest takie moje wspomnienie – strach, ciągle. Ten strach nie opuszczał człowieka ani jednego dnia.

Rozmowę przeprowadziła i zredagowała
Wioletta Wójcik.

„Takie życie było...”

Wywiad z panią Teresą Wiśniewską przeprowadzony 18 stycznia 2017 roku w Lubiawie. W rozmowie uczestniczy także córka Ewa i wnuk Andrzej.

W 1945 roku przyjechaliśmy tu.

Skąd?

Z Wilna. Gmina Tatarka. Powiat Jaszuny. No i później w transport w 45 roku. Jechaliśmy takim bydłowym... Nas pięć rodzin jechało wtedy w tym wagonie.

Jak Kargule... – *śmieje się wnuk.*

Pani jechała ze swoją rodziną? Z rodzicami?

Tak. Babcia jechała z nami. No i mamy brat jechał. No i my dzieci wszystkie.

Ile rodzeństwa?

Nas wtedy była czwórka chyba...

Zaraz policzymy, czekajcie – *wtrąca córka Pani Teresy, Ewa.*

Pani Teresa liczy: ja, Hela, Stachu i Stefan, bo Jasiu się już tutaj urodził. No tak, czwórka.

Ile czasu trwała podróż? Przyjechaliście bezpośrednio tutaj?

Tak tutaj. A, podróż to trwała...

A ciocię co zatrzymali na granicy? – *pyta córka Ewa.*

Którą? Tą, co cofnęli ją. A nie, to nie na granicy ją cofnęli. Tylko cofnęli ją bo oni mieszkali w Estonii. I jej męża zabrali do wojska, jak się wojna rozpoczęła. A ona przyjechała z córką tam do nas i była tylko tydzień, a po tygodniu musiała wyjechać bo już miała papiery. No i do tej pory ich nie znaleźliśmy.

I razem z tymi wszystkimi krowami przyjechaliście w jednym wagonie? – *pyta córka.*

No gdzie! Wagon był dla bydła osobny, kto miał bydło. Myśmy mieli konia, takiego sybiraka, no i kozę. To jeszcze ja ją prowadziłam (*śmieje się*) do tego wagonu przez taki most, i bałam się tej wody. Jak ta woda szumiała... Bo ta rzeka była dosyć szeroka, nie wiem jaka to była rzeka.

A ile lat wtedy Pani miała?

Ile ja wtedy miałam...? Sześć, siedem.

No i zapakowaliśmy się i jechaliśmy do Grodna. Dostaliśmy długo jechaliśmy. A później w Grodnie kazali rozpakować, bo było przeładowanie wagonów.

W kwietniu to staliśmy dwa tygodnie pod gołym niebem. Deszcz, śnieg, niesamowicie. Dwa tygodnie pod gołym niebem... Tyle co zrobili ogień. Tam co kto miał jedzenie, to w garnkach gotowali na tym ognisku. I po dwóch tygodniach w nocy dali znać, żeby szybko do rana załadować wszystko. No to mama została z nami i nas wpakowali do transportu, a ojciec poszedł tego konia i kozę wziąć. Z Grodna jechaliśmy już do Warszawy. Tak. A w Warszawie to stanęliśmy na poboczu i przyszedł ktoś, nie pamiętam kto, i powiedział, że brygadzysta całego składu ma wszystkich powiadomić, żeby wzięli sobie jakieś naczynia i tam na kuchni będzie ciepłe jedzenie rozdawane. Dopiero w Warszawie nam dali. A całą drogę myśmy jechali na swoim. Chleba to mama miała nasuszonego takie wory duże (*pokazuje rozkładając szeroko ręce*).

Czyli byliście przygotowani na wyjazd z Wilna?

Nie, to szło bardzo szybko.

Wyjeżdżaliście z samego Wilna? Tam mieszkaliście?

Nie, dwanaście kilometrów od Wilna.

Mieliście tam gospodarstwo?

Nie, myśmy nie mieli tam gospodarstwa. Mieliśmy trochę ziemi. Ale niedużo. Tyle, że dawali nam tutaj znowu. A z Grodna jak jechaliśmy, to w Warszawie zapowiedzieli nam, że z każdego wagonu, każda rodzina ma wziąć jakieś wiaderko czy jakieś naczynie, bo gorący posiłek będzie. No i ojciec wziął wtedy naczynie i poszedł. I przyniósł grochówkę

i chyba kielbasę na ciepło. Była dawana w drugie naczynie. A jak już z Warszawy przyjechaliśmy tu, to w Choczewie się zatrzymał transport i do dwunastej w nocy musieli ten transport rozładować.

I z Warszawy jechaliście bezpośrednio do Choczewa? Czy były jeszcze jakieś przesiadki?

Nie, nie. Bezpośrednio.

A z Warszawy ile podróż trwała?

Krócej. Ale ja już nie pamiętam tego. A jak tutaj kazali rozładować to wszystko, no to ojciec nasze rzeczy rozładował, zabrał nas i mamę na wóz, a babcia została w Choczewie na stacji i pilnowała wszystkiego całą noc. A myśmy jechali w taki deszcz... Taka ulewa była, że trudno psa z budy było wygnać. A siostra wtedy mówi – tata wracajmy do domu, już nie chce Polszczy (*śmieje się*), bo taki deszcz lał. Przyjechaliśmy tutaj (do Lubiawy – W.W.), sołtys już czekał na nas w Choczewie. To był taki Łuskiewicz. No i czekał na nas. On był na rowerze. On na przodzie, myśmy jechali zaraz za nim, bo to pierwsza furmanka. Przeprowadził nas tutaj i ani klucza, ani nic tylko klamką otworzył i mówi: tu jest twój dom i twoje gospodarstwo. Boże Świąty, ani okna dobrego, ani drzewa... Piec taki z cegły postawiony był tam na dwa pokoje. Teraz tak, ojciec mówi – napalić bym napalił w tym piecu, ale nie ma czym w zasadzie. Siekiera i wszystko zostało w Choczewie... No i poszedł wtedy, gdzieś tam nałamał jakiegoś drzewa, nie wiem skąd. I przyniósł do pieca, i jak mama rozpałała jakoś w tym piecu i nagrzała, tośmy wszyscy stali przy tym piecu i grzali się. Ani łóżka, ani poduszki, bo wszystko zostało w Choczewie zapakowane.

I na podłodze tylko koce, które mama posuszyła przy tym piecu... porozkładała i na podłodze myśmy spali. Pierwsza noc to była. Jeszcze mało tego, taka Rabczenkowa tu mieszkała, ona już nie żyje... Oni też mieli konia, no i właśnie jej męża też z granicy wrócili, bo coś tam w papierach było nie tak napisane. No i ona kobita też z czwórką dzieci i jeszcze w dodatku matkę chyba ze sobą miała. To ta matka też z babcią została na dworcu w Choczewie, a ona przyjechała z tymi dziećmi tutaj. Ale ona miała dobrze, bo tam jeszcze Niemcy byli, to napalone, ciepło, obiad gorący mieli, pościel, łóżka wszystkie pościelone i elegancko spali na łóżkach i pierzynach... A myśmy na podłodze tu spali.

Na drugi dzień ojciec pojechał po babcię i przywiózł resztę, i żeśmy tu zostali. I później gospodarstwo dzielili nam. Ziemię dzielili. I wtedy dopiero mogliśmy gospodarzyć. Wtedy jeszcze taka odnoga pegeeru z Osiek była tutaj i taki przyjechał dziadek do tego domu, co Fedyniaki mieszkają, i on tam mieszkał i tu były obory i byki, i on tymi bykami w polu robił.

A powiedz mamusia, jak nasi traktowali tych Niemców co tu jeszcze zostali – *dodaje Pani Ewa*.

W tym domu były dwie rodziny, a jedna po polsku umiała trochę. Rozumiała i mówiła po polsku. Taka fajna babka była. No i oni się z nami zapoznali. A oni ryby nad morzem łowili i ojca namawiali, a ojciec mówi: „cholera, pojedę z nimi i jeszcze utopią w morzu, albo co”.

Ale to byli dobrzy Niemcy, uczynni tacy – *mówi Pani Ewa*.

Ale zanim jeszcze ojca namówił, to zawsze jak rano z tego morza przyszedł, to taką miednicę tych ryb przyniósł, to myśmy już takiej biedy nie mieli. Oni się tak zapoznali z nami, że myśmy nieraz wieczorem z nimi siedzieli, a rodzice do północy rozmawiali sobie po polsku, bo przecież z naszych stron nikt nie umiał po niemiecku. No i tak później namówił ten Niemiec ojca i ojciec jeździł z nimi i nauczył go siatki wybierać, rybę wyjmować z tych siatek, bo to trzeba było umieć, bo ta ryba poplątała te siatki i było ciężko wyjąć. A on wszystkiego ojca nauczył. I jeździł z nimi do końca, dopóki oni tu byli.

A kiedy już tu nie było Niemców?

O, chyba ze dwa lata jak myśmy tu przyjechali... No, czterdziesty siódmy jak ostatni Niemcy wyjechali stąd. To jeszcze ojciec odwoził ich na stację do Choczewa, bo też wyjeżdżali tym pierwszym pociągiem. To jeszcze pozostawały tam jakieś rzeczy, to po drodze ta Niemka mówiła ojcu, że ma iść i wszystko zabrać, co jest w tym domu. Ma wszystko zabrać, żeby nic nie zostało. To jeszcze pamiętam, pierwszy wózek, taka spacerówka była... taka zwykła. Bo nie dali zabrać ze sobą wszystkiego wyjeżdżającym Niemcom, szabrowali i nie dali zabrać... O, pamiętam to jak dzisiaj, że ta Niemka bała się nawet coś w dzień przynieść, przed wyjazdem jak się pakowali. To wieczorem taką pierzynę mamie przyniosła i poduszki przyniosła, ale już było ciemno. Po ciemku przyniosła wszystko. Później, jak ojciec odwoził ich na stację, to o czwartej rano, czy wpół do czwartej wyjeżdżał stąd z nimi, to ona po drodze mówiła: niech weźmie tam wszystko co jest, żeby nic nie zostało. I ojciec przyjechał i mówi do mamy: „wiesz co, mamy iść tam wszystko zabrać”. A mama mówi: „wiesz co, ja nie chcę,

ja swoje też zostawiłam tak samo, i oni też tutaj... Ja chyba nie pójdę”. A ojciec mówił: „ale ona prosiła żeby pójść i zabrać”. Jak się ci drudzy Niemcy pakowali, to inni chodzili i zabierali z tych paczek... Tu się pakowali, tobołki takie popakowane, a oni im zabierali... Z rąk wyrwali... No i w końcu ojciec mamę namówił, i poszli tam do tego domu po Niemcach, co ich ojciec zawiózł na dworzec, i zabrali te rzeczy, które Niemka kazała zabrać i przynieśli je do domu.

Jak przyjechaliście do Lubiatowa, byli tu już jakieś polskie rodziny?

Tak, były tu już rodziny z Sieradza. Był tu taki Smolarek, Pawlik... A z nami jechał Rusiecki, Ożarowski i Targowska z Kopalina, a i Rabczenkowa jechała. Pięć rodzin w jednym wagonie. Podróż ta to była tragedia, ani się umyć, ani załatwić... Oni też mieli konia i bali się tego konia zostawić, więc przyprowadzili go nam tutaj do korytarza, bo obora była bez drzwi i całe noce konie były w korytarzu. A w tym pokoju piękna podłoga była, tylko jak ruskie tu byli, to w wigilię ognisko na środku pokoju zrobili.

Rosjanie też byli w Lubiatowie?

W pałacu stacjonowali. Tak do 47 roku. To przecież tych Olczyków całą rodzinę wymordowali wtedy. Tylko dwóch zostało. Jeden miał trzy latka chyba... Bo oni mali byli i leżeli gdzieś w tych pierzynach, że ich nie zauważyli. I to było w lutym chyba, taki śnieg wtedy spadł... Oni córkę mieli, taką osiemnaście lat i jeden Rusek chodził do niej i chciał, żeby ona jechała z nim, ale rodzice nie pozwolili tej córce. No i on przyszedł na wieczór tam do nich,

to był dzień przed ich wyjazdem, i mówi do tego ojca: „wiesz co, jak chcesz to idziemy na polowanie, taki ładny księżyc jest, trochę śnieżek sypie, to pójdziemy na polowanie, bo my jutro rano wyjeżdżamy stąd i już nas nie będzie tu, a zabijemy coś i będziesz miał co jeść”. Poszli, a on gdzieś tego ojca zabił w lesie i przyszedł do nich do domu, zamordował matkę, tę córkę i syna. A te dwa maluchy w jednym łóżeczku spały i się uratowały. Sąsiadka na drugi dzień rano mówi: „coś dziś po mleko nie przychodzi”. Zawsze przyszła rano, a dzisiaj coś jej nie ma. Patrzy tak na zegarek i mówi: „to jest już po dziesiątej, a jej nie ma... Co tam jest? Ani dzieci nie widać, żeby na podwórku chodziły, ani ich... Pójdę zobaczyć”. Ona zachodzi tam, a tych dwoje małych łązi po matce i po łóżku, a matka cała we krwi. Sąsiadka ta szybko wybiegła zaraz na Kopalino i dała znać, ludzie się zbiegli i milicja... No, ale teraz gdzie on jest? Tydzień czasu chyba szukali wszystkie chłopy z jednej wioski, z drugiej wioski, chodzili jeden obok drugiego po śladach i tak tymi śladami po zagajnikach i po całym lesie szukali, to znaleźli pod śniegiem, zamrożnięty. I był właśnie zabity kulką. A te rano się zwinęły i kto ich będzie gonić...?

A to już wtedy był wśród wszystkich taki strach... Wieczorem i rano szarówka, światła nie było, dopiero potem postawili słupy takie drewniane, ale to już było potem jak ja do szkoły chodziłam. W szkole była taka nauczycielka Witosławska, co przyjechała z Gdyni i ona zaproponowała szkołę tam, gdzie kiedyś był klub w Kopalinie, tu zaraz na początku. Tam był klub i była świetlica. A w jednym pokoju to tam trzy klasy się uczyły na raz. Najpierw te starsze, a myśmy po południu chodzili. I ona jeszcze wieczorem przy lampie pro-

wadziła taki kurs dla dorosłych, co nie umieli czytać i pisać. Światło za Niemca tu było, bo transformator był i kable po mieszkaniach porozciągane były i gniazdka w domach były, tylko nie było prądu. Dopiero jak te drewniane słupy sprowadzili i podłączyli, to z elektrowni przyszedł jeden pan i przyniósł jedną żarówkę żeby zaświecić. Jedną przyniósł, bo po więcej nie dawali. Jaka była radość jak podłączył kable do licznika, jak było widno... Myśmy zaglądali w każdy kąt, że wszystko widać. Bo nafty nie było, świec też nie, więc ojciec tak robił, że zbierał „szczyпки” (ogarki ze świec – W.W.) i stawiał je na takiej drewnianej nodze, na której była blaszka i wieczorem jak chcieliśmy posiedzieć, myśmy te „szczyпки” podpalali i co jedna się spaliła, to wyrzuciliśmy i drugą wsadzaliśmy. Takie światło było. Wszystko było oporzędzone za dnia, żeby w nocy nie chodzić po podwórku. Później gdzieś ojciec skombinował tej nafty, a latarki mieliśmy jeszcze przywiezione z Wilna.

Sklep jakiś był w Lubiawie czy Kopalinie?

Nie było nic. Tu nie było. Jedyne sklepy były w Choczewie. Tam, gdzie teraz gospoda jest, „Pod Kasztanem”. Tam był sklep. Później, po paru latach piekarnia była tam, gdzie teraz jest „Magis”. W korytarzu piec był i tam piekarz piekł chleb. To ja chodziłam do Choczewa po chleb. I zawsze plecak na plecach, mama dała mi pieniądze i rano, piąta albo wpół do piątej to już szłam po chleb. Później kartki wprowadzili, ale my jako gospodarze już kartek nie dostaliśmy. Tylko babcia z moim wujkiem dostali i to nas trochę ratowało. Szłam z nią po kilo mąki pszennej, trochę cukru i masła. Takie życie było...

A w którym roku życie się polepszyło i ustabilizowało?

W którym roku, to nawet nie pamiętam... Ale pamiętam, że musieliśmy od zbioru z hektara oddawać ziemniaki i zboże. Jak już się wymłóciło, to pierwsze było do oddania. I jak zebrali, to zboże wywozili do Choczewa do magazynu za gospodą. Tam, gdzie teraz jest „Farbolak” to były magazyny. Jeszcze my to tak nie mieliśmy tutaj takiej biedy, bo chleb ususzony mama miała przywieziony jeszcze z Wilna. Bo mówiła, że to w razie wojny, i w worki uszyte z płótna chleb wkładała. I co chleb upiekła, to po kromce wszystkim dała, a resztę wszystko pokroiła na kromki i w piecu suszyła. To myśmy całą drogę z Wilna mieli chleb, i jak tu przyjechaliśmy też jeszcze mieliśmy suszony chleb.

Mamus, a to co nam opowiadałaś o tej soli, jak żeście zbierali, jak jeszcze u Ruskich byliście? – *pyta Pani Ewa.*

A, to wtedy jak te kuchnie polowe jechały koło naszego domu, i im się gdzieś worek czy coś rozsypało. I my patrzymy, a tam takie nasypane białe i myśmy to w garść i szybko do mamy – a co to takiego jest, cukier? Mama na to, że sól, idźcie zbierajcie. No to my garściami z piachem i ze śmieciami tę sól zbieraliśmy. To mama najpierw tę sól w wodzie rozpuściła i przez szmatkę przecedziła, a potem dopiero soliła zupę.

A wojnę jak przeżyliście?

W Tatarce to mieszkaliśmy w takim lasku, i ziemianki mieliśmy pokopane, ponakrywane dachem,



Zdjęcie 77 Teresa Wiśniewska, 21 września 2014 roku

tak żeby nie były widoczne. Jak była szarówka, to wszyscy byliśmy już tam. I w tych ziemiankach spaliśmy.

Co było wtedy jak dziadka na roboty chcieli wywieźć, pamięta mamusia – *wtrąca córka Pani Teresy*.

A dziadka to złapali Niemcy. U jednego na wiosce kopali studnię. Ojciec tam kopał i siedział w środku, no i podawał wiadrami do góry tę ziemię, a inni odbierali od niego. Niemcy jak szli, to pędzili bydło, które z wioski zabierali, i pędzili ludzi... i tych ludzi od studni też zabrali. A babcia akurat była tam na wiosce, bo myśmy mieli kilometr do wioski, i to widziała. I babcia przychodzi do domu i mówi do mamy: „ty wiesz, Niemcy obławę zrobili, wszystkich i wszystko z wioski zabierali”. Pędzili ich potem do Wilna. „To wiesz co, ja pójdę za nimi i będę wiedziała gdzie oni są. To ty nie chodź”, mówi babcia, „zostań z dziećmi, a ja pójdę”. No i babcia poszła. Mama naszykowała chleba i słoninę dla ojca... Bo myśmy chowali świnię, po kryjomu, bo nie wolno było... Babcia poszła i się gdzieś dowiedziała, że trzymają ich w barakach, i że odwiedziny mogą być jedynie w niedzielę, bo w tygodniu to w robocie wszyscy są. Babcia wybiera się w niedzielę, a ja mówię, że pójdę z nią. A to trzeba było iść dwanaście kilometrów, i boso jeszcze w dodatku. Droga była wysypana takim grubym żwirem. Jezu, jak mnie te nogi bolały. Rany mi się porobiły, bo to dwanaście kilometrów w jedną i dwanaście w drugą po tym żwirze iść, to już mi wystarczyło. Doszliśmy do Wilna i chodzimy, pytamy się w jednym baraku o takie, a takie nazwisko... Tu nie, no to w drugim. I chodzimy. A mieli tam takie długie baraki zrobione. Chyba pięć, czy sześć tych baraków mieli. Szukaliśmy i znaleźliśmy. Znaleźliśmy ojca

tam. Boże kochany, jak tam było... Takie prycze piętrowe porobione na jedną osobę były, trochę słomy, ani podglówka, ani poduszki... Takie do spania mieli. I wody w tym baraku po kolana było. Ale chłopcy zrobili sobie jakieś schodki z cegieł, co sobie ponosili. Trochę z babcią posiedziałyśmy u ojca, ale on mówi, że mamy już iść, bo kiedy do domu wrócimy, na noc... W nocy będziecie szły, a to przecież strach jest iść nocą. Akurat na szarówkę wróciłyśmy do domu. I opowiedziałyśmy wszystko mamie, gdzie jest ojciec. Na drugą niedzielę mama się wybrała z babcią, a nas zostawili w domu z wujkiem. Naszykowały nam chleb i jedzenie na stole. No i poszły. Babcia już wiedziała gdzie iść, a ojciec też wiedział, że w drugą niedzielę przyjdzie do niego babcia z mamą, bo babcia mu powiedziała, że przyprowadzi Franię (moją mamę). Wszystkich z tych baraków po śniadaniu do okopów brali. Gdzieś koło Wilna jakieś okopy robili. A to akurat żniwa przyszły. Więc Niemcy powiedzieli, że jak ktoś chce iść na żniwa, to ktoś z rodziny musi go tu podmienić. Mama mówi: „to ja przyjdę, a ty idź do domu. Zawsze prędzej coś zrobisz i poradzisz”. Ojciec wrócił do domu, a mama tam została. Potem puścili mamę, bo do dzieci może iść w niedzielę, ale potem musi wrócić, albo ten co jest w domu ma przyjść. Ale ojciec nie chciał iść. Mówił, że będzie się ukrywał, ale nie idzie. I jak się kto pytał gdzie chłop jest, to mama z babcią mówiły, że gdzieś w obozie, ale nie wiedzą gdzie. My tu same jesteśmy.

Potem, jak Ruskie już były i jak urodził się mój brat Stefan, i jak były chrzciny, to wtedy nie wolno było nawet światła wieczorem mieć. To okna wtedy kocami i papierami pozatykane były, żeby nie było widać, że się światło paliło w domu. I jak te chrzciny

były, to jak już dobra szarówka była, mama założyła gruby koc na okno, ale gdzieś na dole światło przeświecało. I co, nie przyszli to Ruskie? Przyszli. Pytają: „kto tam jest?, Co się tam robi?” Chyba z pięciu ich było. Mama położyła nas spać, a ojcu kazali się ubierać i zaprowadzić ich na wioskę. Babcia i mama to bały się, co będzie. Na szczęście za jakieś dwie, trzy godziny ojciec wrócił.

Potem ogłosili, że jak ktoś chce jechać do Polski, to ma przyjść i wyrabiać papiery – ile osób, w jakim wieku, co zabiera ze sobą. To ojciec mówi, pojedziemy chyba do tej Polski, bo nie wiadomo co tu będzie. Chociaż my mieliśmy nowy dom postawiony..., taki z bali, z drzewa, w takim zagajniku, gdzie ojciec miał pole. Za laskiem były łąki, a dalej główna droga do Wilna wysypana grubym żwirem...

Takie to życie było...

*Rozmowę przeprowadziła i zredagowała
Wioletta Wójcik.*



Wydano na zlecenie:
Gminnego Ośrodka Kultury i Biblioteki im. Stefana Żeromskiego w Choczewie
ul. Kusocińskiego 5, 84-210 Choczewo
www.gokib.choczewo.com.pl

Wywiady ze świadkami historii:
Aleksandra Łasińska, Krzysztof Łasiński, Wioletta Wójcik

Redakcja i korekta:
Aleksandra Łasińska, Krzysztof Łasiński, Wioletta Wójcik

Fotografie i grafiki: Materiały archiwalne, kroniki, zasoby prywatne;
grafika – Anna Antowska, Beata Konkol

Grafika na okładce: Beata Konkol

**Opracowanie graficzne, skład DTP, projekt okładki, łamanie
i przygotowanie do druku:** HAVRAN Wydawnictwo domowe



© Copyright by HAVRAN Wydawnictwo domowe
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.
Wejherowo 2020, **Wydanie I**

Publikacja ani żadna jej część nie może być przedrukowywana, ani w jakikolwiek inny sposób
reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie,
magnetycznie lub w innej formie bez pisemnej zgody Wydawcy.

HAVRAN Wydawnictwo domowe
Remigiusz Dalecki, ul. Rogaczewskiego 62, 84-200 Wejherowo
www.havran.pl, e-mail: biuro@havran.pl

WYDANIE BEZPŁATNE

ISBN: 978-83-66141-13-1

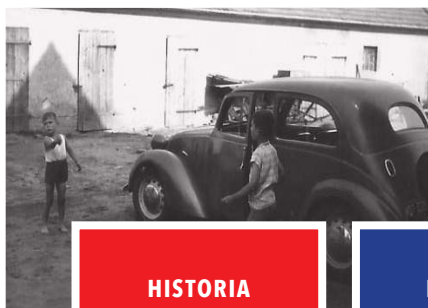
CHOCZEWO



gmina naturalnie piękna



**GMINA
CHOCZEWO**



**HISTORIA
OCHOTNICZYCH
STRAŻY POŻARNYCH**



**HISTORIA
WŁADZY
I SAMORZĄDU**



**KRONIKA
GMINNA**



POZNAJ HISTORIĘ GMINY

ISBN: 978-83-66141-13-1